

**JERRY AHERN**

**POŚCIG**

**CYKL: KRUCJATA TOM 13**

**PRZEŁOŻYŁA: BARBARA LEWKO**

**JERRY AHERN**

**POŚCIG**

**CYKL: KRUCJATA TOM 13**  
**PRZEŁOŻYŁA: BARBARA LEWKO**

*Dla Darthy Hix - mam nadzieję, że Ci się spodoba. Wszystkiego najlepszego...*

## ROZDZIAŁ I

Żołnierze pułkownika Wolfganga Manna byli ostatnim oddziałem nowej formacji SS. Stawiali jeszcze opór, ale w zasadzie był on daremny. Właśnie umocnili swoje pozycje, kiedy elektroniczny system ostrzegania nadesłał meldunek o dużym zgrupowaniu wojsk, zmierzających w stronę Complexu drogą lądową i powietrzną.

- Rosjanie - stwierdził krótko Mann, któremu bez znieczulenia nastawiono zwicniętą nogę.
- Władimir - szepnęła Natalia. Sarah spojrzała na nich z niepokojem.
- Cholera - mruknął Rourke.

Kurinami poszedł po Elaine Haverson, zabierając z sobą Sarah i Helenę Sturm z jej trzema synkami i nowo narodzonymi córeczkami.

Rourke zmienił czarny mundur polowy na swoje własne levisy, niebieską koszulę i wojskowe buty. Siedział teraz nad drugą filiżanką kawy. Gdy pił pierwszą, nawiązano łączność radiową pomiędzy Helmutem Sturmem a pułkownikiem Mannem. Potem nadeszła wiadomość, że Sturm popełnił samobójstwo, dowiedziawszy się, iż jego żona i dzieci omal nie zginęły z rozkazu nazistowskiego rządu, któremu złożył przysięgę wierności.

Popijając kawę, Rourke ładował magazynki pistoletów, sprawdził karabiny i gładził ostrze swojego noża myśliwskiego marki Gerber. Gdy nadszedł meldunek o zbliżaniu się wojsk radzieckich pod dowództwem Władymira Karamazowa, John spokojnie dopił kawę, skończył ładować magazynki, wsunął do kabur pistolety, a nóż schował do pochwy.

Kiedy kapitan Hartman złożył meldunek o gotowości swojego oddziału do odparcia ataku, Natalia oznajmiła, że pójdzie się przygotować. Frau Mann, która dołączyła do nich w pobliżu centrum łączności, poszła za nią. Tylko Kurinami usiadł przy Rourke'u i cicho spytał:

- Znów bitwa, John?
- Tak - odrzekł doktor porucznikowi japońskiej marynarki i wyszedł z centrum łączności.

Znalezienie pułkownika Manna, który oparty o kule stał w otoczeniu oficerów na jednej z ulic Complexu, nie zajęło mu wiele czasu. Mann, dostrzegłszy Amerykanina i Japończyka, pomachał im, a oficerowie rozstąpili się, żeby zrobić przejście.

- Pułkowniku? - Rourke podszedł do niemieckiego dowódcy.
- Walczył pan już przedtem z tym człowiekiem. Ma pan jakieś sugestie? - zapytał Mann.
- Mógłby być diabłem - powoli odpowiedział John. - Ale jest tylko człowiekiem z krwi i kości. I chce żyć. Zrobił więcej dla siebie niż dla swojej sprawy, choć może to jedno i to samo. Jeśli poczuje się osobiście zagrożony, zabierze z sobą większość swoich ludzi i ucieknie, żeby wrócić i bić się innego dnia.
- A więc błyskawiczne uderzenie w sam środek jego wojsk?
- Tak. - Rourke wolno skinął głową.
- Łatwiej to powiedzieć niż wykonać, doktorze. Jedna trzecia załogi Complexu albo była lojalna wobec Wodza i już nie żyje, albo jest ranna, albo pod strażą. Jedna trzecia ludzi, doktorze, nie nadaje

się do walki. Zniszczono znaczną część naszego wyposażenia.

Rourke wyciągnął wąskie, ciemne cygaro z wewnętrznej kieszeni brązowej kurtki lotniczej.

- Niech mi pan da kilku ludzi i trochę broni. Poprowadzę rajd na główną kwaterę Karamazowa, o ile ją tylko namierzemy. Proszę zatrzymać w Complexie tylko tyłu ludzi, aby nie pozostał całkiem bezbronny. Wszyscy inni niech stworzą oddział, który przejdzie do kontrataku w tej samej chwili, kiedy ja uderzę na kwaterę główną. Należy wykonać manewr zaczepny, żeby Karamazow nabrał przekonania o naszej sile i liczebności. Powinien poczuć zagrożenie.

- Idę z tobą - usłyszał kobiecy głos za plecami.

To Natalia. Odwrócił wzrok od Manna i spojrział na nią. Stała, mając za plecami ulicę pełną przedbitewnej krzątaniny. Uzbrojeni mężczyźni biegali tu i tam, a opancerzone pojazdy wjeżdżały i wyjeżdżały przez główną bramę Complexu.

- Ty, Sarah i Elaine możecie zostać tutaj. Przydacie się do obrony Complexu. Zabiorę z sobą Akiro, jeśli zechce mi towarzyszyć.

- Pójdę! - krzyknął Kurinami z entuzjazmem.

- Pójdę - szepnęła Natalia stanowczo. - Znam mojego męża lepiej niż ktokolwiek inny. Wiem, co myśli. Jeśli pójdziemy razem, będziemy mogli penetrować teren z dwóch stron jednocześnie. Być może zwiększy to szansę schwytania Władymira przez zaskoczenie.

Jej ręce spoczywały na kaburach rewolwerów. Miała teraz na sobie swój zwykły czarny bojowy kombinezon, którego prosty krój czynił ją jeszcze bardziej pociągającą. Czarne buty na płaskich obcasach sięgały jej prawie do kolan, na lewym ramieniu wisiała czarna płócienna torba, a przez piersi Rosjanka miała przewieszony M-16. Spod lewej pachy wystawał walter z tłumikiem. Ciemne włosy sięgały jej do ramion, a kiedy potrząsnęła głową, zabłąkany kosmyk opadł na czoło. Oczy - intensywnie błękitne o dziwnie twardym spojrzeniu.

- W porządku - odpowiedział John.

Niemieckie tankietki przypomniały Rourke'owi, jak kiedyś Rommel obłożył dyktą volkswageny, robiąc z nich atrapy czołgów. Miało to przekonać aliantów, że Lis Pustyni dysponuje o wiele większymi od faktycznych zapasami broni. Tankietki były nieco wolniejsze od volkswagenów. Człowiek prowadzący pojazd obsługiwał jednocześnie elektronicznie sterowaną broń. W zasadzie tworzył w ten sposób integralną całość z maszyną.

Kapitan Hartman polecił sierżantowi Hofstaderowi, aby ten krótko przeszkolił Rourke'a, Natalię i Kurinami.

- Doktorze, pani major, poruczniku. Aby móc w pełni wykorzystać KP-6, należy się przez kilka tygodni wprawiać na modelu ćwiczebnym, a potem na poligonie. Ale prowadzenie KP-6 jest tak proste, jak prowadzenie samochodu. Trudno jednak posługiwać się bronią, gdy pojazd jest w ruchu. Strzelając i wykonując jednocześnie gwałtowne zwroty, można uszkodzić czołg. Interesuję się dawną bronią, Herr Doktor. Za pańskich czasów czołgom łatwo spadały czy pękały gąsiennice, co unieruchamiało zwykle wszystkie ówczesne wozy, natomiast w wypadku nieprawidłowej obsługi KP-6 może się przewrócić. W rękach doświadczonego żołnierza jest to prawie niemożliwe, nawet gdyby strzelał skręcając. No, ostrzegłem was przed największym niebezpieczeństwem. - Hofstader uśmiechnął się. - A teraz, pani major, może zechciałaby pani wejść do środka?

Natalia skinęła głową, a Rourke pomógł jej się wdrapać na pancierz o barwie pustynnego piasku. Hofstader wspiał się z drugiej strony i podniósł pokrywę wjazdu. Natalia obróciła się, spuściła nogi i ześliznęła w dół. Kiedy się odezwała z wnętrza pojazdu, jej głos odbił się dziwnym echem.

- Tu jest bardzo ciasno, sierżancie!

- Tak, pani major, ale poczuje się pani względnie wygodnie, kiedy nałoży pasy i usadowi się w Fotelu.

- Rzeczywiście, ma pan rację. Jest tu nawet trochę miejsca na nogi.

- Kabłąk przed panią pełni funkcję kierownicy. Prawą stopą naciska pani pedał gazu, pierwszy z prawej strony. Środkowy pedał to hamulec, a trzeci...

- Sprzęgło?

Hofstader głośno się roześmiał.

- Nie, pani major. Sprzęgło... Czytałem o tym, a nawet widziałem w starych, zabytkowych pojazdach. Ale ten pedał po lewej stronie to przekładnia biegów. Naciskając go podczas jazdy, automatycznie zmienia pani kierunek obrotu czterech głównych kół napędowych. Gdy naciśnie pani pedał, jadąc wstecz, znów ruszy pani do przodu. Przy uruchamianiu czołgu należy odczytać z tablicy kontrolnej, na którym biegu jest pojazd.

Karinami spojrzał na Hofstadera.

- Sierżancie, czy nie ma tu innych biegów? Chodzi mi o jazdę w szczególnie trudnym terenie.

- Nie ma takiej potrzeby, poruczniku. Czujniki umieszczone w gaśienicach czołgu i na jego podwoziu bez przerwy monitorują teren, dokonując na bieżąco autokompensacji.

- Jak można podczas jazdy zmienić kierunek bezpośrednio z przodu w tył, nie uszkadzając skrzyni biegów? - dopytywał się Rourke.

- Biegi są całkowicie oddzielone od siebie. Naciśnięcie pedału powoduje przełączenie z jednego kierunku na drugi.

Potem Hofstader wytłumaczył im po kolei zasady działania wszystkich najważniejszych wskaźników, przycisków i pokręteł. Ekonomiczna prędkość tankietki wynosiła sto trzydzieści kilometrów na godzinę, a maksymalna - na suchym i płaskim terenie - sto pięćdziesiąt cztery kilometry na godzinę. Poruszając się równie swobodnie po lądzie, jak i pod wodą, mógł pokonać każdą przeszkodę wznoszącą się pod kątem siedemdziesięciu stopni. Na szczycie pojazdu zamontowano czterdziestomilimetrową samopowtarzalną wyrzutnię granatów, mogącą wykonać obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni. Po obu stronach wozu wbudowano wyrzutnie pocisków, których celowniki nastawiał komputer na konsolce. Z każdej strony po trzy pociski. Na przedzie i z tyłu znajdowały się dwa jednakowe, niezależne od siebie karabiny maszynowe. Rourke ocenił na oko, że są to siedemdziesiątki. W sumie można było strzelać jednocześnie w czterech kierunkach.

Spojrzał na zegarek. Za dziesięć minut zbierze się oddział mający kontratakować. Ostatnie meldunki wskazywały na to, że Rosjanie mogą uderzyć w każdej chwili. Hofstader przerwał te rozmyślenia.

- Czy są jakieś pytania? Komentarze? Panowie? Pani Major? Kurinami zaśmiał się.

- Gdyby to było pięćset lat temu, mój kraj zrobiłby to lepiej.

Krakowski siedział w swojej maszynie, patrząc na tablicę kontrolną. Myślał o tym, że dawny pułkownik Karamazow jest już marszałkiem i że dzisiaj będą awanse, w tym co najmniej jeden na pułkownika. W grę wchodzi albo Antonowicz z najbliższego otoczenia marszałka, albo on, Krakowski, pochodzący z nowej generacji żołnierzy, wychowanych dla wojny w Podziemnym Mieście na Uralu.

Oczywiście wolałby, żeby wybór padł na niego.

- Tu mówi Krakowski - powiedział do mikrofonu. - Towarzysze! W tej historycznej chwili

musicie myśleć tylko o jednym. Nie walczymy z nazistami i ich kapitalistycznymi sojusznikami dla własnej chwały. Walczymy o bezpieczeństwo narodu radzieckiego, o ogólnoswiatowy komunizm. Nie ma szczytniejszych celów, a żadne poświęcenie nie jest zbyt wielkie. Dla niektórych z nas są to być może ostatnie chwile. Nazistowska twierdza jest dobrze umocniona. Ale to nie stanowi przeszkody dla naszych wspólnych wysiłków. Razem dążymy do zwycięstwa. I zwycięstwo przypadnie nam w udziale, towarzysze!

Byłby to świetny napis na pomniku, gdyby mu taki kiedyś postawiono. Na razie zapisze to w swoim dzienniku. Zaczął zwiększać obroty głównego silnika, obserwując przyrządy, podczas gdy temperatura osiągała dopuszczalny poziom. "Zwycięstwo przypadnie nam w udziale. Brzmi to bardzo dobrze" - myślał Krakowski, delektując się własnymi słowami...

Władimir Karamazow spojrzał na zegarek. Słońce zaraz wzejdzie, a wtedy jego wojska zaatakują w kierunku wschodnim, tam gdzie jest twierdza nazistów. Wszedł z naprędcie postawionego namiotu, służącego mu jako tymczasowe centrum dowodzenia. Pomnik helikopterów przypominał mu brzęczenie roju rozdrażnionych owadów. Marszałek pomyślał, że świat sprowokował tę wojnę. Świat sprowokował swoją zagładę, nie chcąc ustąpić nieustępliwemu. Dobro. Zło. Te słowa niewiele dla niego znaczyły. W istnienie prawdy wierzą tylko ci, którzy jej szukają.

On znalazł swoją prawdę: dążenie do coraz większej władzy. I jeszcze większą prawdę: zemstę. Pragnął jej z całych sił. Natalia. Właśnie zaczynała swoją pokutę, kiedy Rourke znów mu ją odebrał. Karamazow dotknął swej ręki w miejscu, gdzie ostatnio został postrzelony. Następnym razem zabije Natalię, a jej agonia będzie niewiarygodnie długa. To, czy Rourke zginie z jego ręki, nie jest już takie ważne. Kocha ją, a więc gdy ona umrze w straszliwych męczarniach, dusza Rourke'a też umrze.

Przystanął na skraju polany, gdzie rozbili namioty. Poranne powietrze było ciepłe i wilgotne. Jeśli z jakiegoś powodu nie dojdzie do całkowitego zwycięstwa - nastąpi masowa zagłada.

Zorganizował wszystko w ten sposób, by wyeliminować jakieś trzecie wyjście.

Byli już w historii ludzie, którzy się starali przejąć całkowitą władzę na życiem i śmiercią innych. Jeśli więc on, marszałek Władimir Karamazow, nie będzie mógł zostać panem życia, to stanie się panem śmierci, a jego władza będzie ostateczna i nieodwołalna.

Niedługo wzejdzie słońce. Wkrótce rozpocznie się walka.

## ROZDZIAŁ II

Nad horyzontem pojawiła się na wschodzie linia świetlistej szarości. Rourke wziął Sarah w ramiona i mocno ją przytulił. Ciepły, wilgotny wiatr targał zarośla na szczycie góry, we wnętrzu której pięćset lat temu zbudowano Complex. Świst powietrza rozcinanego łopatkami śmigieł boleśnie ranił uszy.

- Nam nic się tu nie stanie - szepnęła Sarah. Rourke poczuł na twarzy jej ciepły oddech. - Ale ty, Natalia i Akiro, bądźcie ostrożni. Proszę. Wróć do mnie, John. Czuję coś. Wiem, że to niemądre, ale czuję coś w sobie. Tak, jak czułam w sobie Michaela, kiedy nosiłam Annie. To jest... och...

John obejmował żonę.

- Ja też to czuję. Przykro mi, że zrobiłem to z Michaeliem i z Annie. Przykro mi, że posłużyłem się kriogenicą, aby mogli dorosnąć. Postąpiłem tak, bo uważałem, że to pozwoli przetrwać nam wszystkim.

- Wiem - odpowiedziała. Rourke wciąż miał twarz zanurzoną w jej włosach, które ciągle jeszcze pachniały wytwornymi perfumami. Była to pozostałość po maskaradzie, którą urządzili, aby uratować Helenę Sturm i jej dzieci. Sarah przebrała się już w czarne drelichy i szarą bawełnianą kamizelkę.

- Jeśli jestem... jeśli jestem w ciąży... wiedz, że nie zrobiłam tego naumyślnie z powodu... przez Natalię.

- Wiem - odpowiedział. - Kocham cię i zawsze cię kochałem. Może damy sobie radę.

Czubkami palców dotknął jej podbródka, uniósł twarz, musnął lekko usta, a potem mocno pocałował.

- Uważaj na siebie - powiedział, wypuszczając ją z objęć. Podniósł z chodnika karabin i nie oglądając się za siebie, pobiegł w stronę czołgu. Wskoczył na pancerz, położył M-16 na wieżyczce, wsunął się do środka i sięgnął po broń. Rozejrzał się dookoła. Niedaleko stał czołg Kurinami; Akiro właśnie zamykał pokrywę wjazdu. Natalia, przechodząc obok, pomachała mu na pożegnanie. Rourke widział całe lądowisko na szczycie góry, a na nim, oprócz ich maszyn, osiemnaście innych czołgów. Każdy z nich był przyczepiony liną do podwozia jednego z niemieckich helikopterów. Sam Mann to wymyślił i przećwiczył z pilotami do perfekcji. Kapitan Hartman wyjaśnił Rourke'owi, że to sposób na szybkie przeniesienie uzbrojenia w każdy punkt pola walki, do którego może dotrzeć helikopter. Tankietki, mimo całej broni na pokładzie, są lekkie. Helikoptery, w razie potrzeby mogą osiągnąć szybkość bojową. Mogą unieść się nad polem bitwy, opuścić wozy bojowe na ziemię i osłaniać je ogniem z broni pokładowej, dopóki tankietki nie zostaną odczepione i nie będą mogły włączyć się do walki.

Ostrzeżono ich przed nudnościami wywołanymi kołysaniem się czołgów. Ale on nie miał czasu, by coś zjeść.

Spojrzał na pole za sobą. Zobaczył żonę w czarnych spodniach i szarym bezrękawniku, ściśniętą w talii wojskowym pasem. Nie pomachał jej. Patrzył. Obejrzała się. Skinął głową, wsunął się do wnętrza pojazdu i zamknął pokrywę wjazdu. Starł się dopasować swoje ciało do wymiarów fotela.



Miniczołgi nie były przewidziane dla wysokich osób. W końcu zapiął wszystkie klamry, obserwując jednocześnie odczyty kontrolne na konsolce. W pewnym momencie spojrzął na zegarek. Świtało...

Pułkownik Wolfgang Mann stał przy górnych umocnieniach Complexu i spoglądał w dół na starannie zagospodarowany teren. Uratowano ziemię przed zniszczeniem, zasadzono nowe rośliny, aby pomóc naturze powrócić do pierwotnego stanu. Teraz tę ziemię użyźni ludzka krew. Jakże różniła się ta wojna od abstrakcyjnych działań, z którymi się zetknął, studiując taktykę. Tam nie było prawdziwego wroga - tutaj wszystko nagle okazało się inne. Dlatego właśnie Helmut Sturm odebrał sobie życie.

Teraz kobiety i mężczyźni ginęli w walce. Nie żyje Wódz i wielu wiernych mu esesmanów. Niektórzy popełnili samobójstwo, inni zginęli bardziej honorowo - w walce. Były też egzekucje. Skazano tych, którzy spowodowali niepotrzebną śmierć innych. Po wykryciu spisku na życie Dietera Bema, przeprowadzono czystkę.

Głos Bema - filozofa, nauczyciela, naukowca, a teraz nowego wodza - rozbrzmiewał z głośników umieszczonych wokół lądowiska i na zboczu góry. Docierał do oddziałów piechoty i do czołgów stojących u podnóża.

- Dziś w nocy wyzwoliliśmy się spod tyranii, a teraz znów musimy się wykazać męstwem i zdecydowaniem. Być może, że walka dobra ze złem nigdy się nie skończy. Przeżyjecie czas chwały i upokorzenia, będą zrywy nadludzkiej odwagi i chwile paralizującego strachu. Dobre czyny. Złe czyny. Tkwią one w sercach i umysłach ludzi; to jest abstrakcja, której nie można dotknąć, zbadać, przeanalizować. Walczymy o wolność. Nasz wróg walczy, aby nas zabić albo zrobić z nas niewolników. Nasza walka jest słuszna. Wszystko, czego można od nas żądać, to najwyższe poświęcenie. Nadzieje i aspiracje nas wszystkich będą z wami podczas tej walki.

Głos odbijał się echem i ginął w szumie wiatru.

Mannowi dokuczwała zwichnięta noga, ale nie były to już ostre ataki bólu. Teraz pułkownik mógł go opanować.

Zatrzeszczało radio. Odezwał się.

- Tak, kapitanie Hartman?

- Panie pułkowniku, grupa szturmowa czeka na pańskie rozkazy.

Wolfgang Mann zamknął oczy. Zastanawiał się, czy Bóg, o którym mówili niektórzy Amerykanie, Bóg, o którym czytał w zakazanych książkach, przyjmie jego modlitwę. O ile Bóg istnieje.

- Boże, pobłogosław ich - mruknął.

- Panie pułkowniku?

- Hartman, w imię Boże! Atakujcie.

- Tak jest!

Wolfgang Mann poczuł, że wiatr nagle ucichł...

Rourke mógł obserwować teren za pośrednictwem dwóch kamer telewizyjnych o polu widzenia sto osiemdziesiąt stopni. Pokrętem na konsolce mógł włączać podgląd na przedzie lub za pojazdem. Teraz kamera ukazywała to, co się działo przed czołgiem i nad nim. W powietrzu roilo się od samolotów i helikopterów, wybuchały pociski przeciwlotnicze, a rakiety zostawiały za sobą długie smugi. Atak na Complex rozpoczął się dokładnie o przewidzianej przez niego porze, jednak uderzenie było gwałtowniejsze, niż ktokolwiek się spodziewał. Odłamki dzwoniły o pancierz czołgu. John kurczowo trzymał się poręczy, bo nic innego nie mógł teraz zrobić. Jeśli jego helikopter zostanie zestrzelony, zginie.

Stawał w obliczu śmierci więcej razy, niż mógł zliczyć, ale nigdy nie był tak bezradny, jak teraz. Myślał o Natalii i Kurinarnim, zamkniętych w swoich czołgach. Wszyscy dzielili ten sam los, wszystkim groziło to samo. A jeśli szczęśliwie przekroczą linię frontu, czołgi zostaną opuszczone w dół.

Nagle w pobliżu eksplodowała rakietą. Gwałtowny wybuch wstrząsnął czołgiem i rozkołysał go. Rourke skierował kamerę do góry. Śmigłowiec dymił.

- Jasna cholera - syknął, zaciskając jeszcze silniej dłonie na poręczach fotela. Przed nimi, w dole, wspierana czołgami, kłębiła się piechota walcząca już z wrogiem. Przełączył kamerę na podgląd z tyłu. Nad Complexem niebo było szare od dymu, a kilka samolotów toczyło zażarty bój. "Sarah" - niemal na głos wymówił jej imię.

Znów spojrzał na monitor nad głową. Zamiast dymu było teraz widać płomienie ogarniające ogon helikoptera. Rourke siedział sztywno, mięśnie karku miał napięte aż do bólu. Mózg gorączkowo szukał jakiegoś rozwiązania, podczas gdy oczy wpatrywały się w monitor. Znajdował się teraz nad radziecką piechotą, którą poprzedzały czołgi. W słuchawce rozległ się głos pilota helikoptera.

- Doktorze! Tracę kontrolę nad maszyną. Jestem ranny. Umieram.

- Spróbuj wylądować, a ja przedostanę się do ciebie.

- Nie. Jest lepszy sposób. Będę się unosił nad ziemią i spuszcze czołg w dół. Ja i tak umrę.

- Co to znaczy "lepszy sposób", poruczniku? - John nie znał nawet imienia tego chłopca.

Ale nie było odpowiedzi. Tylko cisza. Żołądek podszedł Rourke'owi do gardła, kiedy czołg zaczął się opuszczać. Znów usłyszał głos młodego oficera.

- Doliczę do dziesięciu i wtedy zwolnię zaczep. Będzie silny ostrzał z lekkiej artylerii, ale jeśli znajdzie się pan w środku między nimi, nie będą mogli użyć broni przeciwpancernej. Proszę się upewnić, czy pańska klamra jest dobrze zapięta.

Rourke zaczął mówić, ale w słuchawkach znów zapanowała cisza. Sprawdził więc klamrę, a potem spojrzał na konsolę. Wskazania kontrolne były prawidłowe. Zerknął na tylny monitor. Reszta helikopterów poszła w ich ślady, opuszczając czołgi Natalii, Kurinarnego i pozostałych osiemnastu ochotników w sam środek pola bitwy. Z przodu widać było stanowiska lekkiej artylerii i obsługę moździerzy, zajmującą swoje pozycje. Nie miał pojęcia, czy radzieckie moździerze są w stanie zatrzymać tankietkę. Niemieccy konstruktorzy KP-6 też tego nie wiedzieli.

- Jeden - w głosie młodego pilota słychać było zbliżającą się śmierć. - Dwa. Trzy. Cztery. Pięć. Sześć. Siedem. Osiem. Dziewięć. Dziesięć. Powodzenia, doktorze!

Rourke poczuł, że kołysanie się wzmacnia, usłyszał trzask zamka nad głową i czołg zaczął powoli opadać. Wreszcie uderzył o ziemię. John starał się przycisnąć pedał gazu, skręcając jednocześnie w prawo, w stronę baterii moździerzy. We wszystkich kościach czuł drgania i wibracje maszyny. Piechota zaatakowała czołg; Rourke słyszał żołnierzy wdrapujących się na pancerz. Nacisnął jeden z przycisków na konsolce. Przez pancerz wozu przepływał teraz silny ładunek elektryczny, a na ekranie monitora Rourke mógł dojrzeć iskry przeskakujące między metalem a ciałami ludzi. Żołnierze spadali, a z ich mundurów i ciał wydobywały się smużki dymu. Można było znów wyłączyć zasilanie: taka operacja gwałtownie wyczerpywała baterie. Moździerze były coraz bliżej. John nastawił celownik prawej wyrzutni i nadusił przycisk. Czołg lekko się zakołysał, rozległ się głuchy odgłos, a na monitorze pojawiła się smuga - ślad pocisku. W chwilę później na ekranie pojawił się błysk, a potem kula dymu i ognia. Bateria moździerzy przestała istnieć.

Na tylnym monitorze John zobaczył płonący helikopter, lecący w stronę zgrupowania czołgów

pośrodku pierwszej linii.

- Nie! - wyszeptał.

Nagle wielka ognista kula pochłonęła śmigłowiec i cztery najbliższe czołgi. Dopiero potem Rourke usłyszał serię eksplozji, a ziemia pod jego maszyną zadrżała. Zamknął na chwilę oczy.

- Natalia, jesteś ze mną? - zapytał.

- Nic mi nie jest, John.

- Akiro - nadal cały?

- Nie mniej niż przedtem. Rourke uśmiechnął się.

- Grupa szturmowa! Zameldować się!

Słuchawki zaczęły rozbrzmiewać głosami: Jeden, dwa, trzy..." aż do osiemnastu. Wszystkich osiemnastu ochotników wylądowało i wszyscy byli w pełnej gotowości bojowej.

- Akiro - z mojej lewej flanki. Natalia - z prawej. Reszta - za mną. Pamiętajcie o tym, że nie wolno zbyt długo utrzymywać pancerza pod napięciem. Baterie mogą wam się wyczerpać.

Prawie wszyscy dowódcy tankietek mieli stopnie oficerskie.

Było też kilku starszych podoficerów, a wszystkich dobrano nie tylko z powodu doskonałego wykształcenia, ale i ze względu na dobrą znajomość języka angielskiego. W ogniu walki nie byłoby czasu na tłumaczenie rozkazów Rourke'a na niemiecki, a on sam niezbyt biegle władał tym językiem. Kurinami zupełnie nie znał niemieckiego. Tylko Natalia znała doskonale język i miała idealny akcent

Byli teraz otoczeni przez piechotę. Rourke parł naprzód, ostrzeliwując Rosjan z karabinów maszynowych. Nie używał wyrzutni granatów. Tę broń chciał wykorzystać przy ataku na sztab Karamazowa.

- John. Nadlatuje samolot. To myśliwiec - usłyszał głos Natalii. - Otwiera ogień.

- Robimy unik - rozkazał Rourke, jednocześnie skręcając gwałtownie w prawo. Za czołgiem ziemia rozpryskiwała się pod ostrzałem karabinu maszynowego. Nagle wszystko zadrżało. Niecałe pięćdziesiąt metrów za nim eksplodowała rakietka. Obrócił wieżyczkę w tył o sto osiemdziesiąt stopni i nastawił celownik na róg ekranu. Po chwili pojawił się tam myśliwiec, szykujący się do kolejnego ataku.

- Trzymajcie się z daleka ode mnie - syknął Rourke do mikrofonu, celując w podwozie samolotu. Przyciskiem uruchomił czterdziestomilimetrową wyrzutnię granatów, jadąc zygzakiem, kiedy pociski karabinu ryły ziemię przed nim.

Eksplozja rozerwała myśliwiec na kawałki. Płonące części skrzydeł i kadłuba rozleciały się na wszystkie strony. Czołg zatrząsł się, gdy o pancerz uderzyły spadające szczątki samolotu.

Rourke spojrział na przedni monitor. W samą porę, aby uniknąć zderzenia z łazikiem, ciągnącym bezodrzutowe działo. Wieżyczka czołgu obróciła się w stronę pojazdu. Wyrzutnia skierowała się w sam jego środek. John nacisnął guzik. Samochód zamienił się w kulę ognia. Teraz Rourke odwrócił wieżyczkę. Nie planował na razie dalszego używania wyrzutni. Resztę granatów chciał przeznaczyć na główną kwaterę Karamazowa.

Ustawił karabiny maszynowe na automatyczny ogień osłonowy. Wyglądało to, jakby sam kierował bronią, oba karabiny obracały się jak szalone, otaczając czołg kurtyną ognia.

Znów przed nim pojawili się żołnierze piechoty. Na ich czele jechał duży radziecki czołg.

- John, czy widzisz to po prawej stronie?

- Widzę, Akiro. Możemy ich wymanewrować.

"Przynajmniej tak mówił sierżant Hofstader" - dodał w duchu, robiąc gwałtowny skręt w lewo.

KP-6 trząsał się i dygotał, pędząc po kępkach trawy. Żołnierze uciekali w popłochu, a rosyjski czołg, co najmniej wielkości abrams, ruszył w stronę Rourke'a.

- Jeśli ten drań nas dopadnie, zostanie z nas mokra plama - odezwał się doktor do mikrofonu. - Dobra, słuchajcie teraz wszyscy. Numery parzyste biorą na siebie prawą gaśnicę czołgu, a nieparzyste - lewą. Użyjcie wyrzutni granatów. Uwaga! Odliczam! Pięć! Cztery! Trzy! - Nastawił swój celownik na gaśnicę przy podwoziu. - Dwa! Jeden! Ognia!

Na ekranach monitorów pojawiły się smugi białego dymu, które wirując zbliżały się do gaśnic rosyjskiego olbrzyma. Gdy dotarły do celu, czołg w jednej chwili okrył się płomieniami i dymem. Przez chwilę wydawało się, że cała maszyna unosi się w powietrze, by z impetem opaść na ziemię.

W słuchawkach rozległy się okrzyki radości z powodu chwilowego zwycięstwa.

- Teraz bierzemy się za piechotę - głos Rourke'a był chrapliwy. Nagły zwrot w prawo niemal wywrócił czołg, John musiał więc skrócić z powrotem w lewo, przyspieszając jednocześnie. KP-6 pędził teraz, podskakując na nierównościach terenu i ziejąc ogniem karabinów maszynowych. Pozostali przy życiu żołnierze rozbiegli się w panice.

Wtedy Rourke dostrzegł namioty,

- John, to musi być główna kwatera Władymira - usłyszał głos Natalii w słuchawkach.

- Łapmy go - szepnął do mikrofonu. Dociskając gaz, nastawił celownik na konsolce. Wymierzył w najdalszy namiot i odpalił pocisk. Drgnięcie czołgu, głuchy odgłos, ślad granatu na monitorze, a wreszcie uderzenie i płomień strzelający w niego. Widział, jak strzępy ciał i części przedmiotów unoszą się w górę i beładnie opadają na ziemię. Natalia ze swoją załogą zachodziła obozowisko z prawej flanki.

- Numery od trzynastego do osiemnastego - skierować się do środka. Akiro, twoja załoga...

- Zachodzimy od lewej - przerwał Johnowi Karinami.

Następne dwa pociski uniosły się w powietrze i rozerwały dwa namioty, wraz ze stojącym obok helikopterem.

Doktor uruchomił wyrzutnię granatów. Jeszcze jeden śmigłowiec zmienił się w kłęb dymu i ognia. Wtedy pojawili się jacyś ludzie. Biegli w kierunku lądowiska, piechota osłaniała ich odwrót. Rozpędzony KP-6 bluznął ogniem z karabinów maszynowych. Żołnierze padli na ziemię, a Rourke odpalił pocisk wprost w uciekających ludzi. Zanim dopadli śmigłowca, pochłonął ich ogień.

Johnowi został tylko jeden pocisk.

Z prawej strony Natalia ze swoimi ludźmi atakowała inny czołg. A z przodu... Z przodu biegła grupka żołnierzy. Przed nimi kołysał się lekko śmigłowiec, gotów do natychmiastowego startu. Karamazow. Czuł to, wiedział to. Skierował KP-6 w jego stronę.

- John, mamy kłopoty - rozległ się głos Natalii. Na monitorze zobaczył, że dwa spośród towarzyszących jej wozów zmieniły się w stertę pogiętych blach. Wysoko w niebo strzelał czarny, gęsty dym. Rosyjski czołg. Jeszcze raz strzelił i następny wóz bojowy został zniszczony.

- Akiro, skreć w prawo. Pomóż Natalii.

- Tak jest.

Helikopter był już blisko. Kilku mężczyzn biegło w jego kierunku, podczas gdy żołnierze padli na ziemię, ostrzeliwując czołg doktora. Na ramieniu klęczącego mężczyzny zobaczył coś, co mogło być wyrzutnią pocisków przeciwpancernych. Nie było wyjścia. Odpalił ostatni pocisk: mężczyznę i otaczających go żołnierzy przesłoniła pomarańczowo-czarna kula ognia.

Śmigłowiec startował. Ludzie wdrapywali się do środka kabiny i wtedy Rourke skierował na

nich wyrzucił. Granaty wybuchały po obu stronach maszyny, helikopter wyraźnie się zachwiał, ale nadal unosił się coraz wyżej.

- John, to jakiś inny rodzaj czołgu. Chyba ma opancerzone gąsienice. Nie damy rady go zatrzymać - w słuchawkach rozległ się głos Akiro.

- Później - szepnął Rourke, ale nie do Japończyka. Do mężczyzny, o którym wiedział, że był na pokładzie startującego helikoptera.

Spojrzał na ekran, żeby sprawdzić, co się dzieje za nim. Rosyjski czołg zbliżał się do Natalii i pozostałych dwóch wozów. Z prawej flanki nadjeżdżał Akiro ze swoją grupą. John odezwał się:

- Mój pluton, do mnie. Zniszczyć punkt dowodzenia. - Wóz Johna zatoczył szeroki łuk w prawo, a potem przyspieszył. Rosyjski czołg wciąż strzelał. Dwa KP-6 z grupy Akiro były spalone, trzeci poważnie uszkodzony. John zwolnił i chwycił swój M-16. Przycisnął kolbę karabinu pedał gazu, a lufę zaklinował o poręcz fotela. Teraz mógł odpiąć pas. Jednocześnie odblokował przyciskiem na tablicy kontrolnej pokrywę wjazdu. Nad głową usłyszał szczęk zamka. Sięgnął do uchwyty przy wjeździe. Chwiejąc się w rytm ruchu czołgu i zerkając na monitor, uderzył pięścią w zatrask. Zamek puścił. Rosyjski czołg był oddalony może o sto pięćdziesiąt metrów, a KP-6, kołysząc się i podskakując, jechał z maksymalną szybkością wprost na niego.

Doktor podniósł pokrywę. Podmuch powietrza uderzył go w twarz, kurz wdarł mu się do oczu. Rourke wspinał się na wieżyczkę, zacisnął pięści i skoczył jak najdalej. Spadł ciężko na ziemię i potoczył się kilka metrów. Poczul ból w prawym ramieniu. Usiłował wstać. Potknął się, upadł na kolana. Obejrzał się: pięćdziesiąt metrów do zderzenia. Wstać za wszelką cenę! Pokonując ból, podniósł się i pobiegł, odliczając sekundy. Gdy doliczył do pięciu, padł na ziemię, osłaniając rękami głowę i szyję. Rozległ się łoskot, jak przy uderzeniu pioruna. Ziemia zadrżała.

Obrócił się na plecy. Słup ognia leniwie wspinał się w górę, a płomienie pochłaniały jego wóz i rosyjskiego potwora. Wjazd otworzył się, ludzie próbowali uciec z czołgu, ale skosiła ich seria z karabinu maszynowego.

John wstał, ściskając w obu dłoniach rewolwery. Ale dookoła nikt już do niego nie strzelał. Niebo na wschodzie upstrzone było czarnymi punkcikami. To uciekała radziecka flota powietrzna.

## ROZDZIAŁ III

Szli z Natalią przez pole zakończonej dopiero co bitwy. Poległych Rosjan było znacznie więcej niż Niemców. Rosyjski żołnierz, jeszcze młodzik, czołgał się w stronę swojej broni. Rourke kopnął karabin i ukląkł obok chłopca, by sprawdzić, czy można mu pomóc. Chłopak jednak umierał. Natalia odezwała się doń po rosyjsku:

- Skąd pochodzicie, kapralu?
- Z Miasta. Z Podziemnego Miasta. Czy to wy? - Ja?
- Wy, kobieta, którą towarzysz marszałek chce ujrzyć martwą.
- Władymir jest teraz marszałkiem? Władymir Karamazow?

Żołnierz skinął głową, zakaszał, a na brodzie pojawiły się krople krwi. Natalia otarła je - ręce chłopaka podtrzymywały wypadające jelita. Doktor zastanowił się, jak chłopak mógłby trzymać karabin, nawet gdyby się do niego doczołgał.

- Gdzie jest Podziemne Miasto? - Po raz pierwszy od dawna posłużył się językiem rosyjskim. Żołnierz albo nie usłyszał, albo nie chciał odpowiedzieć.
- Wszyscy trenowaliśmy, szykowaliśmy się na dzień, kiedy trzeba będzie stawić czoła wrogom.
- Ilu was jest w Podziemnym Mieście? - spytał Rourke.
- Ural jest taki piękny...
- Czy masz dziewczynę? - dowiadywała się Natalia.
- Tak. Ona jest...

Oczy były wciąż otwarte, ale nagle stały się puste, patrzyły donikąd. John zamknął mu powieki. Natalia pocałowała chłopca w czoło i delikatnie złożyła jego głowę na ziemi.

Nadbiegł zdyszany Kurinami. Przyniósł wiadomość od doktora Munchena. Podczas ataku nazistów okazało się, że Forrest Blackburn jest rosyjskim agentem. Porwał Annie i uciekł helikopterem. Paul, Michael i Madison gonią ich ciężarówką.

- Potrzebuję helikoptera - wolno wycedził Rourke.
- Pułkownik Mann wysłał już helikopter. Myśliwce czekają, żeby zabrać nas z powrotem do bazy "Eden". Doktor Munchen czuwa nad tym, aby śmigłowce zatankowano do pełna i aby na pokład dostarczono prowiant. Pułkownik rozkazał wydać dodatkową amunicję do naszej broni. Zaraz będzie tu helikopter, który nas zabierze do Complexu. Sarah i Elaine już czekają.

- Annie - wyszeptał Rourke, spoglądając gdzieś w niebo...

John wpatrywał się w biel, po której przesuwał się czarny cień niemieckiego helikoptera. Przy nim, na stanowisku drugiego pilota, siedziała Natalia Tiemierowna. Sarah usadowiła się przy drzwiach. Jej przedramię było owinięte szerokim bandażem. Nie umiała prowadzić śmigłowca i dlatego drugim pilotem była Natalia. Sarah starała się ogarnąć wzrokiem jak największy obszar przed sobą.

- John! Widzę coś po lewej stronie!
- W porządku! Trzymaj się!

Maszyna zatoczyła łuk w lewo. Rourke mrużył oczy za ciemnymi szklami okularów, z którymi się nie rozstawał. W zębach ścisnął nie zapalone, cienkie, ciemne cygaro. Bez lornetki mógł dojrzeć słabo odcisnięte w śniegu ślady opon.

- Widzę ślady! - krzyknął w głąb helikoptera. Natalia też krzyczała; nie używali tu hełmofonów.

- John, tam! Czarny punkt na śniegu! Tam!

Doktor przyspieszył. Przez ostatnie pół godziny leciał tak wolno, jak tylko było można.

- Trzymaj się, Sarah! Schodzimy w dół!

Im niżej był śmigłowiec, tym wyraźniejsza stawała się czarna plama na śniegu. Wkrótce było już jasne, że to półciężarówka. Jego półciężarówka! Michael, Madison i Paul, poszukujący Annie. John sięgnął do nadajnika.

- Kurinami! Tu mówi Rourke. Odbiór.

- John, tu Akiro. Widzisz ich? Odbiór.

- Włączam mój sygnał naprowadzający. - Rourke nacisnął dźwignię uruchamiającą sygnał radiowy.

- Widzimy ich. Bez odbioru. Helikopter jeszcze bardziej przyspieszył.

- Ciężarówka ma podniesioną maskę! - krzyczała Sarah z głębi śmigłowca.

Doktor poczuł, że mięśnie karku mu zeszywniały. Nie było śladu rosyjskiego helikoptera, którym Forrest Blackburn uprowadził jego córkę, Annie. Rourke nałożył słuchawki. Szansa na to, że jego syn Michael, Madison, nosząca dziecko Michaela, i ich przyjaciel, Paul, odnaleźli Annie, była bardzo nikła. Przyszłość zapowiadała się tak ponura jak krajobraz wokół nich.

Czarny cień śmigłowca sunął przed nimi po białej, bezkresnej pustyni. Śnieg, który zaczął sypać wczesnym rankiem, padał do tej pory. Za helikopterem tworzyły się wielkie, białe chmury lodowatych igiełek.

Usłyszał obok szcęk zamka karabinu. To Natalia repetowała M-16. Rourke wsunął dłoń pod brązową kurtkę lotniczą. Pod obydwoma pachami miał umocowane identyczne pistolety Detonics kaliber 45. Wyciągnął ten z lewej strony, odbezpieczył i wsunął sobie pod lewe udo. Śmigłowiec zaczął opuszczać się w dół.

Sarah przekrzykiwała szum powietrza, wdzierającego się przez otwarte drzwi.

- Widzę Paula, John! Macha do nas!

Przy każdym wydechu z ust Johna wydobywał się obłoczek pary. Było mu zimno. Teraz i on mógł dojrzeć stojącą przy samochodzie małą figurkę. Była jeszcze zbyt daleko, aby się dało gołym okiem odróżnić rysy twarzy. Ale jeśli to Paul i jeśli macha do nich, to znaczy, że przynajmniej on żyje. Dłonie odmawiały Rourke'owi posłuszeństwa, potrzebował całej siły woli, by utrzymać bezpieczną prędkość maszyny.

Annie. Jeśli Blackburn ją skrzywdził... John zagryzł wargi, kierując śmigłowiec nad ciężarówkę. Widział teraz, jak Paul odwraca się, chowając twarz przed tumanami śniegu wznoszonymi przez śmigła. W kabinie siedzieli Madison i Michael.

- Widzę ich! - krzyczała Sarah.

- Ale...

John spojrzął na Natalię, wyprowadził helikopter z pętli i pozwolił mu obrócić się o sto osiemdziesiąt stopni. Wylądował, obsypując śniegiem wszystko dookoła. Wszystko - oprócz Annie.

Obydwoje z Natalią odpięli klamry pasów i wstali z foteli. Sarah już wyskakiwała na ziemię, kiedy Rourke z pochyloną głową przesuwał się do drzwi. Natalia wyskoczyła. Paul już biegł w

stronę kobiet Sarah uściskała go i pobiegła do otwierających się właśnie drzwi ciężarówki. Natalia objęła i ucałowała Paula. Doktor zeskoczył na śnieg i schował pistolet do kieszeni. Paul odwrócił się w jego stronę.

- John, nie mogliśmy jej znaleźć. Były ślady lądowania i krótkiego postoju. Ślady stóp, które potem zgubiliśmy. Przeszukaliśmy teren, odkryliśmy jeszcze jeden ślad lądowania i dziurę.

Rourke zmrużył oczy.

- Musiał coś wykopać. Michael sądzi, że mógł to *być* schowek na broń albo na sprzęt potrzebny do przeżycia w bezludnym terenie. Pewnie przyszykował to jeszcze przed Nocą Wojny.

- De osób zostawiło ślady stóp?

- Tylko jedna. Mężczyzna...

Rourke spojrzął na śnieg i potrząsnął głową. Zrobił krok w przód i objął Paula Rubensteina.

- Znajdziemy ją. Tak mi dopomóż Bóg.

Rosyjski helikopter, którym uciekał Blackburn, był w powietrzu już prawie dobie. Przez całą noc Annie nie zmrużyła oka i nie odezwała się ani słowem. Gdy pojawiło się słońce, głowa opadła jej na piersi. Dłoń mężczyzny wędrowała od czasu do czasu na jej lewe, wciąż obnażone udo. Czowała, że jej pięknie pęcherz za chwilę, ale bała się prosić Blackburna, aby wylądowali i żeby ją rozwiązał. Wtedy mogłoby się zdarzyć to, czego obawiała się najbardziej. Pozwolił jej załatwić się, kiedy wydobywał swoje dawno zakopane zapasy, ale wciąż trzymał na muszce. Ledwo była w stanie to zrobić. Od tamtej chwili upłynęło już pół dnia.

W szczelnie zamkniętym helikopterze unosił się lekki zapach benzyny. Kanistry, stojące z tyłu, były mocno zakręcone i jeszcze nie używane. Ta woń pochodziła raczej z częściowo opróżnionej bańki, z której Blackburn dolewał paliwa w czasie postoju. Próbowwała mnożyć prędkość przez czas, żeby się choć w przybliżeniu zorientować, gdzie są. Przelecieli nad jakimś zbiornikiem wodnym; mogło to być jezioro albo zatoka. Kiedy zaświtało, w miejsce wody pojawiły się bezkresne pola śnieżne, nad którymi lecieli już od kilku godzin.

W końcu Blackburn odezwał się:

- Lądujemy. Pora uzupełnić paliwo. Rozwiążę cię, żebyś mogła się załatwić i zrobić nam coś do jedzenia. Nie rób głupstw, Annie. Jesteśmy prawie na siedemdziesiątym stopniu szerokości geograficznej, na wschodnim wybrzeżu Grenlandii. Śnieg i lód - nic poza tym. Nikt tu już nie mieszka. Przed nami jeszcze skok do Islandii. Przenocujemy tam, a potem polecimy do Skandynawii. Potrzebuję snu. Ale tobie nic nie pomoże. Nic.

Helikopter obniżył lot. Popatrzyła na mężczyznę. W słuchawkach znów zabrzmiał jego głos.

- Jeśli nawet jakimś cudem zdołałabyś mnie zabić, nie umiesz prowadzić helikoptera. Umrzesz więc z zimna. Nawet gdybyś uruchomiła śmigłowiec, rozbijesz się i - przy odrobinie szczęścia - spłoniesz.

Helikopter wylądował i Blackburn otworzył drzwi. Zadrżała mimo woli, gdy lodowaty wiatr ze śniegiem wtargnął do środka. Głowa pękała jej z bólu, chciało jej się spać, pęcherz uwierał, a teraz na dodatek zimno przenikało ją na wskroś. Nagie uda pokryła gęsia skórka. Blackburn rozwiązał kobietę i poszedł uzupełnić paliwo. Potem obszedł helikopter dookoła i otworzył drzwi od strony Annie. Znów uderzył ją zimny podmuch wiatru. Na udach poczuła lodowate ręce.

- Pamiętaj, co ci mówiłem? Dziś w nocy masz być dla mnie miła. Jeśli nie, mogę cię nie zabrać do Podziemnego Miasta, żeby tam się z tobą zabawili. Może po prostu zostawię cię na Islandii. Możesz włożyć płaszcz i buty, a i tak po paru godzinach umrzesz. Ale te godziny będą trwać



wieczność. - Uśmiechnął się, zdejmując jej z głowy hełmofon. Mikrofon w kształcie kropli uderzył ją w koniec nosa. Słuchawki zaplątały się we włosy, wyrrywając kilka pasemek. Mimo woli łzy napłynęły jej do oczu.

Rozwiązał sznury na jej kostkach, na przegubach, a potem odpiął pas bezpieczeństwa. Cofnął się. Annie próbowała poruszać palcami. Sztywnymi dłońmi usiłowała obciągnąć zadartą spódnicę. Wiatr wył, śnieg wirował, lodowate igiełki kłuły ją w policzki i dłonie, ale czucie wracało do zeszywniałych rąk. Poruszyła nogami. Ten ruch spowodował, że pęcherz jeszcze bardziej zaczął jej dokuczać. W stopach czuła mrowienie i ból. Blackburn wspiął się do niej. Zauważyła bagnet zawieszony u pasa. Próbowała zgiąć palce i dosięgnąć go, ale nie dała rady. Poza tym - miał rację. Gdyby go teraz zabiła, znalazłaby się w śmiertelnej pułapce. Nie umie prowadzić helikoptera. W czasie lotu obserwowała Blackburna uważnie, ale wiedziała, że to za mało. W dodatku prądy powietrzne na pewno są tu zdradliwe, a temperatury pracy silników - krytyczne.

Usłyszała dzwonięcie kanistrów, zapach benzyny stał się bardziej intensywny. Oblizła wargi i powiedziała:

- Muszę skorzystać z łazienki. Blackburn roześmiał się.

- Nie sądzę, żebyś znalazła tu coś takiego. Musisz znów wyjść na zewnątrz. I tym razem staraj się nie zmoczyć nóg. - Znów się zaśmiał - Mogłabyś zmarznąć. Albo zamarznąć. I nie idź zbyt daleko. Kiedy sypie taki śnieg, w ciągu paru sekund można stracić widoczność.

- Wiem - szepnęła, poruszając nogami i opierając się o framugę drzwi.

Dotknięcie metalu było jak oparzenie. Cofnęła dłoń. W kieszeni płaszcza miała rękawiczki. Otuliła się szczelnie paltem i pozapinała guziki. Potem uniosła się z fotela, obciągnęła spódnicę i halkę, poprawiła pończochy. Wokół szyi miała owinięty szal; sama go kiedyś zrobiła. Zdjęła go, owinęła wokół głowy i ramion. Wyjęła rękawiczki.

- Czy w zapasach, które wykopałeś, jest coś takiego jak papier toaletowy?

- Jest - odpowiedział. Odwróciła głowę i spojrzała na niego. Poprzednim razem zużyła ostatnią chusteczkę. Grzebał chwilę w plecaku i wyjął coś w buro-zielonkawym odcieniu. - Masz, łap. - Rzucił w jej kierunku rolkę. Niezdarnie chwyciła papier i włożyła go do kieszeni płaszcza. Znów spróbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jadła. Jakoś udało jej się wyjść na zewnątrz, choć o mało nie upadła na śnieg. Poprzez wycie wiatru usłyszała głos Blackburna:

- Pamiętaj, nie zgub się. Nie mam zamiaru cię szukać. Oparła się o kadłub śmigłowca i rozplakała się. Myślała o Paulu Rubensteinie. Tak bardzo go kochała! Myślała o Michaelu i Madison, która stała się jej bliska jak siostra. Miały wspólne tajemnice, wspólne marzenia. Myślała o rodzicach.

Myślała też o Natalii - Natalii, która uratowała swoje życie, pozornie ulegając mężczyźnie. A kiedy już był pewien, że nie może mu się oprzeć, Rosjanka zabiła go jego własnym nożem.

Annie ruszyła przed siebie, mrużąc oczy przed padającym śniegiem. Zasłoniła szalem usta i nos, usiłując chronić twarz przed lodowatymi igiełkami.

Przez przymrużone rzęsy, na których osiadł śnieg, zobaczyła biały wzgórek. Może to była skała. Pochyliła się i walcząc z wiatrem, poszła w tamtą stronę.

Załatwi się. Wróci jak grzeczna dziewczynka do helikoptera, przygotowuje Blackburnowi posiłek i sama się zmusi do jedzenia. Pomimo, że od wielu godzin nie miała nic w ustach, mdliło ją na myśl o jedzeniu. Ale musi przetrwać. A tej nocy, choćby miała to przypłacić życiem, raczej zabije Blackburna niż mu się odda.

Było bardzo zimno, kiedy kucnęła za skałą. Oczy miała pełne łez, a na ubraniu zaczął osiadać lód...

Siedzieli w helikopterze, jedząc i rozmawiając.

- Akurat pękła węzownica w chłodnicy. Wymieniłem ją i topiliśmy śnieg, mieszając go z płynem przeciw zamarzaniu, który był w skrzynce z narzędziami.

Sarah poklepała Paula po kolanie.

- A więc, jakby powiedział John, opłaca się być przewidującym. - Popatrzyła ponad głowę Paula w oczy męża. - Co jeszcze schowałeś w ciężarówce?

Zagadnięty uśmiechnął się.

- Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała.

- Ojciec, kiedy odkryliśmy miejsce, gdzie wylądował helikopter, myśleliśmy...

John Rourke położył dłonie na ramionach swojej, de facto, synowej.

- Madison, jesteś naprawdę kochana. Oparła głowę na jego lewym ramieniu.

- Musimy odzyskać Annie - odezwał się Michael. - Czuję się dostatecznie dobrze, abym mógł podróżować. Nie martw się, tato. Nie musimy przecież iść pieszo.

Rourke skinął głową.

- Myślałem o tym. Skądkolwiek przybywa Karamazow ze swoją armią i ze swoimi maszynami, gdziekolwiek te maszyny zbudowano...

- Podziemne Miasto - wtrąciła Natalia. - Chłopiec umierający na polu bitwy.

Doktor przytaknął jej:

- Blackburn jest radzieckim agentem. A więc to tam się udał. Nie ma innego powodu, dla którego miałby lecieć na północ zamiast na południe, gdzie mógłby dołączyć do wojsk Karamazowa. To musiało być częścią jego zadania. Gdy pojazdy "Projektu Eden" wróciły na Ziemię, miał dokąd odejść. Tylko głupiec albo patriota zrobiłby to, co on. Infiltracja "Projektu Eden", ryzyko wpadki, rezygnacja z własnego, prywatnego życia - tylko głupiec albo patriota, zrobiłby to, nie zostawiając sobie drogi odwrotu.

- Nie sądzę, żeby był jednym albo drugim - mruknęła Natalia.

- Ja też nie - zgodził się Rourke.

- Tak więc ma cel, a Annie jest jego zakładniczką na wypadek, gdybyśmy go złapali przed dotarciem do tego celu. I...

- Powiedz to - Paul wolno cedził słowa. - Zabrał ją, bo po pięciuset latach...

- Bo jest kobietą - szepnęła Elaine Halverson. Kulinarni, który jadł powoli i nic nie mówił, pokiwał głową.

- Tak - przytaknęła Natalia. - Właśnie dlatego.

- Jeśli ją tknie, wyrwę mu to jego zasrane serce - spokojnie powiedział Paul.

John Rourke znowu zabrał głos.

- Ponieważ leci helikopterem, w miarę możliwości musi unikać przelotu nad dużymi zbiornikami wodnymi. Jest więc oczywiste, co ma zamiar zrobić. Przez Kanadę poleci do Grenlandii, z Grenlandii do Islandii, a stamtąd do Szkocji lub Norwegii - odległość prawie ta sama. Ja jednak powiedziałbym, że do Norwegii. To prostsza droga do Związku Radzieckiego.

Natalia bawiła się swoim nożem sprężynowym, otwierając go i zamykając.

- Do Podziemnego Miasta na Uralu.

- Tak - potwierdził doktor.

- Ale jak je znajdziemy? - spytał Kurinami z ustami pełnymi jedzenia. - Nie mamy żadnego samolotu, który mógłby lecieć dostatecznie wysoko i obserwować zmiany w podczerwieni.

- Ludzie pułkownika Manna. Jego myśliwce mają o wiele większe możliwości niż helikoptery, zarówno nasze, jak i ten Blackburna. Możemy dostać SR-71, jeśli naprawdę będziemy ich potrzebować.

Rourke przeciągnął się.

- Ale, mimo dobrych chęci Manna, możemy dostać od niego tylko kilka myśliwców. Podczas walk o Complex stracił jedną trzecią swoich wojsk. W czasie pierwszej bitwy z Karamazowem utracił mnóstwo ludzi i broni. Część żołnierzy z Complexu śledzi odwrót Rosjan, bo chcą ich namierzyć. Załoga chroniąca bazę "Eden", została uszczuplona. Nie możemy liczyć na wiele więcej niż rekonesans. Myślę jednak, że tego właśnie nam teraz potrzeba.

- John pochylił głowę. - A teraz powiem wam, co zrobimy, dopóki ktoś nie wpadnie na lepszy pomysł. Oba nasze śmigłowce mają duże zapasy paliwa. Jeśli mam rację, że Blackburn podąża z Kanady do Europy przez Islandię, to prawdopodobnie w tej chwili jest gdzieś w rejonie Grenlandii. Może tam się zatrzymać. Musi gdzieś wylądować, bo kiedy opuści Islandię, będzie miał co najmniej tysiąc kilometrów do pokonania, zanim doleci do najbliższego lądu. Nie jest aż tak szalony, żeby podjąć się tego, skoro nie spał od tylu godzin. Nie ma drugiego pilota, który by go zastąpił. Nie gwarantuję, że zatrzyma się na Islandii, ale myślę, że tak właśnie robi. To jest jedyne założenie, jakie możemy teraz przyjąć. Dzięki szybkości, jaką mogą rozwinać oba nasze śmigłowce, zdołamy przeszukać spory kawałek Islandii. Blackburn nie mógł ukryć helikoptera i nie sądzę, żeby znalazł dobry sposób na zakamuflowanie go. Po winniśmy więc go dojrzeć z odległości wielu mil. O ile dobrze sobie przypominam, to Islandia jest mniej więcej tej samej wielkości co Georgia, może trochę mniejsza. Jeżeli tutaj, tak daleko na południe, jest śnieg, to Islandia musi być pokryta śniegiem i lodem. Helikopter jest czarny, powinien być widoczny jak na dłoni. Nasze celowniki są wyposażone w czujniki termiczne. Możemy je uruchomić i wtedy zlokalizujemy nie tylko ognisko, ale może i ciepło pracującego silnika. Jeśli nie znajdziemy ich, myśliwce pułkownika Manna mogą przelecieć wzdłuż i wszerz cały teren na północny wschód od Hawru, wzdłuż wybrzeża Norwegii, aż do Morza Barentsa. Gdybyśmy nie wykryli helikoptera, myśliwce na pewno to zrobią. Odzyskamy Annie.

- Z Bożą pomocą - szepnęła Madison. Rourke wstał, dopijając resztkę kawy.

- Zabezpieczmy ciężarówkę i obliczmy jej pozycję. Pułkownik Mann może kogoś tu po nią przysłać, a my ruszajmy w drogę.

## ROZDZIAŁ IV

Annie miała nadzieję, że zapasy żywności najprawdopodobniej napromieniowano, aby zapobiec rozmnażaniu się bakterii. Dawno temu, w Schronie, ojciec zrobił to samo z mięsem i innymi łatwo psującymi się produktami. Owinięta kocami siedziała przy przenośnym piecyku, na którym grzała się woda. Blackburn linami przywiązał helikopter do pali i skonstruował małą przybudówkę, chroniącą piecyk przed wiatrem.

Ból głowy nie ustępował, ale kobieta sądziła, że ciepły posiłek przyniesie jej ulgę. Woda grzała się już długo, wciąż jednak nie wrzała. Ojciec Annie był zdania, iż dzieje się tak dlatego, że atmosfera jest obecnie rzadsza niż dawniej. Kiedy wielki ogień ogarnął niebo i pochłonął prawie całe życie, skład powietrza się zmienił. A poza tym, pod tą szerokością geograficzną powietrze jest jeszcze rzadsze niż gdzie indziej. Mimo to jednak oddychało się przyjemnie, choć było mroźno.

Nagle przyszło jej na myśl zdanie znane z lektury, a może z jednej z taśm wideo zgromadzonych przez ojca w kryjówce: "Woda, na którą patrzysz, nigdy się nie zagotuje". Odwróciła wzrok od garnka, aby się nie sprawdziło to stare powiedzenie. Doszła jednak do wniosku, że mogło to dotyczyć czajnika z gwizdkiem, a nie zwykłego garnka. "Bo jeśli nie będziesz patrzeć na wodę, to skąd się dowiesz, czy już wrze?" Spojrzała znów na garnek - woda wrzała.

Pomimo swej trudnej sytuacji uśmiechnęła się.

Szukali jej, teraz już byli w drodze. Wiedziała o tym, czuła to.

- Jak ci idzie? - usłyszała poprzez szum wiatru głos Blackburna. Wiedziała, że mężczyzna stoi za nią, ale nie odwróciła się.

- Pytam, jak ci idzie?

- Woda właśnie zaczęła się gotować. Teraz zajmie mi to już tylko parę minut.

Zaczęła otwierać foliowe opakowania, obserwując kątem oka Blackburna, siadającego na jednym z dwóch koców. Ona klęczała na drugim. Gdyby ojciec lub Natalia znaleźli się na jej miejscu, nie traciliby czasu.

- Gdzie jest Podziemne Miasto?

- Na Uralu. Było znakomicie zorganizowane i zupełnie samowystarczalne do czasu, który w nazywacie Nocą Wojny. Kiedy rozpoczęła się wojna, nadal funkcjonowało. Musiało, bo w przeciwnym razie nie byłoby ani radzieckich helikopterów, ani tej nowoczesnej technologii.

Annie roześmiała się, patrząc mu w oczy po raz pierwszy od chwili, kiedy ją porwał.

- Czy kobieta klęcząca przed garnkiem wrzątku pośród burzy śnieżnej, to według ciebie oznaka postępu technicznego?

Blackburn uśmiechnął się.

- Wiesz, co mam na myśli... - przerwał, kiedy wręczyła mu przygotowany posiłek w opakowaniu. Wyglądało to, jak boeuf Strogonow lub coś w tym rodzaju, ale nie mogła odczytać nazwy napisanej cyrylicą.

- Wiesz, jesteś bardzo ładną dziewczyną. Myślałem o tym, Annie. Nie chcę, żebyś się mnie bała.

Naprawdę nie chce cię skrzywdzić. Musiałem zrezygnować ze swojego normalnego życia. Byłaś moją najlepszą polisą ubezpieczeniową. I nie ma innego miejsca, gdzie mógłbym cię zostawić.

- Daj mi trochę prowiantu - powiedziała Annie. - Sam i tak wszystkiego nie zużyjesz. Daj mi kilka koców i raketnicę, a nie zmarnuję tej szansy. Będą mnie szukać.

- Nie, tego nie zrobię. Jestem Amerykaninem, a nie Rosjaninem. Podobają mi się amerykańskie dziewczyny. Nie wiem, jakie szkaradne sługi narodu mają tam, w Podziemnym Mieście. Wiem natomiast, że podoba mi się to, co widzę tutaj.

Zaczęła jeść, myśląc o tym, co zrobiła Natalia.

- A jeśli mnie nie podoba się to, co widzę? - spytała cicho.

- Czy tak właśnie jest?

- Porwałeś mnie. Traktowałeś mnie jak jakieś zwierzę.

- Potrafię być miły, Annie. Bardzo miły. Naprawdę.

Annie włożyła do ust pełną łyżkę. To miał być chyba kurczak z ryżem, ale całkiem bez smaku.

- Nie wiem - skłamała. - Czy mam jakiś wybór?

- Trzeba przyznać, że niewielki - Blackburn uśmiechnął się, nabierając sobie jedzenia.

Wzięła przez rękawicę garnek z wrzątkiem i nalala trochę wody do jedynej filiżanki. Na dnie była liofilizowana kawa czy też herbata. Annie nie była pewna, bo nie miało to żadnego zapachu.

Zamieszała ciec trzonkiem łyżki. Wyciągnęła rękę do Blackburna i podała mu filiżankę. Wziął ją uśmiechając się...

Układ ładu i wody pod nimi odpowiadał dorzeczu rzeki Hamilton w prowincji Quebec. Tak przynajmniej wynikało z pięćsetletniej mapy, którą Rourke trzymał w dłoniach.

- Akiro, w tym miejscu się rozdzielimy - powiedział John do mikrofonu. - Lecisz tak, jak zaplanowaliśmy - wzdłuż wybrzeża. Kiedy dolecisz do wyspy Alpatok za Nową Funlandią, weź pod uwagę poprawkę wskazań kompasu, którą obliczyliśmy. Odbiór.

- Tak jest, John. A tak między nami, znajdziemy Annie. Odbiór.

- Powodzenia. Bez odbioru.

Rourke wyłączył się, mógł jednak słyszeć, gdyby Akiro chciał go wywołać. Sarah i Paul na zmianę kontrolowali wszystkie częstotliwości, próbując złapać jakiś zabłąkany sygnał od Blackburna lub SOS od Annie.

Zadecydowano, a właściwie doktor sam zdecydował, że Kurinami, Elaine Halverson, Michael i Madison powinni lecieć trasą, którą, według wszelkiego prawdopodobieństwa, wybrał Blackburn: wzdłuż wybrzeża Kanady do Grenlandii. To była trasa dla jednego pilota.

Tak długi lot wymagał dwóch pilotów. Mieli przelecieć w linii

prostej nad wodą do Grenlandii. Chociaż zbiorniki były pełne, Rourke wolał nie myśleć o odległości, którą musieli pokonać. W każdym razie obliczył wszystko, posługując się mapą i kompasem tak dokładnie, jak to tylko było możliwe.

Zatoczył łuk w prawo, w stronę morza. W oddali było widać wierzchołki gór lodowych. Jego podejrzenia zaczęły się potwierdzać: biegun magnetyczny uległ znacznemu przesunięciu. Igła kompasu odchylała się na północ bardziej niż powinna i błąd się zwiększał, im bliżej byli bieguna. Wkrótce jednak zapadnie noc i John miał nadzieję, że będzie można się kierować według gwiazd. Natalia przejęła stery. Rourke obserwował niebo przez lornetkę. Gdyby noc była pochmurna, musieliby się zdać na kompas i jego niedokładne wskazania.

Sarah precyzyjnie się do przodu i uklękła między mężem a Natalią. Mówiła głośno, żeby

przekrzyczeć warkot silnika.

- Co będzie, jeśli oni nie lecieli tędy, John? Co zrobimy?

- Nie ma innej drogi, którą mogliby lecieć, Sarah. Jeśli nie będziemy mogli ich wyśledzić, znajdziemy Podziemne Miasto i jakoś dostaniemy się do środka.

- Czy myślisz, że on...

Popatrzył na żonę. Natalia obróciła się w stronę Sarah i lekko dotknęła jej ramienia.

- Sarah, Annie jest bardzo sprytna i jeśli ktokolwiek mógłby sobie poradzić z Blackburnem i mógłby uniknąć... to właśnie ona. Ja to wiem.

Doktor patrzył przed siebie. Chmury gromadziły się i wyglądało na to, że będzie burza. Zwiastowały ją ołowianoszare smugi na północy, tam dokąd lecieli. Miał nadzieję, że Natalia się nie myli...

Annie miała uczucie przejedzenia po drugim w tym dniu posiłku. Właściwie była już prawie noc. Tym razem nie siedzieli w przybudówce, tylko w namiocie, który znajdował się w ekwipunku na pokładzie helikoptera. Była tam też butelka wódki. Annie zastanawiała się, czy alkohol należy do wyposażenia apteczki radzieckich pilotów.

Forrest Blackburn pociągnął z butelki i podał ją Annie. Wypiła trochę, starając się, aby wyglądało to na więcej niż jeden łyk. Pospiesznie, ale nie bardzo pośpiesznie, oddała mu butelkę.

W ciągu dnia lecieli nad otwartym morzem. Kobieta bała się i poczuła ulgę dopiero, kiedy zapadł zmierzch. Nie widząc wody, obserwowała światełka na tablicy rozdzielczej, a na ich tle sylwetkę człowieka, od którego teraz zależało jej życie.

Blackburn znowu łyknął trochę wódki.

Nieubłaganie nadchodził decydujący moment. Nie miała pojęcia, co zrobi, jeśli się jej uda. Może pójdzie do helikoptera i postara się wezwać pomoc przez radio. Jeśli nie poradzi sobie z radiem, będzie musiała tu umrzeć. Ale było coś jeszcze gorszego niż śmierć. Na przykład zbliżenie z Blackburnem.

Patrzył na nią. Próbowwała uśmiechnąć się tak, żeby wyglądało to naturalnie.

- Upijesz się - powiedziała.

- Nie, nie upiję się. Gdyby mi się film urwał, obydwójce stracilibyśmy wiele tej nocy.

Annie nie odpowiedziała.

- Myślisz może, że ja się zaleję, a ty mnie zabijesz i uruchomisz nadajnik? Nic z tego. - Sięgnął do wewnętrznej kieszeni. - Widzisz to?

Była to mała płytką z tworzywa. Cienkie druciki na jej powierzchni tworzyły jakiś wzór. Domyśliła się, że to obwód.

- Widzę.

- Dzięki temu działa radio. W częściach zamiennych nie ma drugiej takiej. Sprawdziłem to.

Miażdżona płytką zachręściła, gdy zacisnął pięść.

- Jesteś szalony, Blackburn - szepnęła.

- Nie, to tylko jeszcze jedno zabezpieczenie, Annie. - Uśmiechnął się. - Nie mam z kim rozmawiać. Znam położenie Podziemnego Miasta. Nie potrzebuję radia, żeby je znaleźć. A na pewno nie chcę, żebyś ty się dobrała do radia i wysłała jakieś sygnały do swoich przyjaciół.

Wokół namiotu wyl wiatr, szarpiąc jego ściany.

Odchyliła się w tył, daleko, aż na śpiwór. Koc zsunął się jej z ramion, odsłaniając rozpięty płaszcz. Rozwiązała szal przykrywający jej włosy.

- Czy to zaproszenie?

- Nie chcę umrzeć. Nie mam wyboru. Nie ma sensu przegrywać. Ale... - Zawahała się i tym razem powiedziała prawdę. - Ale ja jeszcze nigdy tego nie robiłam. Nigdy w życiu. Będziesz musiał mi pomóc.

Blackburn wstał. Zachwiał się, jakby zaraz miał się przewrócić, odzyskał jednak równowagę i spojrzał w dół, na dziewczynę.

- Jesteś piękna, Annie. Masz piękne włosy i oczy. Lubię długie włosy. Lubię piwne oczy. Nie masz pojęcia, jak dobrze robi człowiekowi znów zobaczyć długowłosą dziewczynę w sukience, kiedy wszystkie inne kobiety noszą taki sam strój roboczy jak on, a ich włosy są równie krótkie jak jego. Przyjmując propozycję Karamazowa, nie zdawałem sobie sprawy, jak to będzie, kiedy obudzę się po pięciuset latach. Wszystko przeminęło. Żadnych przyjaciół. Nikt mnie nie znał. Ludzie z "Projektu Eden", do diabła z nimi! Sentymentami idealiści. Ty, Annie, ty jesteś zupełnie inna. Nie sądziłem, że pójdzie mi tak łatwo. Ale cieszę się. Zgwałciłbym cię, wiesz o tym?

Nie sądziła, żeby czekał na jej odpowiedź.

- Ale nie chciałem, żeby to się stało w taki sposób. Będę dobry dla ciebie. Będiesz ze mną bezpieczna.

Obszedł stojącą między nimi latarnię i ukląkł przy Annie. Lewą dłoń położył na jej nodze, tuż nad cholewką buta. Czują, jak jego ręka przesuwa się coraz wyżej po pończosze, wzdłuż łydki, sięga pod spódnice, zatrzymuje się na nagiej skórze uda.

- Jesteś miękka, taka miękka w dotyku.

Uświadomiła sobie nagle, że ten człowiek próbuje być miły i na swój sposób uczciwy. Chciał, żeby było jej dobrze. W tym momencie poczuła jakby odrazę do siebie samej za to, że jej jedynym zamiarem i pragnieniem jest go zabić.

- Masz miły głos - powiedziała miękko. - A twoje dłonie są ciepłe.

Teraz obie ręce obejmowały jej lewą nogę, dotykały jej pod ubraniem. Blackburn przerwał pieszczoty i odpiął pas. Zdjął go i położył obok latarni. Na tle ścianki namiotu Annie widziała zarys kolby i pochwę z bagnietem. Spojrzała Blackburnowi w oczy. Czują na policzku jego gorący oddech, czują lekki zapach wódki, kiedy dotknął wargami jej czoła. Zamknęła oczy. Całował jej powieki. Zadrżała, mimo że oblewał ją pot.

- Co ci jest, Annie?

- Zimno mi - szepnęła, było w tym sporo prawdy.

Położył się obok niej, wsuwając lewą dłoń pod jej sweter. Sięgnął do guzików bluzki, dotknął nagiej skóry brzucha. Mocno zacisnęła powieki, obejmując go i prosząc w myślach Paula o wybaczenie. Musnęła ustami lewy policzek Blackburna. Był szorstki, nie ogolony, jak policzek ojca, kiedy jako mała dziewczynka całowała go na dzień dobry. Zrobiło się jej niedobrze. Lewa dłoń mężczyzny dotarła do jej prawej piersi. Podciągnął w górę stanik i delikatnie pieścił palcami jej sutek. Jęknęła, czując jego dotyk. Usta Blackburna rozgniały jej wargi. Oddała mu pocałunek. Czy robiła to, żeby go jeszcze bardziej podniecić, żeby wzbudzić jego zaufanie? Czy może on też ją podniecał? Nie wiedziała. Nie było czasu, żeby się zastanawiać. Jej lewa ręka powędrowała wzdłuż jego prawego boku. Palce natknęły się na coś. To była kolba pistoletu. Pomyślała, że wolałaby nóż. Widziała, jak sprawdzał pistolet i wiedziała, że jest naładowany. Co by było, gdyby go nie załadował? Całował jej szyję, prawą rękę chwytając włosy i odchylając głowę do tyłu, tak że ledwo mogła oddychać. Jego lewa dłoń wędrowała po jej ciele. Ściągał z niej majtki. Czują w namiocie

zimne, nocne powietrze, a na sobie - szorstką dłoń Blackburna.

Namaciała pochwę pistoletu. To był M-12. Szarpnęła zatrzask i wyjęła broń. Widziała już przedtem taki pistolet; ojciec pokazywał jej wszystkie rodzaje broni, jakie miał. Palce Blackburna wędrowały po jej podbrzuszu, coraz niżej, coraz głębiej. Poczula nagły ból i wstrzymała oddech. Jakby z oddali usłyszała swój cichy okrzyk. Zdawało się jej, że w jakiś sposób obserwuje z zewnątrz swoje ciało. Niemal widziała mężczyznę na sobie. Jego twarz, nachyloną nad jej twarzą, swoją zadartą spódnicę i halkę i jego natrętą dłoń między nogami. Drżała. W lewej ręce trzymała kolbę pistoletu, tak ciężkiego jak pistolet Paula. Strzelała kiedyś z takiej broni; ojciec pozwolił jej, kiedy byli jeszcze w Schronie.

Uniosła kciukiem bezpiecznik, głośnym jękiem zagłuszając szcęk metalu. Próbowwała sobie przypomnieć wygląd pistoletu. Czy był podobny do czterdziestki piątki? Nie pamiętała. Nie było jednak wyjścia. Kciukiem cofnęła iglicę. Nie mogła ryzykować długiego manipulowania przy zamku. Teraz przypomniawszy sobie, że ten typ pistoletu ma wskaźnik załadowanej komory. Przesunęła kciukiem po metalu, próbując wyczuć wystający jęczyczek wskaźnika. Nic nie wystawało.

Palce Blackburna penetrowały ją w środku, głębiej i głębiej. Poruszała się pod nim rytmicznie, jakby nie panowała już nad swoim ciałem.

Nóż. Gdzieś tu musi być nóż.

Lewą ręką namacała rękojeść bagnetu i chwyciła ją mocno. Starła się przypomnieć sobie, jak wygląda zapięcie pochwy. Podważyła je kciukiem i znów jęknęła, żeby zagłuszyć hałas. Pomału wysuwała nóż, podczas gdy jej ciało wciąż poruszało się pod Blackburnem. Ujął jej prawą dłoń i przyciągnął do swojego krocza. Wyczuła twardego kształt. Poprowadził jej rękę do zamka przy rozporoku. Zaczęła go rozpinąć, a on znów dotykał jej ciała, ustami wpijając się w szyję. Wstrzymała oddech, gdy ostrze bagnetu zachrzęściło o brzeg pochwy.

Nóż był na wierzchu, zamek błyskawiczny rozpięty.

Zamknęła oczy, sięgnęła w głąb jego kalesonów i namacała jądra. Zacisnęła dłoń z całej siły, wpijając się w nie paznokciami, podczas gdy trzymany w lewej ręce bagnet wbiła w sam środek jego pleców.

- Dziwka! - wrzasnął. Annie wyrwała nóż, a prawa dłoń Blackburna zacisnęła się na jej gardle. Jego lewa dłoń była wciąż między jej nogami; ścisnęła ją mocno, nie pozwalając mu jej wyrwać. Gniotła i skręcała jego jądra, gryząc go w policzek i zadając kolejne ciosy bagnetem. Przebiła mu prawą nerkę, uderzyła znów i znów trafiła w nerkę, a potem w kręgosłup. W końcu leżące na niej ciało przestało się ruszać. Jej twarz owionął długi, słabnący oddech. Na dłoni poczuła lepłą wilgoć.

Zamknęła oczy. Nie chciała napotkać jego martwego wzroku. Wydawało się jej, że w oczach Forresta Blackburna pozostało pytanie: "dlaczego"?



## ROZDZIAŁ V

Reszką ciepłej wody spłukała z ręki białą cieczą. Mydło dał jej Blackburn, kiedy myła ręce przed przygotowaniem posiłku.

Bagnet nadal tkwił w plecach agenta.

Nigdy by się nie zdobyła na to, aby go wyciągnąć. Na pokładzie helikoptera był inny nóż, który mogła zabrać.

Włożyła nabój do komory beretty, ale gdy przytknąwszy lufę do koca chciała wystrzelić, spust się zaciął. Gdyby pistolet był wcześniej załadowany i gdyby przyłożyła go do boku Blackburna, mógłby nie wypalić. Wtedy to ona byłaby martwa.

Kłęcząca w rogu namiotu, jak najdalej od zwłok. Było jej bardzo zimno, ale zdjęła sweter i bluzkę, uniosła spódnicę i dokładnie umyła się wszędzie tam, gdzie dotykał jej Blackburn.

Jeśli przeżyje, opowie wszystko Paulowi. Wszystko. Nie wiedziała, czy Rubenstein jej przebaczy, czy w ogóle uzna, że jest powód, aby cokolwiek wybaczyć. Spłukała mydliny i wytarła się do sucha zapasowym kocem z szorstkiej wełny. Potem ubrała się i owinęła pledem, nie przejmując się tym, że jeden róg był mokry. Na drugim kocu leżał trup Blackburna.

Wyszła z namiotu. Na zewnątrz szalał lodowaty wiatr, ale musiała się załatwić, używając ostatni kawałek papieru toaletowego. Może na pokładzie śmigłowca będzie jeszcze jakaś rolka. W lewej dłoni przez cały czas ścisnęła pistolet. Kiedy wróciła do namiotu, automatycznie skierowała go w stronę Blackburna, ale ten człowiek nie mógł być już bardziej martwy. Jego zwieracze - tak się to chyba nazywało - puściły i w namiocie unosił się koszmarny zaduch. Zmusiła się jednak do przeszukania jego kieszeni. Znalazła szwajcarski nóż bojowy. Każdy uczestnik "Projektu Eden" miał nóż. Zabrała go. Była też chusteczka, którą zostawiła.

Owinęła się jeszcze jednym kocem, zastanawiając się, z czego zrobić owijacze na stopy i jakieś spodnie. Marzły jej nogi, a buty nie mogły uchronić ich przed odmrożeniem. Poza tym wiatr wdzierał się pod spódnicę. Wzięła następny koc, a kieszenie płaszcza wypchała porcjowanym prowiantem, który przyniósł Blackburn.

Pomyślała, że może okłamał ją, może radio będzie działać. A może znajdzie zapasowy obwód i nada jakiś sygnał?

Znów wyszła z namiotu, od stóp do głów opatulona kocami.

Pochyliła się, idąc pod wiatr w stronę helikoptera. Właściwie nie ma po co tam iść, bo i tak nie umie prowadzić śmigłowca. Może najwyżej znajdzie tam drugi nóż.

Dotarła do maszyny i wdrapała się do środka. Przeszła do kabiny, dokładnie zatrząskując za sobą drzwi, choć nie wiedziała, dlaczego to robi. Czuła się tam jak w grobie.

Noc właściwie nie zapadła: to oni wlecieli w jej obszar. Zamglona, kula słońca, widniejąca na horyzoncie, zniknęła w pewnym momencie tak, jakby nigdy nie istniała.

Obserwując Blackburna, zapamiętała wiele rzeczy. Włączyła więc zasilanie, zapaliła światło i znalazła radio. Nie miała zamiaru nic mówić, bo Rosjanie mogli prowadzić nasłuch na tej

częstotliwości. A być uratowaną przez nich to gorzej niż nie być uratowaną w ogóle.

Radio milczało.

Z boku znajdował się czerwony przycisk. Nadusiła go i zapaliło się światelko. Jeszcze raz przycisnęła - światelko nie zgasło.

- Cholera - syknęła.

Z tablicy przyrządów pokładowych kobieta wzięła latarkę. Ledwo świeciła. Annie pomyślała, że to z powodu zimna. Zaczęła myszkować w ogonie śmigłowca, szukając czegoś, co mogłoby jej się przydać. Znalazła trochę żywności. Sprawiała wrażenie świeższej, choć nie była tak szczelnie opakowana. Był też nóż. Wyglądał solidnie: rękojeść miał obciążoną syntetyczną skórą, a nasadka na końcu mogła pełnić funkcję młotka. Ostrze z jednej strony wy-szlifowane, a z drugiej ząbkowane jak piła, miało co najmniej piętnaście centymetrów długości. Prawdopodobnie było z nierdzewnej stali. Pochwę wykonano z jakiegoś tworzywa, które imitowało skórę, ale pękało na mrozie. Schowała nóż do kieszeni i szukała dalej. Natknęła się na kompas, którego igła wciąż się odchyłała o co najmniej dziesięć stopni.

- Okropne - powiedziała sama do siebie. Mały worek zawierał sprzęt do łowienia ryb. Wiedziała, co to takiego, bo ojciec pokazywał jej kiedyś, jak się tym posługiwać. Ale przecież ryb już nie było. Odsunęła worek na bok.

Na apteczce widniał czerwony krzyż. Annie szybko przejrzała jej zawartość. Znalazła nici chirurgiczne. Postanowiła użyć ich wraz z żyłką wędkarską do uszycia grubych spodni z koca. Mając takie zajęcie, mogłaby choć na chwilę przestać myśleć o śmierci.

Rakietnica i rakiety. Może się przydadzą. Może. Żadnej broni. Karabiny maszynowe na pokładzie nie nadawały się do noszenia, nawet gdyby je wymontowała. Musiał jej wystarczyć pistolet Blackburna, rosyjski nóż i M-16.

Namiot był jedynym miejscem, gdzie mogłaby spędzić noc. Co do ciała Blackburna, to można je przecież wyciągnąć na zewnątrz na kocu i... Annie rozplakała się, kryjąc twarz w dłoniach.

Nie mogła zasnąć. Nożem zrobiła wykrój spodni i zaczęła je zszywać nićmi chirurgicznymi i żyłką. Ręce jej drżały z zimna i ze strachu. Z resztek koca zrobiła pasek do spodni. Oceniała, że ma dość żyłki wędkarskiej, żeby uszyć to, co zaplanowała. Na pokładzie śmigłowca znalazła linę, ale postanowiła nie odcinać jej końca. Doszła do wniosku, że w nieznanym terenie dodatkowe sześćdziesiąt centymetrów liny może jej się przydać bardziej niż pasek.

Zszywała prawą nogawkę, kiedy nagle usłyszała jakiś nieokreślony dźwięk.

Dźwięk się powtórzył. Przerwała szycie, wbiła igłę w materiał, wsunęła obie ręce pod otulające ją koce i znieruchomiła nasłuchując. Na płaszczu miała zapięty pas Blackburna. Wyrzuciła pochwę bagnetu i na jej miejsce przyczepiła rosyjski nóż w futerale podobnym do skórzanego. Z prawej strony miała przypięty pistolet. Sięgnęła teraz po niego i wyjęła spod koców.

Gdyby to był Paul, jej ojciec, czy nawet Michael, obdarzony nieco dziwnym poczuciem humoru, to na pewno żaden z nich nie myszkowałby koło namiotu. Po śmierci ciało Blackburna wydawało się cięższe, niż za życia, więc nie odciągnęła go zbyt daleko. Owinęła je kocem i zostawiła, mając nadzieję, że do rana śnieg przykryje zwłoki.

Znów ten dźwięk. Ściana namiotu za nią poruszyła się i wygięła, a potem, cokolwiek się o nią oparło, odeszło. Annie w obu drżących rękach trzymała beretę.

- Kto tam jest? - krzyknęła przerażona.

Przypomniały się jej opowieści o duchach. Blackburn? Czyżby wrócił po śmierci?

- Nie, to przecież niemożliwe - uspokajała siebie. Odłożyła pistolet na kolana i naciągnęła rękawice. Jednocześnie pomyślała, że z resztek koca warto by zrobić dodatkowe rękawiczki, żeby lepiej ochronić dłonie.

Ścisnęła znowu kolbę beretty w swojej drobnej pięści. Odbezpieczyła broń, a lewą ręką odsunęła od siebie nie zszyte do końca spodnie. Wstała i otuliła się szczelnie kocami.

- Kto... - Ruch za ścianą namiotu nie pozwolił jej dokończyć zdania.

To niemożliwe, żeby tu ktoś mieszkał. A gdyby nadleciał helikopter, usłyszałyby go.

To musi być wiatr. Wiatr uderza o ściany namiotu. "Ale dlaczego tylko w jednym miejscu?" - Ta myśl zmroziła Annie.

Namiot znów drgnął. Przytknęła lufę beretty do płótna i omal nie strzeliła. W ostatnim momencie pomyślała, że gdyby zrobiła dziurę, wiatr natychmiast rozerwałby materiał do końca.

- Mam broń. Jeśli widzisz ciało leżące przed namiotem, to wiesz, że potrafię zabić. Kim jesteś?

Mówiła podniesionym głosem, mając nadzieję, że można ją usłyszeć poza namiotem. A jeśli to Rosjanie i jeśli nie znają angielskiego?

Przytrzymując koce, żeby z niej nie opadały, podeszła do wejścia i wycelowała w nie pistolet.

- Odejdź!

Ponownie usłyszała dźwięk. Coś jak wycie, ale nie całkiem. Może czyjeś gniewne słowa, ale nie był to głos człowieka. "Blackburn" - przeszedł ją dreszcz.

Annie wyszła z namiotu. Wiatr uderzył ją w twarz, szarpał spódnicę i koce.

Wiatr przybrał na sile, w ciemnościach nie było nic widać. Latarka! Zostawiła ją w namiocie.

I znów rozległ się dźwięk, ni to jęki, ni to wycie.

Wypaliła z pistoletu w powietrze.

- Kim jesteś, do ciężkiej cholery?

Wmawiała sobie, że to nie może być Forrest Blackburn, bo Forest Blackburn nie żyje. Tyle razy zetknęła się ze śmiercią, że nie może się mylić.

Odeszła kilka kroków od namiotu. Światło przebijało przez ściany na zewnątrz, nie będzie więc problemu ze znalezieniem drogi powrotnej. O ile lampa nie zgaśnie...

Rozpatrywała w myślach wszystkie warianty. Wyobrażała sobie, co na jej miejscu zrobiłby ojciec, próbowała jak on, zaplanować wszystko przedtem.

Kiedy znów rozległ się dźwięk, skierowała się w jego stronę. Dochodził z miejsca, gdzie zostawiła ciało Blackburna.

- Duchy nie istnieją! - wrzasnęła w ciemność, celując z pistoletu przed siebie.

Przeciągly jęk. Wypaliła w tę stronę. Dźwięk powtórzył się. Annie była gotowa strzelać nadal.

Zawsze uważała, że bycie dziewczyną stwarza jej wiele problemów. Na przykład taki, że choćby nie wiadomo jak się starała, jej wysoki głos nigdy nie brzmiał na tyle stanowczo, aby traktowano ją po waznie.

Przyciskając lewą ręką koce do piersi, powoli ruszyła przed siebie. Pistolet trzymała tuż przy sobie, tak jak ją uczył ojciec.

Wkrótce dotarła do miejsca, gdzie leżało ciało Blackburna. Musiała je zobaczyć i przekonać się, że Forrest nadal tam leży. Od chwili opuszczenia namiotu oczy zdążyły jej się przyzwyczaić do ciemności.

Wtem coś się z nią zderzyło. Upadła, nie mając czasu, aby wycelować broń i wystrzelić. Głową uderzyła w twarz Blackburna. Zobaczyła tuż przy sobie jego martwe oczy. Pamiętała dokładnie, że

zamknęła mu powieki. Czemu teraz oczy są otwarte? Krzycząc stoczyła się z ciała. Upadła na wznak, a wtedy zobaczyła nad sobą jakiś wielki, nieforemny kształt.

Annie widziała kiedyś zdjęcia niedźwiedzi. Istota, która stała przy niej, zdawała się niewiarygodnie ogromna. Ale przecież niedźwiedzie wymarły. Forrest Blackburn nie żył. Skierowała pistolet w stronę postaci i już miała wypalić, kiedy poczuła, że jej ręka drętwieje, a broń wypada z dłoni.

Olbrzymi stwór zaczął się pochylać w jej stronę. Zerwała się na równe nogi i popędziła w ciemność...

Posługując się zegarkiem, John skorygował wychylenie igły kompasu. Zanim wlecieli w chmury, ustalili, na jakiej długości i szerokości znajduje się helikopter. Wyglądało na to, że błąd wskazań kompasu jest stały, więc Rourke wprowadził poprawkę do obliczeń i naniósł ich pozycję na mapę. Wydawało się, że powietrze wokół nich kipi, szarpiąc i potrząsając śmigłowcem.

- Schodzimy niżej - odezwała się Natalia z fotela pilota. - Na tej wysokości burza rozniesie nas na kawałki. Włączę reflektor, żebyśmy nie nadziali się na jakąś górę lodową.

Paul Rubenstein przykucnął między nimi. Sarah tkwiła przy radiu, nasłuchując, czy nie odezwie się jakiś sygnał.

- Może ona jest teraz pośród tej burzy. Niech to cholera - szepnęła.

- Jeśli nawet Blackburn nie wie, jak przeżyć w tak niskiej temperaturze, to Annie wie doskonale. Uczyłem ją tego, tak jak uczyłem Michaela. Blackburn nie jest głupi. Jeśli będzie trzeba, posłucha Annie. O ile są na ziemi. A jeśli burza zaczęła się, zanim wystartowali, to na pewno nigdzie nie polecili. To może być punkt dla nas, Paul.

- O ile przeżyjemy - wtrąciła ponuro Natalia.

Rourke zerknął na nią i uśmiechnął się. Wiedział, że ona tego nie widzi, bo wzrok miała skierowany przed siebie. Zrobiło mu się trochę niedobrze, kiedy helikopter zanurkował. Jednocześnie Natalia powiedziała:

- Schodzimy w dół.

- W porządku. Daj mi znać, kiedy będziesz chciała, żebym cię zastąpił - rzekł John.

- Nie ma pośpiechu. Ujeżdżałam już kiedyś takiego wierzgającego byka. To było wtedy, kiedy przydzielono mnie do Jurija. Nie spotkałeś go... nie, widziałeś go, kiedy ci zbóje go zamordowali. Zaraz potem ty i Paul znaleźliście mnie, gdy błądziłam po pustyni. Jurij zawsze zgrywał się na kowboja. Nosił kowbojski kapelusz, buty z ostrogami, rozpiętą na piersi koszulę i mówił po angielsku z idealnym akcentem południowca. A latać na helikopterze - to jakby ujeżdżać byka. Musisz się po prostu kurczowo trzymać i uważać, czy maszyna zachowuje właściwy kierunek.

- Robiłaś tak? - spytał Paul. - Trzymałaś się byka, dopóki nie stanął?

Nie odrywała wzroku od szyby, o którą uderzał śnieg i grad.

- Co byś powiedział, Paul, gdybym ci odpowiedziała wtedy, kiedy burza się skończy? - uśmiechnęła się.

Rourke odwrócił się, słysząc za plecami krzyk Sarah.

- Słyszę sygnał radiowy! Zdaje się, że to po rosyjsku. Nie wiem. Ale słyszę go znów! Powtarza się systematycznie.

- Jaka częstotliwość? - Przerwał, wpatrując się w nią z napięciem.

- Częstotliwość zmienia się. Spróbuj między sto dwadzieścia jeden pięćset a sto dwadzieścia jeden sześćset megaherca.

John odwrócił się z powrotem do tablicy rozdzielczej. Nałożył słuchawki i nastawił radio na podaną częstotliwość. Od kiedy zeszli na niższy pułap, helikopter nie trzął się już tak bardzo. Nasłuchując sygnału, nie spuszczał wzroku z wysokościomierza. Usłyszał. Było to najprostsze z możliwych wołanie o pomoc. Sygnał był nagrany. Słowo brzmiało: "pomagite" - pomocy.

Przerwał nasłuch, każąc żonie nadal śledzić sygnał. John musiał teraz wywołać Kurinamięgo.

- Akiro, tu Rourke. Odbiór. Akiro, odezwij się. Tu Rourke. Odbiór.

Cisza.

- Jeśli skontaktuję się z nim i on też złapie ten sygnał, będziemy mogli zrobić namiar na źródło sygnału - powiedział.

Jeszcze raz spróbował wywołać Japończyka.

- Kurinami, tu Rourke. Słyszysz mnie? Odbiór.

## ROZDZIAŁ VI

Burza ucichła. Dokonano pomiarów. Zlokalizowano namiot i radziecki helikopter na polu lodowym. Śmigłowiec Rourke'a wylądował.

Radziecki helikopter był pusty, namiot częściowo zasypany śniegiem.

Początkowo nie zauważyli ciała Forresta Blackburna, ponieważ leżało ono pod kilkunastocentymetrową warstwą śniegu. Wystawała tylko lewa ręka, sztywno stercząca w górę jak latarnia morska ostrzegająca przybyszów.

”Przed czym ostrzegająca?” - zastanawiał się Paul.

Z trudem zdołali się zmieścić w niezbyt obszernym namiocie. Sarah uklękła obok pociętego koca i uniosła kawałek, podnosząc go do oczu.

- To Annie. Ona to szła.

- Może odeszła - wolno powiedział doktor. - Natalia, weźmy...

Ale Natalii już nie było w namiocie.

Rubenstein wyszedł na zewnątrz. Wraz z nim wyszedł Rourke, a kiedy Paul obejrzał się wyczekująco, Sarah podążyła za nimi. W szarym świetle dnia Natalia klęczała przy zwłokach Blackburna.

- Czy przyjrzałeś się dokładnie ciału, John?

- Nie, jeszcze nie.

- Jest tu parę szczegółów, które wiele wyjaśniają. Paul, rozejrzyj się wokół ciała. Sarah, możesz mu pomóc? Spenetrujcie teren w promieniu dziesięciu metrów. Potem przeszukajcie obszar odległy o następne dziesięć metrów. Jeśli tamta dziura była standardową skrytką, wyposażoną w sprzęt potrzebny do przeżycia w terenie...

- Jaka dziura? - zapytał Paul.

- Ta, którą odkryliście z Michaelem i Madison. W namiocie były dwa karabiny M-16, ale nie było pistoletu. Powinien być jakiś pistolet. Znajdźcie go. Jeśli się wam nie uda, to znaczy, że ma go Annie.

- Dobrze - odpowiedział Paul, a potem dodał: - Co ciekawego znalazłaś w tych zwłokach?

John klęczał obok Natalii.

- Wiele ran kłutych - odrzekł Paulowi. - Ich wielkość i kształt wskazują, że mógł być to bagnet do M-16 albo nóż Gerber. Czekać...

Pomógł Rosjance obrócić ciało, a Paul przysunął się bliżej.

- Bagnet - stwierdziła Natalia.

W plecy Blackburna był wbity aż po rękojeść bagnet do M-16. Wokół kręgosłupa było widać wyraźnie inne rany.

- Pomóż mi odwrócić go z powrotem, John - powiedziała. Paul zaczął rozglądać się za pistoletem albo za czymkolwiek, co mogłoby naprowadzić ich na jakiś ślad.

Nagle Sarah, która szła na lewo od Paula, krzyknęła:

- Znalazłam go! Chodźcie tutaj!

Paul już do niej biegł, a za nim John i Natalia. Sarah stała, trzymając w ręce coś, co wyglądało na czarny półautomat Otrzepywała go ze śniegu.

Doktor wziął od niej broń. Była to beretta 92 SB-F; szesnasto-strzałowe parabellum kaliber 9, model wprowadzony do użytku armii Stanów Zjednoczonych tuż przed Nocą Wojny. W Schronie też był taki pistolet. John oglądał broń bardzo uważnie.

- Oddano z niego jeden strzał, może dwa - zależy, czy był pełen magazynek plus jeden nabój w komorze, czy nie. Z beretty dobrze się strzela, a Annie jest niezłym strzelcem. Jeśli widziała w co celuje, na pewno trafiła. Swoją drogą, ostatniej nocy była bardzo zła widoczność. Gdyby jednak Annie strzelała do większej grupy ludzi, użyłaby jednego lub obu M-16.

- Myślisz, że po prostu stąd odeszła? Ale przecież nie zostawiłaby tutaj broni.

Natalia szukała dalej, pochylona; zawróciła do trupa Blackburna. Po chwili usłyszeli, jak woła przez pole lodowe:

- Znalazłam coś jeszcze!

Kiedy się znaleźli przy niej, spodnie Blackburna były rozpięte, a Natalia badała jego krocze.

- Miał ostatnio wytrysk, ale te plamy na kalesonach wskazują, że... że nie zrobił tego w kimś.

Paul głośno przełknął ślinę.

- Na jądrach ma mnóstwo zadrapań, jakby je coś przeorało, powiedzmy, że damskie paznokcie. Kochał się z Annie, zmuszając ją do tego. Może ją zgwałcił, a może Annie umyślnie pozwoliła mu uwierzyć, że go pragnie, że nie będzie się opierać. Z rozmieszczenia ran wnioskuje, że zasztytowała go lewą ręką, a więc jej prawa ręka zrobiła to. - Wskazała na rozpięte spodnie Blackburna. - Oczywiście, wszystko się rozegrało w namiocie. Blackburn miał, co prawda, na sobie płaszcz, który jest przebity bagnietem, ale ten płaszcz nie był zapięty, Annie musiała wyciągnąć ciało z namiotu. Prawdopodobnie użyła w tym celu tego koca.

Sposób, w jaki Natalia rekonstruowała wydarzenia, sprawił, że Paul odniósł wrażenie, iż ta rozmowa odbywa się przy Baker Street 221 B[1]

- On był praworęczny, o ile sobie przypominam - zauważył Rourke.

- Tak, to prawda - potwierdził Paul.

- W porządku. Prawdopodobnie więc nosił bagniet przypięty z lewej strony pasa, który zdjął. Wtedy Annie dobrała się do niego.

- Standardowa skrytka z ekwipunkiem terenowym zawierała prowiant, apteczkę, paliwo, karabin, zapasowe magazynki i amunicję, białą broń i odpowiednie pasy, na których można ją wygodnie nosić. Karabin miał odpowiedni bagniet Ponieważ tutaj znaleźliśmy dwa karabiny, sądzę, że skrytka Blackburna nie była standardowa i zawierała znacznie więcej wyposażenia. Przepuszczalnie na pokładzie helikoptera znajdziemy duże zapasy paliwa.

- Pójdę tam i zobaczę - zaproponowała Sarah.

- Sarah! - zawołała za nią Natalia. - Sprawdź jeszcze, co zawiera terenowy ekwipunek pilota i zrób inwentaryzację. Da to nam pewne pojęcie, co Annie mogła stamtąd zabrać. Potem sprawdzimy, co zostało w namiocie i czego tam ewentualnie brakuje.

- Dobrze! - Sarah biegła w stronę śmigłowca. Doktor trząśnięty z zimna.

- Będziemy się musieli cieplej ubrać. Ja mogę polecieć niemieckim helikopterem. Natalia! Ty i Paul nie znacie rosyjskich śmigłowców, sprawdź więc najpierw, czy poradzisz sobie z tym. Nie przypuszczam, żebyś miała jakieś problemy.

Teraz zwrócił się do Paula.

- Weź z niemieckiego helikoptera radio. Razem z Sarah wykorzystajcie namiot jako osłonę i bez przerwy pilnujcie, czy nie ma sygnału z któregoś helikoptera. Będę na tej samej częstotliwości co Natalia. Gdybyśmy nie dostrzegli Annie z powietrza, a ona wróciłaby do namiotu, spotka się z wami.

- Ona nie mogła przeżyć tam, na zewnątrz, prawda?

- Nigdy dotąd nie musiała robić takich rzeczy, ale nauczyłem ją podstaw budowania czegoś w rodzaju igloo. Jeśli miała nóż, mogła sobie dać radę. Była dość ciepło ubrana. O ile najpierw zrobiła wiatrochron, a potem dobudowała inne ściany... Cholera, nie wiem...

Położył bezradnie dłoń na ramieniu Paula.



## ROZDZIAŁ VII

Przecucie - to była dziwna sprawa, ale Natalia Tiemierowna już dawno się przekonała, że przecucia mogą się sprawdzić. Tak samo, jak kobieca intuicja. Tym razem była to nie tyle intuicja, co wniosek oparty na pewnych przesłankach. Annie opuściłaby namiot i helikopter, odchodząc nocą gdzieś w pole lodowe, tylko wtedy, gdyby panicznie się czegoś przestraszyła. Trudno było sobie wyobrazić, aby córka doktora uległa aż takiej panice, że postąpiła tak nierozsądnie. Ale, z drugiej strony, każdego może ogarnąć taki strach, że zacznie uciekać w nieznane, gdzie może czyhać śmierć, aby uniknąć znanego śmiertelnego zagrożenia. Natalia nie miała żadnych dowodów na to, że Annie tak właśnie zrobiła. Liczyła, że intuicja pomoże jej odgadnąć, dokąd dziewczyna mogła pójść.

Radziecki helikopter, którym Rosjanka samotnie leciała nad śnieżną pustynią, wylądował na sześćdziesiątym stopniu północnej szerokości i prawie dwudziestym stopniu długości geograficznej. Niedaleko powinno być koło polarne. A jeśli biegun magnetyczny przesunął się tak, jak to sugerował kompas, znalazła się już wewnątrz koła polarnego.

Na wschód od namiotu widniały góry. Gdyby to Natalia miała uciekać, ratując się przed śmiercią, wybrałaby właśnie ten kierunek. Wprawdzie w ciemności góry były niewidoczne, ale o ile Annie dożyła świtu mogła je dostrzec z każdego miejsca. Zgodnie z logiką, na pokładzie śmigłowca powinny znajdować się koce. Brakowało ich, tak samo jak i noża.

Lecąc zygzakiem, Natalia wpatrywała się w śnieżne pola, próbując dostrzec jakikolwiek ślad Annie. Kierowała się przy tym w stronę gór. W słuchawkach rozbrzmiewały głosy Sarah i Johna, który leciał na północ nad czymś, co wyglądało na dawne koryto rzeki. Osiągnąwszy punkt położony najdalej na północ, miał się skierować na południowy zachód, tak samo jak Natalia. Mieli lecieć wzdłuż łańcucha górskiego, aż do morza, cały czas utrzymując łączność radiową z Sarah i Paulem, czekającymi w namiocie na ewentualny powrót Annie.

John obawiał się, że przechwycony sygnał radiowy może ściągnąć z Europy radzieckie samoloty bojowe.

Śmigłowiec Natalii przelatywał teraz nad jakąś górą. Pomimo dość ograniczonej znajomości Islandii bez trudu rozpoznała ten wielki wulkan. To była Hekla. Islandia należała do regionów o największej aktywności wulkanicznej na świecie. Natalia mijała niezliczone gejzery, z których strumyczki pary unosiły się wysoko w mroźnym powietrzu.

Włączyła nadajnik.

- John, tu Natalia. Nic nie widzę. Lecę w kierunku gór tak daleko, jak daleko mogłaby dotrzeć Annie. Chociaż burza i silne wiatry... Śnieg pode mną wydaje się nietknięty. Chyba tu jej nie było. Odbiór.

- Tutaj bez zmian. Żadnego śladu. Musimy rozglądać się dalej. Bez odbioru.

Natalia chciała przymknąć oczy, ale bała się, że mogłaby przeoczyć to, czego szukała. Spoglądała więc w dół, nie tracąc nadziei.

## ROZDZIAŁ VIII

Kiedy była małą dziewczynką, widziała w zoo niedźwiedzia. Nie pamiętała, gdzie to było: w Kolumbii? w Atlancie? A może w Południowej Karolinie? Otworzyła oczy. Ktoś mówił. Do niej? Język brzmiał dziwnie archaicznie. Nigdy przedtem nie słyszała takiego języka, a jednak trochę przypominał angielski.

Czy to był ten "niedźwiedź", którego spotkała w nocy? "Niedźwiedź" odwrócił się do niej. Okazało się, że to mężczyzna.

- Proszę?

Ten jeden wyraz wywołał znowu lawinę słów, ale żadne nie było bardziej zrozumiałe niż poprzednie.

Był tu pies, prawdziwy, żywy pies. Pamiętała te stworzenia, ale ten tutaj był większy, miał dłuższą sierść i bardziej przypominał wilka z taśm wideo, które miał ojciec Annie.

Mężczyzna wstał. Za nim płonął ogień, w powietrzu czuła miły zapach dymu. Nie dostrzegła jednak drewna na palenisku. Leżały tam ułożone na krzyż cztery bryłki podobne do cegieł. Płomienie wydobywały się z miejsca, w którym ich boki się stykały.

Pies wstał, ale nie podszedł do niej. Przyglądał się, jakby zastanawiając się, kim ona jest.

Annie rozejrzała się dookoła. Znajdowała się w jaskini o ścianach pokrytych lodem. Na sklepieniu gromadziła się wilgoć. Od czasu do czasu krople spadały w dół jak deszcz, a nad głową zwisały sople jak małe stalaktyty.

Mężczyzna podszedł do niej. Był to olbrzym, największy człowiek, jakiego dotąd spotkała. Długie rudawe włosy zakrywały mu uszy, łącząc się ze zmierzwioną rudą brodą. Zarost, sięgający do kości policzkowych, był nieco ciemniejszy niż włosy. Jasnobłękitne oczy o przenikliwym spojrzeniu wpatrywały się w Annie. Jego odzież była częściowo skórzana, a częściowo uszyta z jakiejś tkaniny. Mężczyzna nosił luźne, zielone płócienne spodnie, których nogawki były wpuszczone w cholewy wysokich, sięgających kolan skórzanych butów. Długa skórzana bluza zwisała luźno, a jej brzeg prawie się stykał z cholewami. Wyglądało to trochę jak koszula nocna bez rękawów i z głębokim rozcięciem z przodu. Masywną, umięśnioną pierś człowieka opinała zielona koszula z grubego materiału sznurowana na przodzie, zupełnie taka jak koszule kowbojskie, które Annie widziała na filmach. Bufiaste rękawy zakończone były długimi, wąskimi mankietami, zapinanymi na trzy guziki.

Ogromne dłonie trzymał w kieszeniach. Uśmiechał się.

Pies szczekał. Annie myślała, że umrze ze strachu. Krzyknęła.

Olbrzym roześmiał się, potrząsnął głową i wrócił do ognia. Annie leżała nieruchomo. Zauważyła, że nadal jest opatulona w swoje koce, ale na nich leżało coś ciężkiego i miękkiego, chyba śpiwór. Drugi, taki sam, leżał pod nią. Obserwowała mężczyznę. Chochłą nalewał do filiżanki jakąś ciecz z garnka stojącego na tych dziwnych, płonących cegiełkach. Kudłacz odłożył chochlę i podał dziewczynie filiżankę.

Annie zmusiła się do uśmiechu.

- Kim jesteś?

Mężczyzna wzruszył ramionami, robiąc skruszoną minę. Nie odezwał się, ale wciąż trzymał parującą filiżankę w wyciągniętej ręce.

Było jej zimno. Miała pełen pęcherz, ale z tym musiała poczekać.

Usiadła, a koce zsunęły się jej z ramion, przez co marzła jeszcze bardziej. Poprawiła je, a mężczyzna z filiżanką podszedł bliżej. Sięgnęła po nią i podziękowała.

Skinął głową, nie tyle rozumiejąc, co domyślając się znaczenia jej słów. W obu rękach ścisnęła kubek, skulonymi ramionami starając się przytrzymać koce. Dmuchiła na powierzchnię płynu. Poczła zapach podobny do zapachu cynamonu. Napila się odrobinę. Sądziła, że może tam być alkohol, ale smakowało jej to i rozgrzewało ją od wewnątrz. Nie potrafiła sprecyzować smaku napoju.

- Co to jest?

Uniosła brwi, starając się wyraźnie zaakcentować pytanie.

Mężczyzna uśmiechnął się i powiedział coś, czego za żadne skarby Annie nie potrafiłaby powtórzyć.

Pies cały czas patrzył na dziewczynę, ale nie warczał. Zupełnie nie pamiętała, jak się postępuje z psami.

Odstawiła gorący kubek i wskazując palcem na siebie, powiedziała: "Annie Rourke".

Mężczyzna przytknął swój olbrzymi kciuk do piersi, mówiąc powoli: "Bjorn Rolvaag".

Jeszcze raz pokazała na siebie i powiedziała: "Annie".

- Bjorn - odpowiedział i pokazując psa dodał: "Hrothgar".

- Hrothgar? - spytała.

- Ja - potwierdził mężczyzna. - Hrothgar.

- To jak z Beowulfa. Hrothgar z Beowulfa.[2]

Ale nie wyglądało na to, aby mężczyzna cokolwiek z tego rozumiał.

- Gdzie ja jestem?

- Lydveldid - odpowiedział.

Skierował palec wskazujący w stronę wylotu jaskini, mówiąc tylko jedno słowo: „Hekla”.

- Hekla - powtórzyła. Napila się jeszcze trochę, patrząc na obserwującego ją psa, na odzianego w skórę rudowłosego brodacza pijącego z chochli, na wodę kapiącą ze sklepienia jaskini.

## ROZDZIAŁ IX

Jak dotąd, poszukiwania nie przyniosły rezultatu, wrócili więc do punktu wyjścia. Rourke rozebrał namiot Ze skrzynki z narzędziami wziął piłkę do metalu, pociął stelaż i z wielkim trudem powiązał kawałki rurek. W ten sposób otrzymał namiastkę raket śnieżnych. Śmigłowiec Kurinamiego wciąż był daleko. Sarah poganiała przez radio Japończyka, podczas gdy John i Paul męczyli się, wiążąc następne rurki. Natalia splatała linki od namiotu, a Sarah pocięła znalezione rzemienie do noszenia karabinów. Wszystko to, łącznie ze sprzączkami, miało służyć do przymocowania raket śnieżnych do butów.

Kurinami, Michael, Madison i Elaine Halverson lecieli na północ, szukając śladu Annie. Japończyk nawiązał łączność radiową z myśliwcem pułkownika Manna; dowiedział się, że nie zauważono żadnego radzieckiego śmigłowca, który leciałby do Europy od strony Grenlandii. Poza tym Niemcom kończyło się paliwo, wracali więc do Ameryki Północnej. Załogi myśliwców otrzymały też wiadomość od doktora Munchena, który był de facto zwierzchnikiem Niemców w bazie "Eden". Komandor Dodd, dowodzący bazą, pomagał Munchenowi w przygotowaniach do obrony. Mimo to Mann zamierzał w ciągu trzydziestu sześciu godzin wysłać na Islandię mały oddział, który pomógłby w poszukiwaniach Annie.

Sarah przekazała wszystkie te wiadomości Johnowi, Paulowi i Natalii. Mocną igłą, używaną do szycia skóry, starała się pozszywać rzemienie i pasy płótna tak, aby zrobić wiązania do raket śnieżnych. Jej myśli błędziły jednak zupełnie gdzie indziej. Myślała o swojej córce i o mężczyźnie, którego Annie chciała poślubić. Spoglądała na Paul a Rubensteina, który pracował ramię w ramię z jej mężem. Kiedy opuszczali Schron, John zapakował ciepłą o-dzież na obie ciężarówki, teraz wszyscy mieli ją na sobie, Akiro Kurinami i Elaine Halverson dostali niemieckie ubrania. Były one lżejsze i miały modniejszy krój, ale Sarah czuła się dobrze w tym ubiorze, który miała na sobie. Jak zwykle John wszystko przewidział. Czasem było to irytujące, czasem wygodne. Irytowało ją to, że jej mąż zawsze miał rację. Jednocześnie jednak jego przezorność nieraz już uratowała im życie.

W czarnych futrzanych kurtkach z kapturami, w ocieplanych spodniach, mając usta i nosy zasłonięte szalami, John i Paul wyglądali niemal identycznie. John był trochę wyższy i nosił ciemne okulary, z którymi się nie rozstawał od pierwszego spotkania z Sarah. Jak dawno to było!

Pracowała wtedy ochotniczo jako pielęgniarka, a John odbywał staż. Był początkującym lekarzem i dopiero zaczynał swoją karierę. Karierę, której nie było mu dane kontynuować. Kiedy po kilku latach znów się spotkali, John niewiele się zmienił. Twarz schudła, a jego mięśnie stały się bardziej widoczne. Kiedy zdjął okulary, przysłaniające brązowe oczy, dojrzała w jego wzroku smutek, którego nikły cień spostrzegła już dawniej. Rourke wiele lat spędził w CIA, w brygadzie antyterrorystycznej, gdzie był "oficerem do zadań specjalnych", jak to eufemistycznie określano. Z upływem lat, po ich ślubie, coraz bardziej interesował się sposobami przeżycia w każdych, nawet najtrudniejszych warunkach. Robił plany na wypadek jakiegoś ostatecznego kataklizmu. Dopiero później zdała sobie sprawę z tego, że przez cały czas miał nadzieję, iż nigdy to nie nastąpi, a jego

plany okazały się niepotrzebne. Pewnego razu coś się zdarzyło w Ameryce Środkowej. Raporty, które stamtąd nadeszły, mówiły, że mąż jej zaginął, że prawdopodobnie nie żyje. Nie było osoby, która twierdziłaby co innego. Siedziała, przytulając do siebie dzieci i wmawiając sobie, że John jest nieśmiertelny. I wrócił. Ciało miał pokryte bliznami, ranami i sińcami. Otrzymał postrzał w lewą nogę, zraniono go też nożem. Kiedy opuścił CIA, powiedział jej tylko, że go opuszczono i zdradzono. Myślała wtedy, że jego obsesja broni, przetrwania katastrofy i wszystkich rzeczy z tym związanych, przeminie. Miała nadzieję, że podejmie pracę w swojej specjalności. Kiedy po raz pierwszy spotkała Johna, wielu lekarzy mówiło jej, że Rourke jest świetnym chirurgiem i potrafi błyskawicznie podejmować decyzje. Większość chirurgów mogłaby pozazdrościć mu tych zdolności. Ale John nie chciał praktykować. Wolał pisać i uczyć, jak posługiwać się bronią, jak przeżyć w każdej sytuacji. Wszystkie oszczędności wydawał na budowę i zarządzanie Schronu. Wtedy, bardziej jeszcze niż za czasów CIA, Sarah odczuła, że oddalają się od siebie.

Ale okazało się, że jej mąż miał rację. Nikt nigdy pewnie już się nie dowie, kto pierwszy wystrzelił pocisk czy wysłał bombowiec, przekraczając granicę bezpieczeństwa. Nie wiadomo, kto rozpoczął wojnę nuklearną między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim. Johna wtedy, jak zwykle, nie było w domu. Zabrała z farmy swoje małe dzieci. Ich dom spłonął, kiedy w wyniku strzelaniny nastąpił wybuch gazu. Postanowiła za wszelką cenę odnaleźć męża, który po katastrofie samolotu pasażerskiego był gdzieś w Nowym Meksyku. Rozpoczęła długą wędrówkę przez kraj, mając za towarzysza Paula Rubensteina. Było to wtedy, gdy John spotkał Natalię, ale Sarah była pewna, że znali się już wcześniej. Wtedy też John zakochał się z wzajemnością w tamtej i był to pierwszy przypadek, którego nie przewidział.

Odnaleźli się, lecz koszmar, rozpoczęty przez Noc Wojny, trwał nadal. Rourke tłumaczył jej, co się stało, ale ona nigdy nie była w stanie tego do końca zrozumieć. W czasie Nocy Wojny cząsteczki materii zaczęły się gromadzić w atmosferze. Były naładowane elektrycznie i po ogrzaniu ulegały wzbudzeniu. W wyniku nagromadzenia ładunku elektrycznego występowały przedziwne anomalie pogodowe i gwałtowne burze. Pewnego ranka jonizacja wzrosła do tego stopnia, że o świcie niebo zaczęło płonąć. Za wschodzącym słońcem podążały płomienie, ogarniając całą planetę i niszcząc wszystko, co żyło.

Ale Sarah przeżyła, ponieważ John wszystko przewidział. Wraz z mężem, Natalią, Paulem oraz dziećmi - Michaeliem i Annie, przetrwała kataklizm w kapsułach narkotycznych, ukradzionych z KGB. Musieli użyć kriogenicznej surowicy, wynalezionej przez naukowców NASA do lotów w odległe rejony kosmosu. Bez tej surowicy zapadliby w wieczny sen, z którego nie mogliby się obudzić. Ale kiedy już się zbudziła, okazało się, że John i dzieci obudzili się wcześniej. Przez pięć lat ojciec przekazywał Annie i Michaelowi tyle wiedzy, ile tylko mógł. Potem znów zapadł w sen narkotyczny. Dzieci tymczasem dorastały.

Sarah zbudziła się, będąc po trzydziestce. Michael miał prawie trzydzieści lat, a Annie - dwadzieścia osiem. Nie zobaczyła wtedy syna, który, tak jak niegdyś jego ojciec, wyruszył na jakąś szaloną wyprawę. Wrócił, przywożąc Madison. Należała do dwudziestego piątego pokolenia ludzi, których przodkowie przetrwali czas płonącego nieba. Była śliczną, złotowłosą dziewczyną, delikatną, kobiecą i noszącą w swym łonie dziecko Michaela. Tak więc, jeszcze nie mając czterdziestki, Sarah miała zostać babcią. Jej dzieci były jej rówieśnikami, a ocalenie zawdzięczali wszyscy Johnowi i jego darowi przewidywania.

Teraz jej córka była gdzieś pośród tego śniegu i lodu. Sarah patrzyła w mroźną przestrzeń.

Wiązania do rakiet śnieżnych były już dawno gotowe. Kiedy Annie się znajdzie - Sarah nie mogła użyć słowa "o ile" - poślubi Rubensteina. Kobieta uśmiechnęła się, myśląc o Paulu, absolutnie nie wyglądającym na bohatera. Był redaktorem nowojorskiego czasopisma. Zarówno jego ojciec, emerytowany pułkownik lotnictwa, jak i matka zmarli pięćset lat temu. Paul pochodził z rodziny żydowskiej. Sarah nigdy nie przyszłoby do głowy, że jej zięć będzie Żydem, ale naprawdę nie miało to żadnego znaczenia. Ważne było, że Rubenstein jest dobrym, miłym człowiekiem, odważnym, lojalnym i zdecydowanym. Nie wyglądał szczególnie imponująco: czoło miał wysokie, nie ukształtowane przez naturę, jak u jej męża; po prostu zaczynał już łysieć. W ciemnych oczach nigdy nie dostrzegła tej ukrytej pasji, jaką miał John. Jego głos był normalny - ani wysoki, ani niski, niezbyt donośny. Na twarzy Paul miał wypisaną niewinność i uczciwość. No, i tak bardzo kochał Annie! Annie zakochała się w Paulu, obserwując go pogrążonego w śnie narkotycznym, gdy dorastała w Schronie.

Sarah Rourke myślała o swoim życiu. Była w ciąży. Czy tego chce? Wciąż nie jest pewna. Dziecko mogłoby jej dać to, co John jej odebrał. Mogłaby być przy nim, obserwować je, jak rośnie, jak się rozwija, będąc jego matką, a nie rówieśnicą.

Nie posłuży się jednak dzieckiem, żeby utrzymać przy sobie męża. Jego poczucie honoru, nieubłagane poczucie honoru. To oczywiste, że kocha Natalię, może nawet bardziej niż ją kiedykolwiek, ale jest też oczywiste, że nie zdradzi i nie porzuci swojej żony.

## ROZDZIAŁ X

Bjorn Rolvaag i idący tuż przy jego nodze wielki, kudłaty pies - Hrothgar, pokonywali wzniesienie zdecydowanie łatwiej, niż ona kiedykolwiek mogłaby to zrobić. Przynajmniej tak uważała.

- Hej, poczekaj!

Rolvaag odwrócił się w stronę Annie i wydawało się jej, że widzi jego uśmiech. Nie było to jednak łatwo sprawdzić, bo głowę i większą część twarzy miał zasłoniętą czymś, co wyglądało jak maska narciarska z otworami na oczy i usta. I było zielone. Zastanawiała się, czy zielona odzież jest czymś w rodzaju uniformu, czy może Bjorn po prostu lubi ten kolor, bo pasuje do jego rudej brody i błękitnych oczu. Zrozumiał chyba, o co jej chodzi, bo przystanął, podczas gdy Hrothgar zataczał wokół niego ciasne kółka.

Nie miał karabinu ani pistoletu, posiadał natomiast broń sieczną. Na skórzaną bluzę włożył - znów zielony! - płaszcz z kapturem, sięgający mu do połowy łydek. Pod lewą piersią miał przyszytą pochwę na potężny nóż. Nie widziała ostrza, ale z kształtu futerału mogła się domyślić, że jest podobny do noża Bowie. Do pasa, którym był ściśnięty w talii, przytroczony miał miecz. Coś takiego widziała na filmach; taką broń mieli pewnie rycerze króla Artura, o których czytała. Widziała tylko rękojeść, na której spoczywała teraz lewa dłoń Bjorna. Ale -jeśli sądzić po długości pochwy - ostrze musi być dość szerokie i długie prawie na metr.

Pracowicie dreptała za Rolvaagiem, lecz nie umiała robić tak dużych kroków, aby trafiać stopami w jego ślady. Robiła więc trzeci krok pomiędzy odciskami jego stóp.

Na koce miała narzucony śpiwór, którym osłoniła głowę i owinęła się tak, aby chodzić swobodnie. Było jej zimno w nogi pod spódnicą, tam gdzie kończyły się pończochy. Na udach czuła lodowaty dotyk halki.

Chciała spytać, jak daleko jeszcze i dokąd właściwie idą. Przekraczało to jednak jej możliwości komunikowania się z Bjornem.

Kiedy go prawie dogoniła, ruszył znów pod górę, w prawej ręce trzymając laskę, którą się podpierał. Lewa dłoń wciąż spoczywała na rękojeści miecza. Wyglądał, jakby przechadzał się od niechcienia. Ogromny plecak z przyczepionym zrolowanym śpiworem tkwił nieruchomo na jego grzbiecie.

Hrothgar, bardzo ruchliwy mimo swej wielkości, wciąż wybiegał do przodu, przystawał i wracał do pana.

Domyślała się, że wspinają się po stoku Hekli, o której Rolvaag wspominał poprzednio. Ta Hekla najwyraźniej była potężną górą.

Pod nimi, w dolinie, widoczne były gejzery, z których unosiła się para. Utworzyła ona sztuczną chmurę, zasłaniającą zbocze góry kilkadziesiąt metrów wyżej.

Szli teraz trawersem i warstwa pary nad nimi przestała się przybliżać. Rolvaag kroczył ostrożnie, to w górę, to w dół, jakby trzymał się jakiejś niewidzialnej ścieżki. Annie oceniała, że ma prawie

metr dziewięćdziesiąt wzrostu i waży co najmniej sto trzydzieści kilo. Ponieważ jednak był wysoki i, jak sądziła, prowadził aktywny tryb życia, na jego masę ciała zdawały się składać same mięśnie.

Jego tryb życia... To, że w ogóle żył, wydawało się jej niepojęte. A pies?

Starła się nadażyć za Bjornem. Śpiwór, którym owinęła głowę, zsuwał się jej na oczy, tak że czasem nic nie widziała. Odgarniała go wtedy i szła naprzód, choć miała wrażenie, że tej wędrówce nie będzie końca. Od czasu do czasu zastanawiała się, czy Bjorn nie jest jakimś bezdomnym nomadem. Ubranie jednak miał czyste, a śpiwór nie był przesiąknięty zapachem spoconego, brudnego ciała. Włosy i brodę miał starannie wyszczotkowane. Kiedy się uśmiechał, jego równe białe zęby błyszczały zdrową bielą. Niewielkie fragmenty twarzy, które można było dojrzeć spod bujnego zarostu, świadczyły, że skóra Rolvaaga nie była narażona na długotrwałe działanie wiatru i mrozu.

Nie potrafiła dokładnie określić panującej temperatury, ale sądziła, że musi być poniżej trzydziestu stopni. Twarz całkiem jej zdrętwiała, nie czuła dłoni ani stóp. Jeśli ten marsz potrwa dłużej, na pewno je sobie odmrozi. Natomiast na Rolvaagu, jak się wydawało, mróz nie robił większego wrażenia.

Pies zaczął węszyć. Pamiętała trochę psy z czasów dzieciństwa. Obserwowała Hrothgara zafascynowana, bo był czymś, co uważała za nie istniejące od bardzo dawna. Obsusiał skałę, a potem pobiegł do przodu, zawrócił z wysoko uniesionym ogonem, znów zawrócił, przysiadł i zostawił na śniegu parujące odchody. Annie w tym czasie dogoniła go i wyminęła. Rolvaag znacznie zwolnił; sądziła, że czeka na psa.

Hrothgar znów skoczył do przodu, minął ją, wyprzedził Bjorna i zniknął w miejscu, gdzie z rozpadliny wydobywały się ogromne kłęby pary.

Rolvaag wydłużył krok, Annie starała się zrobić to samo, ale ledwie mogła unieść zdrętwiałe stopy. Widziała, jak Bjorn wspina się na wzniesienie, przystaje i odwraca w jej stronę. Za jego plecami unosiły się białe chmury.

- Annie! - zawołał. - Annie Rourke! Hekla! - Zrobił gest w stronę unoszącej się pary.

Do tej pory była przekonana, że właśnie wspinają się na Heklę, toteż nogi się pod nią ugięły na myśl, że Hekla jest jeszcze dalej. Oparła się o skałę i pomyślała, że czymkolwiek by ta góra była dla Rolvaaga - ona już nie może iść dalej.

Ale potem powiedziała sobie, że musi, że nie podda się. O mało nie zgubiła śpiwora, kiedy puściła go, żeby wdrapać się na skałę, do Bjorna. Wyciągnął w jej stronę laskę. Chwyciła ją prawą dłonią i ścisnęła z całej siły, choć palce miała pozbawione czucia. Rolvaag wyciągnął Annie na górę. Miała okazję po raz pierwszy dokładnie przyjrzeć się lasce, którą się podpierał w czasie wspinaczki. Była zrobiona z jakiegoś metalu, zakończona ostrym kolcem, a na całej długości miała poprzeczne rowki. Wyglądała na zmontowaną z wielu kawałków. Może w środku była wydrążona, może mężczyzna chował w niej jakieś tajne elementy swojego ekwipunku?

Zachwiała się. Rolvaag przytrzymał ją, chroniąc przed upadkiem, i głośno się roześmiał. Spojrzała za krawędź wzniesienia, tam skąd wydobywała się para.

Zemdlała. Zdarzyło się jej to po raz pierwszy w życiu.



## ROZDZIAŁ XI

Doktor założył karabin na lewe ramię, lufą w dół. Na ramionach niósł plecak. Pomachał w stronę niemieckiego helikoptera. Była to lepsza z maszyn; teraz za jej sterem siedziała Natalia, mając za towarzyszkę Sarah. Paul Rubenstein, który stał obok, odezwał się:

- To jest najlepsze rozwiązanie, prawda?

- Twierdzisz tak, czy się pytasz?

- Twierdzę.

- Hmm - mruknął John bez entuzjazmu, poprawiając na nosie ciemne okulary. - Zdaje się, że Natalia uważa, iż Annie skierowała się w tę stronę. Nie mam na razie lepszego pomysłu, muszę więc się zgodzić. Jesteśmy ubrani na czarno. Jeśli Natalia i Kulinarni uwzględniają nasze wspólne poprawki do wskazań kompasu, to nie będzie żadnego kłopotu ze znalezieniem nas. Wygląda na to, że pozostało nam tylko szukanie na poziomie ziemi.

- Nie mówisz nic o przybyciu ludzi Manna - zauważył Paul.

- Nie. Mówiąc szczerze, jeśli nie znaleźliśmy jej dotąd to, ze względu na to, jak jest ubrana, po jakim terenie się porusza i jaka tu panuje temperatura, nie miałyby to sensu. Po co więc tracić czas? - doktor zniżył głos do szeptu. - Ale będziemy jej szukać, dopóki nie znajdziemy, chociaż... chociaż... o, cholera, chodźmy już. - Rourke ruszył przed siebie.

Przemierzali krainę długich dolin o stromych zboczach, wysokich, nagich łańcuchach górskich, a wokół nich była tylko biel, ostro odcinająca się od szarego nieba. Mogliby iść w samych butach, ale czas był ich wrogiem, a w raketach śnieżnych poruszali się o wiele szybciej i z mniejszym wysiłkiem.

Posuwali się do przodu, bez przerwy wpatrując się w śnieg i lód przed sobą. Było to beznadziejne, ale jednocześnie nie mieli innej szansy na znalezienie odcisku stopy czy jakiegokolwiek śladu świadczącego, że ktoś tedy szedł. Jeżeli Annie zmierzała w kierunku gór, gdy uciął wiatr, istniało nikłe prawdopodobieństwo znalezienia jakichkolwiek śladów.

- John! - krzyknął nagle Paul.

Rourke odwrócił się i zobaczył, że Paul skręca w kierunku zachodnim. Ruszył za nim. Paul w swoich raketach śnieżnych przypominał mu amerykańskiego astronautę spacerującego po Księżycu. "Kiedy to było?" - zastanawiał się doktor. Paul przyklęknął.

- Nic nie ma! Myślałem... myślałem, że...

- Szukaj dalej! Znajdziemy ją! - zawołał John, wracając na poprzednio obraną trasę.

Kobiety miały lecieć na północ i skręcić w stronę gór, w stronę których zmierzał teraz z Paulem. Jeśli Annie była gdzieś z przodu, Sarah powinna wypatrzeć ją przez lornetkę. Rourke wciąż miał nadzieję i wciąż się modlił.

Podwinął lewy mankiet i spojrział na zegarek. Trzecia. Wkrótce zacznie się ściemniać. Jeśli Annie nie znajdzie schronienia, nie przeżyje tej nocy. Przyspieszył, rzucając okiem na Paula. Rubenstein też wydłużył krok.

Zegarek wskazywał czwartą osiemnaście. Gdy Rourke podniósł wzrok, odniósł wrażenie, że na śniegu, parę metrów w prawo, widnieje jakaś ciemna plama.

Zdjął okulary i wolno podszedł w tym kierunku. Przyklęknął.

- Paul!

Był to, częściowo zasypany śniegiem, odcisk wojskowego buta.

- Paul!

Doktor wyprostował się, patrząc w kierunku, z którego mógł prowadzić ślad. Słyszał szuranie rakiet śnieżnych. Założył z powrotem okulary, spoglądając na wysokie skały, odległe od nich o jakieś dwieście metrów na wschód.

- Co to... święty...

- Tak! Oceń kierunek. Według mnie, ślad prowadzi stąd prawie dokładnie na północ. Idź w tamtą stronę zygzakiem i nie przegap niczego. Ja zawrócę w stronę gór i sprawdzę, czy coś wskazuje na to, że Annie spędziła tam noc.

- Hej - szepnął Paul. Głos tłumiał mu czarny szal, którym Rubenstein owinał sobie twarz. - Bądź ostrożny.

- Zawsze jestem ostrożny. - Rourke poklepał przyjaciela po ramieniu, zdjął M-16 i, trzymając nie załadowany karabin w prawej dłoni, ruszył w kierunku pasma górskiego. Światło dnia, o ile można to było nazwać światłem, poszarzało jeszcze bardziej. Ciemność zapadała zbyt szybko. John odwrócił się 5 zawołał:

- Dwa strzały - pauza - znów dwa strzały. To znaczy: chodź natychmiast!

- W porządku - odpowiedział Paul, a Rourke ruszył, nie odrywając wzroku od śniegu. Nic.

A potem odkrył drugi odcisk, cylindryczny, głęboki może na pięć centymetrów. Na jego dnie był lód czy też twardo ubity śnieg. Rourke zbadał ślad nożem, a potem szybko poszedł przed siebie.

Nowy, inny ślad, prawie całkiem zasypany. Obcas węższy, ale dłuższy, głębiej odcisnął się w śniegu. - Mężczyzna - szepnął do siebie Rourke.

Załadował M-16, odciągnął zamek, ale nie odbezpieczył broni.

Doszedł do skał i zaczął wspinać się. Ciemność nad nim i przed nim była coraz głębsza. Z palcem na spuście karabinu, w lewej ściskając kolbę pistoletu, zawołał w mrok:

- Annie!

Żadnej odpowiedzi. John zbliżał się do ciemnej plamy na skałach. Okazało się, że to wejście do jaskini.

Krawędź skały była dość szeroka, ale obludzona. Rourke, nie widząc w ciemności jej konturów, bardzo ostrożnie posuwał się naprzód.

- Annie. - Teraz już nie krzyczał, wzywał ją normalnym tonem. - To ja, John.

Cisza. Zatrzymał się i nasłuchiwał, oglądając się na podnóże skał, skąd przyszedł. Paul był prawie niewidoczny, ale mógł łatwo podążać po świeżych śladach swego towarzysza.

Rourke znów ostrożnie ruszył wzdłuż krawędzi; zbliżając się do wylotu jaskini odbezpieczył broń.

- Jeśli jesteś tam, nie bój się. To tylko ja. Martwiłem się o ciebie. Wszedł do jaskini, mając karabin wycelowany w ciemność przed

sobą, będąc wyraźnym celem dla ewentualnego przeciwnika.

Ale nikogo nie było.

Przełożył karabin do lewej ręki, a prawą sięgnął do kieszeni plecaka. Wydobył latarkę i oświetlił

wnętrze jaskini.

Zobaczył resztki ogniska, ale zamiast drewna leżały tam jakieś przedmioty podobne do cegieł. Podeszedł bliżej, oglądając jednocześnie grotę w strumieniu światła. Zgasił latarkę. Tajemnicze cegiełki nadal się żarzyły. Nie miał pojęcia, co to jest, ale był pewien, że ognisko paliło się nie dawniej niż kilka godzin temu.

Rourke znów zapalił latarkę i szybko obejrzał grunt pod nogami. Spojrzał do góry. Sklepienie pokryte było lodem, w pewnych miejscach prawie przezroczystym, jakby stopił się i jeszcze raz zamarzło.

Ponownie zgasił światło, zdjął okulary i zawrócił w stronę wylotu jaskini. Wyszedł na zewnątrz i popatrzył na dół. Paula nie było już widać; dookoła panowała ciemność. Schował okulary do specjalnie wzmocnionego futerału, który chronił je przed połamaniem. Kucnął, położył latarkę obok siebie i wyjął magazynek z karabinu. Odwinął z głowy szal i zębami ściągnął prawą rękawicę. Ręka mu parowała. Wsunął rękawicę pod lewą pachę, żeby się nie ulotniło z niej ciepło. Teraz powkładał naboje do magazynka, a kiedy skończył, umieścił go ponownie w M-16.

Annie. Był z nią jakiś mężczyzna. Mężczyzna podpierający się czymś w marszu. Natalia twierdziła, że Annie wzięła z sobą nóż. Nie znaleźli noża, więc może Annie wciąż miała go przy sobie? Jeśli tak, to znaczy, że mężczyzna nie zachowywał się wrogo. Może. A może to on zabrał jej nóż?

Rourke wstał, ale nie ruszył się z miejsca. Poczul jakiś zapach.

Poświecił w prawo, w tę stronę, gdzie śnieg utworzył zaspę przy wejściu do jaskini. Na śniegu widniała żółta plama.

Zwierzę.

Nadal miał zdjętą prawą rękawiczkę. Kiedy trzymał aluminiową latarkę, ręka zgrabiła mu z zimna. Tuż przy wejściu do jaskini John zobaczył coś. Ukląkł. To był odcisk łap psa. Albo wilka.

Zawsze była w nim nadludzka doskonałość i Sarah zastanawiała się, czy możliwe jest życie z kimś takim.

Prawie zawsze nienagannie ogolony, prawie zawsze panujący nad emocjami i prawie zawsze nieomylny. Jego decyzje opierały się na logice i były dyktowane niezłomną uczciwością. John był błędnym rycerzem, półbogiem, bohaterem. Z łatwością osiągał ten szczebel ludzkiej doskonałości, o którym inni mogli tylko marzyć. Mając niespełna czterdzieści lat, zachował sprawność wysportowanego dwudziestolatka. Nieliczne pasemka siwizny w gęstych, ciemnych włosach podkreślały szlachetność rysów jego twarzy. Nigdy nie wątpiła, że jest geniuszem. Kiedyś, gdy otrzymała wiadomość, że zginął podczas swej ostatniej wyprawy do Ameryki Łacińskiej, zaczęła przeglądać kopie jego osobistych dokumentów. Oryginały dokumentów Rourke przechowywał w Schronie.

Znalazła wyniki badań lekarskich i testów psychologicznych. Nigdy nie próbowała się dowiedzieć, po co robiono mu te badania. Znała się na medycynie dostatecznie dobrze, żeby móc zinterpretować wyniki. Siła, wytrzymałość, pojemność płuc, odporność mięśnia sercowego - wszystko powyżej normy. Iloraz inteligencji. Nie wiedziała, po co poddano go temu testowi, ale przypuszczała, że miało to związek z jego pracą dla CIA. Spoglądała, nie wierząc własnym oczom, ale dowiadując się o swoim mężu więcej, niż mogła przypuszczać. Sto czterdzieści było wynikiem geniusza lub prawie geniusza. Sto sześćdziesiąt - to był już fenomen. John Rourke miał iloraz inteligencji wynoszący sto osiemdziesiąt sześć.

Jej półbóg. Patrzyła, jak pracuje obok swego najlepszego przyjaciela, zginając ostatnią rurkę stelaża i nadając jej kształt pasujący do rakiety śnieżnej.

John Thomas Rourke. Kochała go.

## ROZDZIAŁ XII

Paul Rubenstein przykląkł. W świetle latarki zobaczył jeszcze jeden odcisk buta. To nie Annie go zostawiła. Ten ślad był większy i głębszy. Mężczyzna. Obok były inne - dziwne, okrągłe ślady. Zdjął rękawicę i włożył palec do głębokiego na kilka centymetrów otworu. "Laska?" - zastanawiał się.

- Annie! Annie! Nie było odpowiedzi.

Skierował w górę światło latarki. Niebo było bezgwiezdne, pokryte chmurami. Ale bezpośrednio przed nim była szarość, jaśniejsza niż szarość nocy. "To jeden z tych niezliczonych gejzerów" - pomyślał. Odciski stóp kierowały się w tamtą stronę. Paul wstał, założył z powrotem rękawicę i, trzymając w prawej ręce M-16, a w lewej latarkę, ruszył przed siebie.

- Annie!

Tylko światło latarki pozwalało mu cokolwiek zobaczyć. Gdy ją wyłączył, otoczyła go całkowita ciemność.

Szedł, rozglądając się za następnymi śladami.

Coś ciemnego. Staął. Powoli zaczął podchodzić. Przykucnął.

To były odchody. Tutaj, na tej otwartej przestrzeni, mogło je zostawić tylko zwierzę, nie człowiek. Przypomniawszy sobie, że zanim ogień pochłonął niebo, John pokazywał mu ślady po samach. To było coś podobnego. Wstał i dotknął ciemnej bryłki czubkiem buta. Była twarda.

Rozejrzał się. Odcisk buta mężczyzny. Wewnątrz mniejszy ślad. "Annie" - szepnął. Obok był jeszcze jeden ślad. Obrysował go palcem. W jednej z baz, do której przydzielono jego ojca, mieli dużego psa, setera irlandzkiego. Ale ten ślad należał do jeszcze większego zwierzęcia.

- Wilk? - szepnął do siebie Rubenstein. Takie zwierzęta nie powinny istnieć. Ale jeśli istniały...

Ruszył szybko naprzód w stronę kłębiącej się pary, która wyrastała przed nim jak ściana. Teren wznosił się stromo. Paul musiał się wspinać. W raketach śnieżnych było to trudne: śnieg był tu płytszy, a lód jakby wypolerowany. Zapewne wiatr go tak wygładził.

Żaden człowiek nie powinien się znajdować w tej lodowej pustyni. A pies czy wilk - to wręcz niemożliwe.

Wiatr nasilał się. Na niebie, tuż nad linią horyzontu, błyskało tajemnicze światło. Paul wspinał się, próbując zebrać myśli. Śnieżne pustkowie, ta temperatura, brak słońca, człowiek i pies lub wilk - to wszystko razem było niesamowite.

A może ta ziemia należy do umarłych? Co by było, gdyby wszystko, co umarło, wędrowało na Islandię: martwi ludzie, martwe zwierzęta... Mężczyzna roześmiał się. Martwe istoty nie zostawiają na śniegu śladów, a tym bardziej odchodów.

Pomyślał o Annie. To był przyjemniejszy temat. Naprawdę kocha go, chce być z nim, należeć do niego. Nie licząc czasu snu narkotycznego, minął niecały rok od chwili, kiedy wsiadł w Kanadzie na pokład samolotu, aby wrócić do Stanów Zjednoczonych, do Nowego Jorku. Niespełna rok upłynął od czasu, gdy rozpoczęła się Noc Wojny.

Wiedział, że dla rodziców zawsze był przyczyną rozczarowań. Wątlej budowy, nie obdarzony

imponującą sylwetką ani siłą, nie miał ochoty kontynuować wojskowej kariery ojca. Matkę też rozczarował. Miał dwadzieścia osiem lat i dotąd nie był żonaty, choć miał narzeczoną. Przypomniawszy sobie twarz Ruth i zrobiło mu się zimno. Oprócz niego nie żył nikt, kto by ją pamiętał. Zнали się jako dzieci. Potem ich drogi się rozeszły. Ponownie spotkali się na jakiejś imprezie dobroczynnej organizowanej przez gminę żydowską. Zabrał dziewczynę na drinka. Rozmawiali. Następnego dnia zadzwonił do niej i odtąd spotykali się regularnie.

Ruth bardzo gorliwie przestrzegała tradycji. On też taki był, przynajmniej wtedy. Żadnego seksu przed ślubem. Zanim zaczniesz myśleć o dziewczynie poważnie, musisz ją dobrze poznać. Musisz wpierw spotkać się z jej rodzicami. Musisz porozmawiać z jej ojcem.

- A więc jesteś wydawcą czasopism?

- Tylko współnikiem, proszę pana, ale uczę się.

- Chodziłeś do college'u?

- Tak, proszę pana. - Zamierzał wyjaśnić, gdzie, ale ojciec Ruth nie pozwolił mu dokończyć.

- Podobasz się mojej Ruth.

- Ona też mi się podoba, proszę pana.

- Załóżmy, że ty i moja Ruth myślicie o sobie poważnie.

- Sądzę, że tak właśnie jest, proszę pana.

- Moja Ruth to dobra dziewczyna.

- Nie mam na myśli niczego złego, proszę pana, ale bardzo dbamy o...

Jej ojciec roześmiał się.

- Młodzi ludzie! Posłuchaj, jesteś współnikiem wydawcy. Co studiowałeś w college'u?

- Dziennikarstwo, proszę pana.

- Chodzi o gazety, czasopisma, tak?

- Tak, proszę pana.

- A co będzie, jeśli ludzie przestaną kupować twoje czasopismo?

- No, nie wiem... myślę, że...

- Tak. Ja przypuszczam, że wtedy Ruth pójdzie do pracy. Moja żona nigdy nie pracowała, chociaż, oczywiście, pomaga mi w sklepie. Wychowała Ruth, jej dwóch braci i siostrę, ale nigdy nie pracowała.

- Sądzę, że w końcu to też jest praca, prawda, proszę pana?

- Nie jesteś za sprytny?

- Nie, panie Blumenthal. Ale sądzą, że Ruth nie będzie pracować, dopóki sama tego nie zechce.

- Młode dziewczyny same często nie wiedzą, czego chcą. Wydaje im się tylko, że wiedzą. Ruth ma tylko dwadzieścia dwa lata. Ile ty masz? Trzydzieści pięć?

Paul zmusił się do uśmiechu. To przez te okulary i coraz rzadsze włosy. Zawsze tak było.

- Nie, proszę pana. Mam dwadzieścia osiem lat. Łysieję, wiem, mam to po ojcu mojej matki. W wieku trzydziestu lat był już całkiem łysy. W każdym razie tak źle ze mną jeszcze nie jest, panie Blumenthal.

- Dwadzieścia osiem? Hm, nie wyglądasz na tyle.

- Wiem, panie Blumenthal. Ruth to wspaniała dziewczyna. Proszę, aby zezwolił mi pan widywać się z nią.

- A co będzie, jeśli nie pozwolę?

- Jeśli mam być szczerzy, panie Blumenthal, to i tak poproszę Ruth, żeby się ze mną spotykała. I

nie będę tracił nadziei, że zmieni pan zdanie.

- Psiakrew, znajdź sobie konkretną pracę. Proszę bardzo, widuj się z Ruth, ale znajdź konkretną pracę.

- Moja praca jest konkretna, proszę pana. Naprawdę!

Okrążyli z Ruth dom trzy razy. Potem przytulił ją, pocałował i powiedział, że ją kocha. Ona też wyznała mu swą miłość. Następnego dnia Paul odleciał do Kanady.

Rubenstein wdrapał się na szczyt wzniesienia i skierował snop światła latarki w dół, skąd wydobywała się para. Wydawało mu się, że zobaczył... O Boże!

## ROZDZIAŁ XIII

Natalia jeszcze raz zerknęła na zegarek.

- Za godzinę startujemy.

- Do tej pory Akiro powinien się tu zjawić - powiedziała Sarah spoza lampy.

- Tak. Ale jest już za ciemno na poszukiwania. John powinien o ósmej wystrzelić raketę, o ósmej piętnaście drugą, a jeśli do tej pory do nich nie dolecę, to o ósmej trzydzieści - trzecią.

- Myślisz, że znaleźli Annie? - szeptem spytała Sarah.

- Nie wiem. Modlę się, żeby tak się stało. Tylko nie wiem, do kogo mam się modlić - Natalia roześmiała się.

- Co masz na myśli?

- To, że jestem pół-Żydówką i pół-Rosjanką. Nigdy nie uczęszczałam do żadnego kościoła, pomijając przypadki, kiedy mnie tam wysyłano, żebym kogoś śledziła, kogoś namierzyła i tak dalej.

- Jak to było? To znaczy...

- Być majorem KGB?

Sarah milcząc przytaknęła. Natalia patrzyła, jak Sarah zdejmuje z głowy biało-błękitną chustkę, rozpuszczając włosy. Usadowiła się wygodnie w fotelu. W helikopterze było dość ciepło, więc płaszcz miała rozpięty. Pas leżał obok.

- Jak to było? No więc, czy John kiedykolwiek zmusił cię do tego, żebyś się przespała z mężczyzną, aby wydobyć z niego informacje?

- Nie - odpowiedziała Sarah tak cicho, że ledwo ją można było usłyszeć.

- Władimir zmuszał mnie do tego. Mówił mi: "Natalia, to dla dobra ludu radzieckiego".

- Wierzyłaś mu?

- Myślę, że tak.

- A więc nie zrobiłaś nic złego.

- Skąd wiesz? - szepnęła Natalia.

- Co?

- Skąd wiesz, że nie zrobiłam nic złego?

- No, myślę, że zrobiłaś to, bo wierzyłaś, że masz słuszne powody i...

- Zabijałam ludzi. Nigdy ich nie torturowałam, ale wiem, że Władimir to robił. Nigdy go nie powstrzymywałam, Sarah.

- Czy to właśnie robiłaś, gdy spotkałaś Johna?

- Czy John nigdy ci nie opowiadał?

- Mówiąc o swoich misjach, zawsze ograniczał się do stwierdzeń, że się powiodły albo nie.

Natalia roześmiała się:

- W wypadku twojego męża prawie każda misja kończyła się powodzeniem. Właśnie dlatego Władimir zastawił na niego pułapkę i próbował go zabić. Johnowi zbyt wiele się udawało.

Rosjanka zamknęła oczy, przypominając sobie, kiedy po raz pierwszy ujrzała Rourke'a.



Spoconego, brudnego, ze zmierzwionymi włosami i kilkudniowym zarostem. W dłoni John ścisnął pustą czterdziestkę piątkę. Był ranny.

- O czym myślisz? - spokojnie spytała Sarah. Natalia otworzyła oczy.

- Może o tym, do kogo się modłę - uśmiechnęła się.

To były zwierzęce odchody. John skierował światło latarki na ślady Rubensteina. Paul stąpał po lewej stronie tropu psa lub wilka, śladów Annie i mężczyzny z laską. Szli po zboczach w stronę białych oparów, wydobywających się, jak sądził doktor, z gejzeru.

On też ruszył w tym kierunku. Nie wiadomo czemu przyszedł mu na myśl kapitan Dodd, komandor floty "Edenu". Była między nimi zasadnicza różnica. Dodd wszystko oceniał od najgorszej strony. Tak to przynajmniej wyglądało. John zawsze przyjmował do wiadomości istnienie negatywnych aspektów, ale starał się podejść do sprawy od pozytywnej strony. Każdy obdarzony zdrowym rozsądkiem człowiek, mający dostateczne pojęcie o efektach znacznego obniżenia temperatury ciała, doszedłby do wniosku, że Annie już nie żyje. Takie racjonalne rozumowanie nie wystarczyło jednak Rourke'owi. Nie przyjmie tego do wiadomości, dopóki nie stanie wobec niezbitych dowodów. Pewnego razu jego ojciec powiedział coś, co, w przeciwieństwie do mnóstwa innych jego rad, głęboko zapadło mu w serce.

- John, czy zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego niektórzy mężczyźni, kobiety czy narody odnoszą sukces tam, gdzie inni przegrywają?

- Czy dlatego, że są w niektórych dziedzinach wyjątkowo dobrzy?

- Tak. Pomyśl nad tym. Później o tym porozmawiamy.

To mówiąc, ojciec włożył do uszu zatyczki, wyjął załadowany magazynek i włożył go do swojego kolta. John też włożył do uszu zatyczki, patrząc, jak ojciec strzela. W przeciwieństwie do syna, był on od urodzenia oburęczny. John nauczył się strzelać również dobrze z obu rąk, ale ojciec zawsze go przewyższał.

Zbocze było tak strome, że Rourke zdjął rakiety śnieżne i przewiesiwszy je przez ramię, wspinał się po skałach.

Ojciec opróżnił magazynek, strzelając prawą ręką, wymienił go na świeży, przełożył rewolwer do lewej ręki i kontynuował strzelanie.

Celowali do puszek po konserwach, które matka pieczołowicie dla nich zbierała. Siedem następnych puszek zostało zestrzelonych z parkanu. Po krótkim, ale, w oczach małego Johna, efektownym locie, spadały na ziemię, tocząc się z brzękiem.

Ojciec odłożył czterdziestkę piątkę, ale nie wyjął zatyczek. John wiedział, że strzelanie jeszcze się nie skończyło. Pierwszy raz strzelał, kiedy miał pięć lat. Zaczynał od rewolweru ojca. Był to Smith & Wesson 0,357 Magnum, broń dość rzadko spotykana przed drugą wojną światową. Starszy Rourke nieczęsto z niego strzelał. Zaczął go używać dopiero po wojnie, kiedy amunicja tego kalibru stała się łatwo dostępna.

Tamtego dnia ojciec po raz pierwszy zaproponował mu kaliber czterdzieści pięć. Głośno, niemal krzyząc, jak zwykle, gdy w uszach miał zatyczki, zapytał:

- John, chcesz to wypróbować? John Rourke miał wtedy dziewięć lat.

- No pewnie, tato!

- Dobrze. Wiem, że mówiłem ci już o tym, ale powtórzę jeszcze raz. Za każdym razem, gdy naciskasz spust, ten zamek cofa się tak szybko, że możesz tego nie zauważyć. Jeśli twój kciuk albo skóra - dotknął dłoni syna pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym - znajdzie się na jego drodze,

skaleczysz się.

- Dobra, w porządku.

Ojciec włożył nowy magazynek i odbezpieczył czterdziestkę piątkę.

- Jeśli będziesz chciał przerwać strzelanie, opuść rewolwer lufą w dół. Będę obok ciebie. Ustaw dłoń tak, żebyś mógł wygodnie odbezpieczyć broń, zanim ułożysz palec na spuście. Rozumiesz?

- Tak.

- No, to jazda - wręczył rewolwer synowi.

John wziął do ręki broń. Odbezpieczył ją kciukiem, trzymając rękę tak, jak kazał mu ojciec. Dotknął języczka spustu. Puszka pożeglowała w niebo i upadła.

Następne dwa razy spudłował, robiąc dziury w sztachetach. I znów pudło. Został jeszcze jeden nabój. John skoncentrował się na tym, żeby zapanować nad swoim oddechem, aby ręka mu nie drżała. Chciał ulokować ostatni nabój w puszcze. Delikatnie dotknął spustu. Rewolwer wystrzelił. Puszka stała nie tknięta.

Opuścił broń w dół i odwrócił się do ojca. Starszy Rourke wyjął z uszu zatyczki, wziął czterdziestkę piątkę, zabezpieczył ją i wsunął za pasek od spodni. Miał białą koszulę, był bez krawata, w rozpiętej kurtce. Zatyczki z uszu powędrowały do małego przezroczystego pudełeczka, a następnie do kieszeni kurtki.

John też wyjął zatyczki. Ojciec położył dłoń na ramieniu syna i spojrzał mu w oczy.

- No tak. Strzelałeś niezłe, ale musisz, oczywiście, jeszcze trenować. Obserwowałem cię przy ostatnim strzale. Włożyłeś w niego całą swoją duszę, prawda?

- Prawda. Ale i tak chybiłem.

- Masz zamiar znowu spróbować?

- Pewnie, jak tylko mi pozwolisz.

- I właśnie teraz odpowiedziałeś na pytanie, dlaczego niektórzy wygrywają, a inni przegrywają.

John spojrzał w brązowe oczy ojca.

- Nie rozumiem.

- Na pewno rozumiesz, zastanów się. Ojciec zapalił papierosa i uśmiechnął się.

- Pomyśl o swoim ostatnim strzale.

- Masz na myśli, tato, że nigdy nie należy rezygnować?

- Tak, to chciałem ci powiedzieć. Nigdy się nie poddawaj. Jeśli coś trzeba zrobić, próbuj tego dokonać i albo ci się uda, albo zginiesz po drodze. Ale nie poddawaj się. Dobrze?

Pogładził lewą ręką włosy syna i objął go.

- Dobrze?

- Tak. - John uśmiechnął się. - Zgoda.

Gdy ojciec umarł, John pozostał nad grobem dopóty, dopóki wszyscy inni nie odeszli.

- Nigdy się nie poddam, tato - powiedział, rzucając garść ziemi na mogiłę.

Dotarł do szczytu góry. Spojrzał w dół, na wydobywającą się parę.

Nauczył się też czegoś innego od ojca i matki. Wierzyć w możliwość własnego rozumu.

- Mój Boże... - szepnęła Rourke w otaczającą go noc.

## ROZDZIAŁ XIV

- Otrzymaliśmy komunikat radiowy z Podziemnego Miasta, towarzyszu marszałku.

- Siadajcie.

Krakowski usiadł, kładąc czapkę na stole. Antonowicz przyglądał mu się uważnie.

- Bardzo interesujący komunikat - znów przemówił Krakowski. Karamazo w patrzył na młodego majora - ani Krakowski, ani Antonowicz nie otrzymali awansu na pułkownika. To, co miało być pewnym zwycięstwem, za sprawą Rourke'a zmieniło się w haniebną klęskę. Na pewno była to sprawka doktora. Marszałek spojrział na żółte światło lampy i cienie na ścianie baraku.

Byli w zachodnim Teksasie. Wiatr zawodził głośno, tak głośno, że dźwięk wypełniał cały mózg Karamazowa.

- Co jest w nim aż tak interesującego?

- Sygnał SOS, towarzyszu marszałku. Był identyczny z sygnałami z naszych helikopterów. Zrobiliśmy namiar i zlokalizowaliśmy źródło. Mam tu współrzędne. Sygnał pochodzi z południowo-zachodniego wybrzeża Islandii.

- Islandii?

Krakowski spojrział na Antonowicza.

- Tak, towarzyszu, Islandii.

- Może to zabłąkany śmigłowiec "Edenu" - mruknął Antonowicz. - Ale dlaczego Islandia?

Karamazow nigdy nie zaprzętał sobie głowy szczegółami technicznymi.

- Czy ten sygnał mógł zostać wysłany przypadkowo?

- Bardzo wątpliwe, towarzyszu marszałku. Ale kto mógłby go wysłać?

- Z tonu waszego głosu, towarzyszu majorze - syknął Karamazow - wnioskuję, że macie już jakąś sugestię.

- Tak jest, towarzyszu marszałku. Islandia należała do grupy zachodnich aliantów. Albo przynajmniej uchodziła za ich sojusznika. Może Amerykanie przechowywali tam sprzęt albo broń. Według jednej ze skrajnych teorii, Islandia mogła ocaleć z Wielkiej Pożogi.

- O czym wy mówicie? Nikt nigdy mi o tym nie wspominał.

- Towarzyszu marszałku, to tylko jedna z teorii. Opiera się ona na założeniu, że między pasami van Allena nastąpiło przesunięcie. Naładowane cząsteczki, które spowodowały jonizację i wypalenie większości atmosfery, zostały rozproszone przez wiatr słoneczny. W efekcie uległo zahamowaniu zjawisko mieszania się warstw atmosfery, co oznacza, że powstało coś w rodzaju osłony, zapobiegającej zniszczeniu powietrza nad Islandią i w obszarze podbiegunowym.

- Co takiego?

- Powtarzam, towarzyszu marszałku - to tylko teoria. Krakowski uśmiechnął się, wzruszając ramionami.

- Oczywiście nie ma mowy, żeby tam coś mogło przeżyć. W tamtym czasie temperatura niesłychanie się obniżyła. Sądzi się, że w rejonach podbiegunowych dochodziła nawet do...

- Naprawdę mało mnie to interesuje. Myślicie, że Amerykanie mogli przechować sprzęt na Islandii, przewidując tę całą historię z...

- ...z pasami van Allena? Tak, istnieje taka możliwość, towarzyszu marszałku.

Antonowicz potrząsnął głową.

- Taka teoria mogłaby tłumaczyć zaobserwowany przez nas szybszy rozwój roślinności leśnej w północnym rejonie tego, co dawniej było Kanadą. Wygląda na to, że może nie cały tlen został tam wypalony. A jeśli chodzi o przesunięcie bieguna, to temperatura na północy naszego kraju była wyższa niż na terenach położonych na podobnej szerokości w Kanadzie.

Marszałek Władimir Karamazow przyglądał się swoim dłoniom, rozmyślając.

- Te pasy van Allena. Słyszałem o nich oczywiście, ale powiedzcie mi, Krakowski, w jaki sposób wywarły one ten efekt? Nigdy nie miałem czasu zagłębiać się w rozważania naukowe. Na polu walki musiałem zajmować się czym innym.

Krakowski odchrząknął.

- Oczywiście, towarzyszu marszałku. Zasadnicza teoria głosi, że prawie równoległe do siebie pasy van Allena rozszerzały się, gdy coraz więcej naładowanych cząsteczek przenikało do nich z innych, sztucznie utworzonych pasów. Te sztuczne pasy radiacyjne powstały w wyniku eksplozji termonuklearnych. W normalnych warunkach ciśnienie wiatru słonecznego zniekształca pasy van Allena. Prawdopodobnie protony i elektrony tworzące wiatr słoneczny oddziałują na naładowane cząsteczki w pasach. Teoria zakłada, że niektóre rejony Ziemi zostały skutecznie ochronione przez niezwykle zakłócenia w magnetosferze. Zazwyczaj podczas burz magnetycznych poziom protonów w zewnętrznym pasie znacznie się zmienia. Bardzo rzadko zdarzają się burze o odmiennym przebiegu, kiedy to w dolnym pasie gęstość protonów ulega zmianie. Taka właśnie, odbiegająca od normy, burza magnetyczna miała miejsce rano w dniu zagłady. Zjawisko to stało się przyczyną zniszczenia życia na Ziemi, ale jednocześnie czoło fali uderzeniowej mogło umocnić warstwę ochronną, oddziałując na strefę zorzy polarnej. Kiedy tlen się wypalił, oczywiście nie powstała próżnia. Miejsce tlenu zajęły gazy powstałe w wyniku spalania tlenu. Krótko mówiąc; część atmosfery ziemskiej była naładowana dodatnio, a część ujemnie. Część atmosfery była gorąca, a część bardzo zimna. Poszczególne części nie mieszały się ze sobą - tak przynajmniej mówi teoria. Ja też jestem żołnierzem i niezbyt dobrze się orientuję w zawiłościach naukowych. Może mógłbym zorganizować przysłanie z Podziemnego Miasta dokładniejszych informacji.

Władimir Karamazow przyglądał się przez chwilę twarzy podwładnego. Prawdę mówiąc, prawie nic nie zrozumiał z jego wykładu. Podjął jednak decyzję.

- Majorze Krakowski. Stworzycie mały, ale prężny oddział i polecicie najkrótszą trasą do miejsca zlokalizowanego na Islandii. Natychmiast zameldujecie mi o tym, co znaleźliście. Jeśli przypadkiem Amerykanie przejęli ukrytą broń lub inny materiał strategiczny, możecie otrzymać rozkaz przejęcia lub zniszczenia ich sprzętu.

Karamazow nie spuszczał wzroku z twarzy Krakowskiego.

- Jeśli uznacie za możliwe, że w tę sprawę zamieszany jest Amerykanin Rourke lub moja żona, podejmiecie niezbędne kroki, aby skutecznie ich wyeliminować, o ile to będzie konieczne. Być może uda wam się ich schwytać, ale w każdym razie muszą zostać unieszkodliwieni. Za wszelką cenę!

Krakowski wstał, wyprężył się na baczność i powiedział:

- Moi żołnierze oczekują rozkazów, towarzyszu marszałku!

- To wspaniale - mruknął Karamazow. - Doskonale. Spojrzał w ślad za majorem, który opuszczał

barak. "Ambitny dupek, ten Krakowski" - pomyślał.

## ROZDZIAŁ XV

Doktor zdjął plecak, aby lepiej przywiązać do niego rakiety śnieżne. Za wszelką cenę chciał uniknąć przypadkowego hałasu. Siedział na krawędzi czarnej skały wulkanicznej, a wokół niego unosiły się kłęby pary. W końcu zdecydował się. Dostrzegł niszę skalną i ruszył w jej stronę, niosąc plecak w lewej ręce.

Kiedy dotarł do celu, położył na ziemi pakunek i zdjął wiatrówkę, starając się jak najciszej rozpiąć zamek błyskawiczny. Potem usiadł i ściągnął ocieplane spodnie. Jego skórzana kurtka została na pokładzie helikoptera, ale tutaj nie było zimno.

Wyblakłe dzinsy były może zbyt cienkie, ale musiały wystarczyć. Zdjął szal i włożył go do rękawa wiatrówki, tak jak i rękawice. Zostawił sobie tylko cienkie rękawiczki, których zazwyczaj używał. Wciągnął przez głowę ciepły szary golf, a potem wyjął z plecaka pas z kaburą na pythona. Zapiął sprzączkę i wsunął rewolwer do kabury. Scoremaster został w śmigłowcu, ale oprócz pythona i M-16, do którego miał tylko trzy zapasowe magazynki, wziął jeszcze dwa bliźniacze pistolety Detonic. Spoczywały teraz bezpiecznie pod jego pachami. Nie musiał ich sprawdzać, wiedział, że są gotowe do strzału. Znów sięgnął do plecaka, wyjął z niego zapasowe magazynki do pistoletów i wsunął je za pasek. Poglądził nóż Gerber przytroczony do pasa. Dotknął małego sztyleciku ze stali chromowej, który tkwił ukryty po wewnętrznej stronie spodni. Otworzył futerał, sprawdził, czy okulary są całe, a potem wsunął je do chlebaka, gdzie leżały już zapasowe magazynki do M-16. Po namyśle dołożył tam jeszcze cygarniczkę. Potem wepchnął kurtkę i spodnie do plecaka, zamknął go i wsunął w głąb niszy. Liczył się z tym, że może będzie musiał uciekać w pośpiechu. W chlebaku miał trochę najniezbędniejszych środków pierwszej pomocy. Oprócz tego było tam nie rozpakowane pudełko z pięćdziesięcioma nabojami, kilka magazynków do pistoletów i kompas, tutaj właściwie bezużyteczny.

John jeszcze raz spojrział w dół poprzez parę. Teraz sobie coś przypomniał. Zgodnie z mapą, góra, na której się znajdował, to uspiiony wulkan Hekla. Kilka lat temu czytał jakąś książkę o Islandii. Według przytoczonej tam legendy, Hekla miała być jedną z bram wiodących do piekła.

Widział światła, przyćmione przez wielkie chmury białej pary. Coś było tam w dole, wewnątrz wulkanu. Ślady Paula Rubensteina urywały się tutaj, tak samo jak ślady Annie i wilka lub psa. Może psa - strażnika piekieł? Uśmiechnął się. A mężczyzna z laską? Czy to diabeł z odwróconymi widłami?

Było mu naprawdę obojętne czy to piekło, czy cokolwiek innego.

Zaczął schodzić w głąb wulkanu. Musiał znaleźć córkę i swego najlepszego przyjaciela. W prawej dłoni mocno ścisnął M-16...

Istnieje ogólna zasada dotycząca wulkanów typu islandzkiego i hawajskiego: średnica podstawy jest w przybliżeniu dwadzieścia razy większa od wysokości. O ile dobrze pamięta dane z mapy topograficznej, Hekla ma około tysiąca trzystu metrów wysokości. Oznaczałoby to, że średnica jej podstawy wynosi około dwudziestu sześciu kilometrów. Kratery tego typu wulkanów mają strome

zbocza o charakterystycznym kącie nachylenia, wynoszącym trzy do ośmiu stopni. Natomiast dno krateru jest całkiem płaskie.

John pokonywał stok krateru od jakichś dwudziestu minut, może od kwadransa. Stracił rachubę czasu, pochłonięty tym, co widział w dole. Obok biegły ścieżki, którymi łatwiej byłoby mu iść. Wolał jednak nie ryzykować spotkania z kimkolwiek, co mogłoby nastąpić pomimo późnej pory. Tak więc zdązał do celu drogą trudniejszą, ale za to pewniejszą.

Spółeczność... Przypominał sobie niewielką, pozornie zamkniętą społeczność w Bevington, w stanie Kentucky. Mało brakowało, a Rourke straciłby tam życie.

Im niżej schodził, tym rzadsze stawały się opary. Prawdopodobnie ciepłe powietrze unosiło parę do góry i dopiero tam, gdzie było zimniej, tworzyła gęste obłoki. Teraz od czasu do czasu widok był całkiem wyraźny. Zatrzymał się na czubku skały wulkanicznej, zdjął pasy, na których miał pod pachami przypięte pistolety, i ściągnął sweter. Uważnie przyglądał się temu, co ukazało się poniżej.

Ogrody. Drzewa. Ulice czy też raczej drogi. Kwiaty na wypielęgnowanych rabatach.

Domy. Budynki były kwadratowe, całkiem symetryczne. Stożkowate, spiczaste dachy przypominały piramidy. Zdawało mu się, że są białe, szare czy może brązowe. Lampy łukowe o purpurowym świetle wyglądały jak iluminacje wzdłuż dróg. Wszystko razem sprawiało wrażenie jakiegoś gigantycznego terrarium.

Na pewno nie było to piekło.

John zawiązał sweter wokół szyi, bo nie miał gdzie go schować, plecak spoczywał w skalnej niszy. Nadal schodził w dół doliny. Nie dostrzegł na razie żadnego człowieka, ale ponieważ co pewien czas para przysłaniała mu pole widzenia, nie mógł mieć całkowitej pewności, czy kogoś nie ma na drodze.

Temperaturę otoczenia oceniał na jakieś czterdzieści stopni Celsjusza. Rourke stanął i podwinął rękawy błękitnej koszuli. Rękawiczek nie zdjął, aby skały nie poraniły mu dłoni. Znow ruszył w dół.

Szedł jeszcze przez następne dziewięć minut, tym razem kontrolując czas. Niecałe sto metrów nad rozciągającym się poniżej płaskim terenem znow przystanął. Spojrzał na zegarek. Było już po dziesiątej. Nie nadał umówionego sygnału, na który czekała Natalia, a jeśli nie wdrapie się na brzeg krateru, to nie wyśle ani drugiego, ani trzeciego.

Ale teraz nie mógł stracić ani minuty. Postanowił zdać się na rozsądek Natalii i Sarah, które same powinny zdecydować, co dalej robić.

Powoli zaczął schodzić, uważając, aby jakiś przypadkowo strącony kamień nie narobił hałasu. Takie miejsce na pewno jest strzeżone. Stąpił ostrożnie, mrużąc oczy, kiedy spoglądał na purpurowe światła latarni przy drogach. Jednocześnie myślał nad tym, co widział. Ludzkie osiedle, ciepło, niemal tropikalna, bujna roślinność, a wszystko to w obszarze arktycznym.

Było oczywiste, że wykorzystywano tu energię geotermiczną; para w kraterze pochodziła przecież z gorących źródeł. Naturalne studnie geotermiczne mogły dostarczać ciepła, pary do napędzania turbin w generatorach prądu, mogły ogrzać powietrze tak, aby całe dno krateru zmieniło się w odkrytą cieplarnię. Sztuczne oświetlenie było niezbędne, aby umożliwić wegetację. Słońce docierało tu rzadko i na krótko, przez większą część roku w kraterze panowały ciemności. Nie było obawy, aby światła zgasły: para z gejzerów stanowiła niewyczerpane źródło prądu. Po przeciwnej stronie krateru John mógł dostrzec jakieś większe budowle. Może były to fabryki albo budynki rządowe. Wytlumaczenie, jak mogą tu żyć ludzie, mieściło się w granicach zdrowego rozsądku. Ale skąd się tu wzięli, kto to wszystko zbudował i jak to przetrwało? W miarę zbliżania się do dna krateru, John

mógł się przekonać, że kwietniki są regularnie pielęgnowane, a trawa - systematycznie przycinana. Odpadki roślinne mogą służyć do wytwarzania alkoholu, wykorzystywanego jako paliwo.

Ale jak to się dzieje, że żyją tutaj ludzie?

Rourke zastygł nieruchomo w pół kroku, jedną nogą stojąc na krawędzi skały i przytrzymując się prawą ręką kamienia, żeby nie spaść w dół. Było jasne, że osada jest dziełem techników i inżynierów. I właśnie jeden z nich pojawił się dwanaście metrów pod nim. Bardzo wolno John cofnął się za brzeg skały.

Mężczyzna. Za nim jeszcze jeden. Każdy z nich uzbrojony był w długi miecz przypasany do lewego boku. Obaj długowłosi i brodaci; jeden był blondynem, a drugi - rudy. Na nogach mieli drugie do kolan, wyglądające na skórzane buty i zielone spodnie wpuszczone w cholewy. Ubrani byli w sięgające do kolan zielone tuniki bez rękawów. Pod tunikami mieli zielone koszule z bufiastymi rękawami. Przez głębokie rozcięcie z przodu tuniki było widać gors koszuli. W talii ściśnięci byli pasami, na których zwisały miecze.

Gdyby mieli na głowach hełmy z rogami, a w rękach tarcze, wyglądaliby całkiem jak wikingowie z filmów.

”Policjanci?” - zastanawiał się Rourke.

Mężczyźni byli coraz bliżej miejsca, w którym siedział. Rudowłosy miał na pewno sporo ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, blondyn był o parę centymetrów wyższy, a obaj musieli ważyć co najmniej po sto kilo. Pod szatami, wyglądającymi jak kostiumy teatralne, kryły się dobrze rozwinięte mięśnie.

Mógł ich zawołać, ale stwierdził, że szansę na porozumienie się z nimi są nikłe. Na pewno mówią po islandzku, o ile w ogóle używają jakiegoś znanego języka. Islandzki, co prawda, ma pewne wspólne cechy z językiem staroangielskim, ale to zbyt mało, aby się nawzajem zrozumieli.

Nie zauważył, żeby mieli broń palną.

Zastanawiał się, czy nie zawołać, aby zwrócić na siebie ich uwagę. Potem mógłby wycelować w nich swój M-16. Ale jeśli ci ludzie nie znają karabinów, nie zrozumieją znaczenia tego gestu. Poza tym zabijanie może przynieść teraz więcej szkody niż pożytku.

Rourke zdjął karabin i chlebak. Tak cicho, jak tylko potrafił, zaczepił je o wystający, ostry brzeg skały, na której siedział skulony.

Mężczyźni znajdowali się akurat pod nim. Skoczył, wyciągając ręce do przodu. Schwycił obu wikingów, upadł razem z nimi i przycisnął ich do ziemi. Rudzielec padł na chodnik i nie ruszał się. Blondyn potoczył się, wstał i skoczył na doktora, który, klęcząc, zrobił unik w lewo, oparł się o ziemię lewą ręką i kolanem, a prawą nogą błyskawicznie kopnął przeciwnika. Nie trafił w pachwinę. Stopa wylądowała na brzuchu blondyna, który zgiął się i opadł na kolana. Teraz rudzielec, charcząc, próbował się podnieść. Rourke, nie zdejmując rękawiczki z prawej dłoni, zadał mu dwa szybkie ciosy pięścią, raz w szczękę i raz w podbródek. Po tych uderzeniach głowa rudego opadła w tył, a ciało bezwładnie zważyło się na trawę. John poczuł ból w dłoni, ale nie było czasu o tym myśleć. Blondyn pozbierał się i znów atakował. Rourke przekoziółkował, zamarkował kopnięcie, obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i zadał cios prosto w prawe ramię i żebra napastnika.

Rudzielec już wstał i sięgał po miecz. Doktor rzucił się na niego całym ciałem, tak, żeby przeciwnik nie mógł odeprzeć ataku. Zielono odziany Islandczyk jedną ręką wy dobył miecz, a drugą chwycił go za gardło. Doktor upadł na kolana. Wiking potknął się i stracił równowagę. Rourke przetoczył się na bok, ale zanim wstał, rudy złapał oddech i zamachnął się nogą, starając się trafić



Johna w twarz. Chwycił stopę rudzielca, zanim dosięgła celu i całym swym ciężarem uwiesił się na jego nodze. Islandczyk wrzasnął. Gdyby miał słaby staw kolanowy, mógłby go spisać na straty. John podniósł się, a tymczasem rudzielec krzyczał coś niezrozumiale, trzymając wyciągnięty do połowy miecz. Błyskawiczny półobrót w prawo i czubek wojskowego buta wylądował na szczęce wikinga, który upadł na plecy, mrugając oczami. Znow obrót w prawo, w stronę blondyna, nadbiegającego z obnażonym mieczem. Rourke padł, przetoczył się przez leżącego rudzielca i wyrwał mu z dłoni miecz, podczas gdy broń blondyna rozcięła powietrze tuż nad głową Johna. Poderwał się na nogi, trzymając w obu rękach ozdobną rękojeść. Przeciwnik zatrzymał się, cofnął o krok i zrobił wypad do przodu, usiłując ugodzić Amerykanina.

John zrobił krok w tył, patrząc blondynowi w oczy: były utkwione w jego wielkim gerberze, zwisającym z lewego biodra. Puściwszy lewą ręką uchwyt miecza, sięgnął po nóż. Blondyn wciąż go obserwował. W pewnym sensie nie było to uczciwe, że jeden z nich dysponował sztyletem, a drugi nie. Rourke przez chwilę ważył nóż w dłoni, a potem cisnął go. Gerber nie jest przeznaczony do rzucania; w większości wypadków rzut nożem jest ostatnim rozwiązaniem, gdy zawodzą wszystkie inne. Ale John pozbył się noża, wbijając go w trawę aż po sam trzonek.

Spojrzał na blondyna i skinął głową. Tamten też skinął i ruszył w jego stronę. Doktor przesunął się w prawo, zmuszając go do zmiany kierunku. Miecz miał opuszczony w dół. Znow zrobił krok w prawo; teraz trzymał miecz w lewej ręce, unosząc go do góry. W ten sposób zablokował cios Islandczyka.

Miecze skrzyżowały się. Amerykanin cofnął nieco lewą stopę, aby nie stracić równowagi i wyciągnął ręce do przodu. Blondyn wychylił się nad ostrzem jego miecza, ale odrobinę za mocno, poza punkt ciężkości. Rourke okręcił się o trzydzieści stopni, przenosząc ciężar ciała na prawą nogę i zginając kolano. Potem lewą stopą wykonał błyskawiczny ruch w górę i w przód, trafiając czubkiem buta w podbrzusze przeciwnika.

Błękinie oczy blondyna niemal wyszły z orbit. Ból go poraził. Zachwiał się i cofnął o krok. Ich miecze nadal były skrzyżowane. Doktor postąpił krok do przodu, klingi rozłączyły się na moment. Szybkie cięcie w dół i w prawo, ostrze zadzwoniło o ostrze. John przeniósł ciężar ciała na lewą stronę, a prawą cofnął, tak jakby miał zamiar zrobić półobrót. Zamiast tego nagłym ruchem lewego łokcia podbił szczękę wikinga. Lewą dłonią trafił przeciwnika w sam środek czoła, tuż przy nasadzie nosa. Wciąż blokując jego miecz, znow przeniósł ciężar na prawą stopę, a lewą kopnął mężczyznę w kolano. W tym samym momencie jego pięść zderzyła się z zuchwą jasnowłosego wikinga, którego głowa odskoczyła w prawo. Ręce wypuściły miecz. Metal zadzwonił o płyty chodnika. Rourke cisnął swój miecz szerokim łukiem, ostrze wbiło się w ziemię niedaleko noża. Blondyn osunął się bezwładnie na ziemię.

Upłynęło sporo czasu od chwili, kiedy John Rourke ostatni raz uprawiał kendo. Co najmniej pięćset lat.

## ROZDZIAŁ XVI

Czekał, aż któryś z mężczyzn się ocknie. Zastanawiał się, czy jakiegokolwiek ze słów; "dziewczyna", "kobieta" czy "córka" wywoła u nich reakcję.

W końcu postanowił zostawić oba nieruchome ciała i wspiął się na skałę po M-16 i chlebak. Znow zszedł na dół. Myślał o zabraniu miecza rudzielca, ale doszedł do wniosku, że "pożyczenie" broni, aby móc walczyć z blondynem, to jedna sprawa, natomiast pozbawienie go jej byłoby już zbyt upokarzające. Honor bardzo silnie wiązał się z bronią u kultur posługujących się wszelkiego typu mieczami i szablami. Tak przynajmniej było kiedyś, gdy takie kultury jeszcze istniały. Przyszło mu jednak do głowy, że gdyby ktoś mu zabrał oba pistolety, też poczułby się podle.

Obejrzał obu Islandczyków. Byli nieprzytomni, ale oddychali równomiernie. Wyrwał gerbera z ziemi, schował go i, zostawiwszy leżących mężczyzn, pobiegł drogą przed siebie. Wikingowie. Wojownicy żyjący w miejscu, które nie powinno istnieć. W miejscu stworzonym dzięki tak wymyślnej technologii, że każdy naród na Ziemi mógłby im jej pozazdrościć.

Gdy wyciągał nóż z ziemi, poczuł, że jest ciepła. O wiele cieplejsza, niż wynikałoby to z temperatury powietrza. Podejrzewał, że pod spodem zakopane są rury ogrzewające cały teren. Taki system wymagał ogromnych ilości energii. Jednakże woda, która tej energii dostarczała, krążyła w obiegu zamkniętym, a tylko stosunkowo mała ilość ulatniała się w postaci pary.

Biegł. Annie tu była. Paul tu był...

Paul Rubenstein czołgał się naprzód. Zatrzymał się za żywopłotem, nasłuchując. Język, którym posługiwały się te śliczne dziewczyny w długich do ziemi spódnicach, wydawał mu się całkowicie nieznany. Wychwytywał czasem pewien ślad podobieństwa do języka staroangielskiego, którym był napisany "Beowulf". Czytał to kiedyś w szkole.

Tłumaczenie sprawiało mu przyjemność. Prawdę mówiąc, czytał Beowulfa kilka razy. Profesor nazwał to pierwszą powieścią przygodową, a jednocześnie najstarszym z zachowanych utworów w języku angielskim.

Dziewczęta siedziały na drewnianej ławeczce z niskim oparciem. "Siedziały" było niewłaściwym słowem. Raczej - przycupnęły, pochłonięteżywioną rozmową. Jedna z nich była ciemną blondynką, druga - jasnowłosa. Pierwsza miała warkocze, które podskakiwały, gdy potrzasała głową. Druga też miała splecione włosy, ale były one upięte wokół głowy. Takie fryzury widział na dziewiętnastowiecznych fotografiach.

- Cholera - mruknął cicho do siebie. Obrócił się na bok i odpiął ramię plecaka opasujący go w talii. Potem zsunął lewą szelkę, obrócił się i zsunął prawą. Otworzył plecak, starając się nie hałasować. Latarka. Chlebak z zapasowymi magazynkami do browninga - nowszy rewolwer zostawił Natalii i Sarah, tak jak Rourke zostawił swoje scoremastery. Żaden z nich nie spodziewał się walki. Wyjął drugi chlebak z magazynkami do schmeissera. Dwa magazynki do M-16 wsunął do kieszeni spodni. Latarkę schował do kieszonki w pasku.

Wepchnął delikatnie plecak między krzewy żywopłotu, starając się zapamiętać to miejsce z małą

ławeczką i strumykiem szemrzącym parę metrów dalej. Uniósł się i klęcząc, spoglądał jeszcze chwilę na dziewczęta.

Stanowiło dla niego zagadkę, kim są te młode kobiety i dlaczego w ogóle istnieją. Wiedział tylko, że technika stoi tu na bardzo wysokim poziomie. Dotykając ziemi, poczuł miłe ciepło. Doszedł do wniosku, że muszą tędy przebiegać rury. Klimat całego tego obszaru jest uregulowany za pomocą energii geotermicznej.

Zaczął się wycofywać na kolanach i łokciach, rzucając ostatnie spojrzenie na plecak.

- Sarah, słyszysz mnie? Odbiór - Natalia mówiła do mikrofonu.

- Słyszę cię, Natalio. Odbiór.

- Nie zauważyłam rakiet. Albo John się spóźnia, albo coś się stało. Odbiór.

- Kurinami właśnie tu wszedł. Czy mamy go przysłać do ciebie? Odbiór.

Wzrok Natalii powędrował w ciemność nocy. Myślami wciąż tkwiła w górach, dokąd udali się John i Paul. John nie powiedział tego na głos, ale Natalia dobrze zdawała sobie sprawę, że Annie nie przeżyje drugiej nocy przy tak niskiej temperaturze. Nie miała przecież odpowiedniej osłony przed mrozem.

- Nie. Podam ci moją pozycję. Jestem na zachód od nieczynnego wulkanu, oznaczonego na naszych mapach jako Hekla. Z krateru wydobywają się znaczne ilości pary. Schodzę na niższy pułap. Niech Akiro trochę odpocznie, a Michael i Madison niech piklują obozu. Elaine też niech z nimi zostanie. Jeśli nie nawiążę z wami łączności w ciągu dwóch godzin, ty i Akiro wyruszycie za mną. Zrozumiałaś? Odbiór.

- Zrozumiałam. Uważaj na siebie. I dziękuję ci za wszystko. Bez odbioru.

Natalia skoncentrowała uwagę na zbliżającym się wulkanie. Włączyła czujniki termiczne. Wyglądało na to, że para z wulkanu emituje o wiele więcej ciepła niż którykolwiek z mijanych dotychczas gejzerów.

Zaczęła schodzić na niższy poziom. Włączyła światła lądowania, aby choć trochę rozproszyć kłębiącą się wokół mgłę. Przyszło jej do głowy, że gdyby znajdowały się tu wojska nieprzyjaciela, dzięki tym światłom z łatwością mogłyby ją wykryć. Jednocześnie jednak sprowokowanie reakcji byłoby najszybszym sposobem nawiązania kontaktu. Włączyła teraz wszystkie światła. Utrudnianie sobie lądowania nie miało sensu...

Annie Rourke obudziła się, słysząc dźwiękpodobny do dzwonek. To był alarm. Wszędzie wokół niej rozlegało się dzwonienie, a jakiś głos mówił w dziwnym języku coś, czego nie mogła zrozumieć. Odrzuciła kołdrę i zeskoczyła na podłogę. Koszula nocna, która podwinęła się jej na biodrach, swobodnie opadła aż do kostek. Po omacku szukała stopami pantofli. Namacała wyłącznik i zapaliła stojącą lampkę. Snop żółtego światła padł na leżący przy łóżku dywanik. Na poręczy łóżka wisiał duży, zakończony frędzlami szal. Owinęła się nim i podeszła do drzwi. Nacisnęła klamkę, drzwi się otworzyły. Nie zamknięto więc jej na klucz.

Wyszła na korytarz. Wszędzie biegli jacyś ludzie. Kobiety, jak i ona w szalach narzuconych na koszule nocne. Półnaczy, bosonodzy mężczyźni, dopinali w biegu spodnie. Strażnicy w zielonych tunikach przypinali miecze.

Rozejrzała się na lewo i na prawo, a potem pobiegła tam, dokąd zmierzało najwięcej kobiet...

Natalia patrzyła w dół, starając się dojrzeć jak najwięcej przez kłęby pary. Purpurowe światła. Może bardziej wpadające w fiolet Zapięła kaptur, szczelnie otulając głowę, a nos i usta owinęła jedwabną chustką. To mogło choć trochę ochronić ją przed zimnem.

Dźwięk, który dotarł do jej uszu, wydał się jej jeszcze bardziej niesamowity niż światła.

Musiała wybrać: albo wraca do helikoptera i leci po pomoc, albo idzie sama.

Emocje czy logika? Wybrała logikę. Biegła po zboczu, potykając się, ześlizgując w dół, padając w śnieg. Szumiał wiatr i dziwny dźwięk ledwo do niej docierał. Ale na pewno był to jakiś głośny sygnał alarmowy.

## ROZDZIAŁ XVII

- Cholera - syknął John Rourke, przechodząc z truchtu w sprint. Może strażnicy ocknęli się, ale bardziej prawdopodobne było, że poruszając się po otwartej przestrzeni, przeciął promień padający na fotokomórkę lub nadepnął czujnik w ziemi. - Cholera!

Oprócz alarmu słyszał jakiś głos. Co prawda dzwonki zagłuszały go, ale John mógł się zorientować, że głos mówi w języku brzmiącym trochę jak norweski, trochę jak staroangielski, a ogólnie całkowicie niezrozumiałym.

Skęcił w lewo i wbiegł między drzewa owocowe. Były to jabłonie i brzoskwinie. Z drugiego końca sadu dobiegały do niego głosy, prawdopodobnie ktoś wykrzykiwał komendy. Biegł jednak w tamtą stronę, bo nie było innej drogi.

Annie. Paul. Kluczył między drzewami znajdującymi się w różnych stadiach dojrzewania. Niektóre dopiero kwitły; inne były już obsypane owocami. Klimat był tu w pełni kontrolowany, pory roku się nie zmieniały.

Ci ludzie naprawdę mieli sporo oleju w głowie. Ciekawe tylko, czy będą się zachowywać wrogo.

Był już niedaleko końca sadu, gdy pojawił się mężczyzna w zielonej tunice, ubrany tak samo jak tamtych dwóch. Biegł w jego stronę, krzycząc i wymachując mieczem. Rourke zwolnił i rozejrzał się dookoła. Brodaty blondyn z mieczem szarżował. Mając w rękach karabin M-1 Garand, lub M-14 mógłby zaryzykować odparowanie ciosu miecza. Ale M-16 był zbyt delikatny. Padł więc na ziemię, przekoziółkował i nagłym wyrzutem nogi ściał atakującego mężczyznę, który zarył nosem w ziemię pod drzewami. John podniósł się na kolana i przyłożył mu kolbę karabinu w potylicę. Napastnik znieruchomiał. Nie dbał już o etykę i honor przeciwnika. Podniósł jego miecz. Był on identyczny z mieczami poprzednich wikingów, tylko rękojeść miała inny wzór i kształt. Brak całkowitej jednolitości stanowił dobry znak.

Rourke zabrał miecz i pobiegł dalej.

Naprzeciw niego pojawił się inny strażnik, w biegu dobywający broni. Krzyczał coś w przedziwnym, lecz pięknie brzmiącym języku; prawdopodobnie był to islandzki.

Na pewno była to kolonia ludzi, którzy przetrwali. Ale jak oni przetrwali?

Strażnik zaatakował. Rourke uskoczył w bok, parując cios; znów odskoczył, a mężczyzna ciął w dół. Rourke zablokował cięcie, trzymając miecz w prawej dłoni, podczas gdy jego lewa pięść wylądowała z wielką siłą na szczęce przeciwnika. Strażnik padł.

Biegł znów, z karabinem przewieszonym przez plecy, z mieczem w prawej ręce.

Wydostał się z sadu i znalazł się na alei, która przypominała mu promenadę między Kapitołem a pomnikiem Waszyngtona. Zobaczył przed sobą wysoki, okazały budynek. Na schodach stali mężczyźni, niektórzy ubrani na zielono, inni bez koszul. Jedni trzymali miecze, inni byli bez broni.

Zwolnił i zatrzymał się. Spojrzał za siebie. To samo. Z każdej strony nadchodzili mężczyźni, otaczając go coraz ciaśniej. Podniósł miecz i rzucił go jak najdalej od siebie.

Zdjął z pleców karabin, odciągnął zamek, włożył nabój do komory i przestawił broń na strzelanie ogniem ciągłym. Lufę skierował w stronę okazałego gmachu i mężczyzn, którzy zbiegali ze schodów.

Strzelił, celując w ziemię, pięć metrów przed tymi, którzy biegli na czele. Mężczyźni zwolnili. Rourke wypalił jeszcze raz.

Stanęli. Teraz obrócił lufę w bok i krótką serią zatrzymał atak z lewej strony.

Wycelował za siebie - ale tu atakujący już się zatrzymali. "Nareszcie zaczęli się zachowywać powściągliwie" - pomyślał.

Alarm wciąż dzwonił.

To był rodzaj budynku sypialnego. Półnaczy mężczyźni i kobiety w długich koszulach nocnych, omotane szalami, niektóre w szlafrokach. Wszyscy wybiegali przez główne drzwi i zatrzymywali się na stopniach bardzo długich schodów. Niektórzy mężczyźni zbiegali na sam dół i kierowali się w stronę centrum krateru. Paul Rubenstein posłyszał coś. Znał ten dźwięk. To M-16, przełączony na ogień ciągły. Do tej pory nie zauważył, żeby ktoś nosił broń palną, ale przecież musiała tu być jakaś straż oprócz długowłosych brodaczy, którzy patrolowali teren z mieczem u boku.

Nagle serce zabiło mu mocniej. Annie! W długiej koszuli nocnej, otulona szalem, z rozwianymi włosami - stała na szczycie schodów.

W jednej chwili Paul, rezygnując z ukrywania się, przeskoczył przez żywopłot. Biegł do niej, krzycząc:

- Annie! Idę do ciebie!

Mężczyźni zaczęli zbiegać ze schodów w jego kierunku. Niektórzy wydobyli miecze, więc Paul wypalił ze schmeissera w trawę pod ich stopami. Drugą serię skierował w powietrze. Armie już biegła do niego po schodach.

Człowiek z mieczem ocknął się z odrętwienia i ruszył do ataku. Paul strzelił mu pod nogi, ale mężczyzna zignorował to i nadal biegł przed siebie.

- Zawsze znajdzie się jakaś zakuta pała - mruknął do siebie Paul, w biegu robiąc unik, gdy napastnik chciał mu zadać cios. Kolbą schmeissera rąbnął mężczyznę w głowę, aż ten upadł na ziemię. Paul na chwilę stracił równowagę, zachwiał się, ale znów zaczął biec do Annie, która już zdążyła zejść ze schodów. Stała teraz, przytrzymując rękami szal na piersiach.

- Paul! Nie zabijaj nikogo! Paul!

Rzucił Annie szybkie spojrzenie. Wierzył jej osądowi. Znów wycelował pod nogi prześladowcy, zmuszając go, by ten odskoczył w bok.

- Schody! Chodźmy!

Chwycił ją za rękę i pobiegł w górę, wymachując pistoletem. Poczul, że Annie mu się wrywa. Spojrzał na nią kątem oka. Chciał jak najszybciej dotrzeć na szczyt schodów. Wydobył z kabury browninga i wcisnął go w dłoń dziewczyny.

- Jest załadowany. Co tu się dzieje, do cholery?

- Ci ludzie nie są niebezpieczni! Jeden z nich uratował mi życie!

- Nic ci się nie stało?

- Nie! Wszystko w porządku.

Przysunęła się bliżej niego. W obu dłoniach ścisnął schmeissera. W oddali znów rozległy się strzały karabinowe.

- A jednak nie są tacy spokojni!

- Może to ojciec?

- Cholera!

Po schodach wbiegał mężczyzna z mieczem.

- Stój! - krzyknął Paul. - Zabiję cię, nie zmuszaj mnie do tego!

- Oni nie znają angielskiego!...

Mężczyzna zwolnił kroku. Annie wysunęła się przed Paula, który próbował odepchnąć ją do tyłu. Lewą dłoń trzymała wyciągniętą przed siebie, powstrzymując szarżującego Islandczyka.

- Nie! - krzyknęła stanowczo.

W tym momencie nad nimi rozległ się warkot śmigłowca.

Natalia Tiemierowna przedzierała się przez wirujące opary, opuszczając w dół swój helikopter. Rozmawiając przez radio, usłyszała strzelaninę i to pomogło jej podjąć decyzję lądowania. Ujęła w ręce uchwyt pokładowego karabinu maszynowego, starając się poprzez mgłę dojrzeć jak najwięcej. Purpurowe światła były teraz wyraźniejsze. Wszędzie ogrody. Drzewa. Długi pas trawy pomiędzy sadami a budynkami.

Rourke stał, otoczony ciasnym kręgiem mężczyzn; każdy z nich trzymał w ręku miecz.

Karabin maszynowy był gotowy do strzału.

Nacisnęła przycisk megafonu i zaczęła mówić do mikrofonu, wiedząc, że tylko John ją zrozumie.

- John! Tu Natalia! Idę po ciebie!

Seria z karabinu przeorała ziemię pod nogami mężczyzn.

Jeśli John z jakiegoś powodu nie walczy, ona też powstrzyma się od radykalnych działań, chyba że nie będzie miała wyboru.

Tłum zaczął się rozpraszać. Głos Natalii znowu się rozległ przez megafon.

- Bądź gotów, John! Akiro powinien tu być za mniej więcej trzy minuty!

Wystrzeliła jeszcze jedną serię, podczas gdy śmigłowiec wisiał nieruchomo w powietrzu. Potem Rosjanka obróciła maszynę o sto osiemdziesiąt stopni i zaczęła opuszczać ją w dół. Jeszcze przez chwilę widziała Johna, potem zasłoniła go przednia osłona śmigłowca. Znowu Natalia zobaczyła Rourke'a, tym razem, po swojej lewej stronie. Strzelał w ziemię, pod nogi śmiałków, którzy znowu zaczęli nacierać na niego z mieczami. Była teraz zbyt blisko, aby użyć karabinu maszynowego, nie ryzykując, że kogoś zrani. Nacisnęła przycisk, drzwi otworzyły się. Wciąż było słychać alarm i jakiś głos, mówiący coś spokojnie, lecz dobitnie.

Już prawie wylądowała, rozglądając się na prawo i lewo. Przez otwarte drzwi widziała Johna biegnącego do śmigłowca, z karabinem przewieszonym przez ramię. Wskoczył do środka i krzyknął:

- Poderwij go w górę!

Przełączyła mikrofon z megafonu na radio.

- Tu Natalia. Akiro, zgłoś się. Odbiór.

- Tu Akiro. Zgłaszam się. Odbiór.

- Bądź gotów. Bez odbioru. Zdjęła słuchawki i zawołała:

- John! Co się dzieje?

- Paul i Annie są gdzieś tutaj. Trzymaj się nisko i leć nad tamte budynki po lewej stronie! - krzyknął do niej, - Na schodach jest tłum ludzi. Zanim się unieśliśmy, słyszałem, że ktoś tam strzela. Niech Akiro przyleci tutaj i niech ustawi się nad tą aleją.

- Dobrze. Trzymaj się. - Zerknęła w bok. Drzwi były otwarte, a Rourke tkwił na zewnątrz, poniżej progu kabiny, jedną ręką mocno trzymając się pasów bezpieczeństwa przytwierdzonych do fotela. Domyśliła się, że John na razie ma zamiar tak stać na płozie śmigłowca. Zatoczyła łagodny łuk

w lewo, unosząc się coraz wyżej. W dole nadal było słycać niezrozumiałe słowa płynące z głośnika, a alarm wciąż jeszcze dzwonił. Rosjanka nałożyła słuchawki i włączyła mikrofon.

- Akiro, kieruj się do wulkanu, w sam środek. Podchodź powoli. Jest tam wielki pas trawy...

Moment ciszy, a potem głos Akiro:

- Pas trawy w wulkanie. Powtórz. Odbiór.

- Powtarzam. Pas trawy. Unoś się nad nim. Wprowadź trochę zamieszania między ludźmi, którzy tam są. Zdaje się, że nie mają broni palnej, ale bądź ostrożny. Bez odbioru.

Szary budynek, na którego schodach kłębił się tłum ludzi, znajdował się teraz na lewo od nich. Spadzisty dach był ciemnoszary. Na parterze znajdowały się chyba boczne wejścia, bo główne, jak sądziła Natalia, było na szczycie długich schodów. Stało tam teraz dwoje ludzi: kobieta i mężczyzna.

- John, to Paul. Annie jest z nim.

- Nie strzelamy. Mogą być rykoszety od betonowych schodów. Zbliź się do nich, jak tylko możesz najbardziej. Skocz w dół, a potem przedrzemy się z powrotem do ciebie.

- Uważaj!

Natalia sprowadziła śmigłowiec w dół, przechylając go na prawy bok. Opuszczała maszynę bardzo powoli, uważając, by nie zaczepić o konary rosnących tu drzew. Wskazania wysokościomierza spadały gwałtownie.

- Skacz! Teraz!

Rzuciła tylko jedno szybkie spojrzenie: John skakał na ziemię. Przez chwilę Natalia widziała, jak biegnie w stronę schodów. Jakiś mężczyzna zastąpił mu drogę, więc uderzył go kolbą w twarz. Rourke przeskoczył kamienną balustradę i znalazł się na schodach, cały czas strzelając w powietrze.

Słyszała z tyłu warkot helikoptera. To nadlatywał Akiro. Obejrzawszy się, zobaczyła wirującą za jego maszyną smugę pary.

Tłum zaczął się cofać. John, Paul i Annie schodzili po schodach. John w lewej ręce trzymał karabin, a w prawej pythona. Annie miała pistolet "Może to broń Paula!" - zastanawiał się Rourke. Mimo to jednak chciała się cofnąć; Paul ją popychał.

Monotonny głos z megafonów - może nagrane na taśmę ostrzeżenie - umilkł. Rozległ się inny, przyjemnie brzmiący głos kobiety. Mówiła po angielsku.

- Proszę nie strzelać! Nie mamy wobec was złych zamiarów i nie chcemy was skrzywdzić! Nie strzelajcie!

Powodowana nagłym impulsem Natalia włączyła swój wzmacniacz. Jeśli dochodzi tu głos z megafonów, to może i ta kobieta ją usłyszy?

- Kim jesteście? Dlaczego uwięziliście Annie Rourke? Po chwili głos znowu odezwał się.

- Jeden z naszych oficerów uratował ją, gdy zaobserwowano lądowanie helikoptera. Czy wylądujesz?

Natalia popatrzyła na Johna, który wciąż schodził w dół.

- Kim jesteś? - zapytała.

- Jestem Sigrid Jokli, prezydent wyspy Lydveldid - Republiki Islandii.

Rosjanka przymknęła na chwilę oczy, a potem przemówiła do mikrofonu.

- Powiedz swoim ludziom, żeby się cofnęli i wrócili do domów czy dokądkolwiek. Wtedy mój dowódca będzie z tobą rozmawiał.

Chwila ciszy i znów głos kobiety:

- W porządku.



Znów przerwa i ponownie ten sam głos, tym razem mówiący coś po islandzku. Ludzie na schodach zaczęli się przesuwać na prawo, ci najbliżej Johna, Paula i Annie mijali ich z wyraźną obawą.

Wszyscy zaczęli się rozchodzić.

Natalia włączyła radio.

- Akiro, słyszałeś to wszystko? Odbiór.

- To szaleństwo, Natalio. Co mam robić? Odbiór.

- Jeśli ludzie się wycofają, wyląduj, ale nie wyłączaj silnika i bądź w każdej chwili gotów do startu. Zostańcie wszyscy w środku. Ja też ląduję. Nie wyłączaj radia. Bez odbioru.

Obróciła helikopter o trzysta sześćdziesiąt stopni. Kobiety i mężczyźni wchodzili do budynków. John, Paul i Annie stali teraz sami na schodach czteropiętrowego gmachu. John machał do niej. Zaczęła schodzić do lądowania.

## ROZDZIAŁ XVIII

- Jak się czuje Annie? - zapytała Sarah.

Natalia przez radio zapewniła, że Annie wygląda dobrze i wyłączyła się. John, Paul i Annie biegli już w stronę helikoptera.

Płynący z magnetofonów głos kobiety odbijał się echem. John był już blisko maszyny. Natalia, z rewolwerem w prawej dłoni, przesunęła się w stronę drzwi. Kiedy wyskoczyła, wiatr od śmigła uderzył w nią gwałtownie. Lewą ręką odgarniała włosy z twarzy.

- Annie! - Podbiegła do dziewczyny i ucałowała ją. - Nic ci nie jest?

- Czuję się doskonale. To bardzo dobrzy ludzie, Natalio.

- Czy ty... kiedy zabiłaś Blackburna...

- On nie...

- Wiem. Ale sposób, w jaki to zrobiłaś. Myślałam o tym, co stało się kiedyś w Argentynie. Zabieraliśmy tę kobietę i jej dzieci w bezpieczne miejsce i zaczęłam myśleć o tym, co stało się kiedyś, kiedy byłam bardzo młoda...

- Byłaś z Władymirem, ale kazał ci coś zrobić i złapano cię... Pozwoliłaś mężczyźnie... no, żeby myślał, że...

- Cicho, dziecko. - Natalia przytuliła Annie, wstrząsając się na to wspomnienie.

Przez megafon rozległ się teraz głos doktora.

- Nazywam się John Rourke. Dziewczyna, która była u was, jest moją córką.

- Witamy cię tu jako przyjaciela - odpowiedziała kobieta.

- Pani prezydent! - znowu odezwał się doktor. - Co tu się, u diabła, dzieje?

- Zatrzymajcie przy sobie broń, jeśli czujecie się z nią bezpieczniej. Wyślę trzech funkcjonariuszy ochrony prawa, aby towarzyszyli wam w drodze do mojej rezydencji. Tam odpowiem na wszystkie wasze pytania. Nikomu z was nie stanie się krzywda.

- Przyjdę sam. Moi ludzie pozostaną w helikopterach. - W głosie Jolina Natalia wyczuła wahanie.

- Proszę zabrać z sobą córkę.

Zanim Rourke odezwał się, Annie, wciąż przytulona do Natalii, powiedziała:

- Tatusiu, proszę!

Milczał, więc powtórzyła błagalnie:

- Proszę, tatusiu. Naprawdę nic się nie stanie.

- Dobrze - zdecydował wreszcie Rourke. - Dobrze, ale obydwójce będziemy uzbrojeni. Jeśli okaże się, że to podstęp, zaczniemy strzelać i tym razem będą zabici.

Annie uwolniła się z objęć Natalii i skierowała się do helikoptera.

- Tatusiu, powiedz im, proszę, że chciałabym wejść do środka i przebrać się.

Natalia uśmiechnęła się, a w oczach Rourke'a pojawiło się najpierw zdumienie, potem gniew, wreszcie rozbawienie.

- Moja córka prosi o pozwolenie na przebranie się.
- Zgoda, a potem przyjdźcie do mojej rezydencji. Strażnicy zapewnią wam bezpieczeństwo.
- Dobrze. Czekamy tutaj - powiedział John, a potem rzucił mikrofon, wyskoczył ze śmigłowca i przytulił córkę. Annie mocno objęła go za szyję.

## ROZDZIAŁ XIX

Annie ściągnęła przez głowę koszulę i zawołała z łazienki do Natalii:

- Pięknie tu, prawda?

- Tak, to coś w rodzaju rajskiego ogrodu, po prostu zadziwiające.

Kiedy przybyli strażnicy, doktor polecił Natalii, by pilnowała drzwi, gdy córka się przebiera. Annie nie powiedziała mu, że to niepotrzebne. Pomyślała sobie, jakie to wspaniałe, że John jest taki opiekuńczy. Poza tym z radością skorzystała z okazji porozmawiania z Rosjanką.

- Nie mamy czego się tutaj obawiać. Usłyszała, że Natalia się śmieje.

- Może właśnie dlatego twój ojciec jest taki podejrzliwy... Annie założyła cienkie majteczki wykończone koronką. Jakieś kobiety zabrały całą jej odzież: przypuszczała, że do prania. W zamian dostała inne ubrania. Wśród bielizny nie było biustonosza: tutejsze kobiety tego nie używały. Nosiły natomiast szerokie pasy ściskające je w talii. Annie przymierzała teraz długą do kostek spódnicę.

Apartament, który oddano do jej użytku, okazał się nieźle wyposażony. Była tu bieżąca woda, prysznic, elektryczność, wygodne łóżko, równie wygodne krzesła i książki - wszystkie napisane po islandzku. Odniosła jednak wrażenie, że tutejsi ludzie starają się stronić od nowoczesności. Nie miała wprawdzie okazji poznać ich bliżej, ale ich ubrania i zachowanie zdawały się potwierdzać to przypuszczenie.

Mężczyzna, którego Paul uderzył w głowę, został wyniesiony na noszach przez czterech ludzi. Islandczyk nie stracił przytomności, a ojciec Annie pomagał sanitariuszom opatrzyć ranę bandażem.

Dziewczyna wciągnęła przez głowę bluzkę z bufiastymi rękawami, pozapinała wszystkie małe guziczki na mankietach. Głęboki dekolt wykończony był błękitną wstążeczką, której końce zawiązała na kokardkę. Cała odzież nasuwała myśl, że nigdy nie słyszano tu o materiałach elastycznych. Stosowano tylko dwa rodzaje włókien: bawełnę i wełnę. Bluzka była bawełniana. Długą, sutą, kontrastującą błękitem z bielą bluzki spódnicę uszyto z wełny. Zapinała ją właśnie na boku, kiedy usłyszała z sypialni głos Natalii.

- Jak myślisz, Annie, w jaki sposób ci ludzie tu przetrwali?

- Może przykryli krater jakąś kopułą?

Skończyła zapinać spódnicę i wzięła szeroki skórzany pas. Tak, to była prawdziwa skóra.

- To by było możliwe, ale po co usunęli tę kopułę?

- Kiedy atmosfera znów stała się gęstsza...

- No, nie wiem.

Annie zasznurowała pas, wiążąc końce sznurówek na kokardkę. Teraz zajęła się włosami. Podobało się jej, jak tutejsze dziewczęta zaplatają warkocze i upinają je na głowach, ale teraz nie było czasu na eksperymenty. Wzięła do ręki szczotkę - jeden z niewielu jej własnych przedmiotów wyjęty z kieszeni płaszcza.

- Jak sądzisz, czemu noszą miecze zamiast karabinów? Szczotkując włosy, przeszła z jednej sypialni do drugiej. Natalia leżała na łóżku.

- Wyglądasz ślicznie. Paul oszaleje na twój widok - roześmiała się.

Annie okręciła się, a spódnica zawirowała wokół jej nóg.

- No pewnie. Nie mógłby nie oszaleć - odparła ze śmiechem.

- Nie rozumiem: wygląda na to, że nie używają broni palnej, ale wiedzą, co to jest. Dziwne.

- Tak. A co z Michaeliem i Madison? W porządku? Natalia skinęła głową.

- Michael i Madison czują się dobrze. A twoja matka jest w ciąży, przynajmniej tak sądzi.

Powszechnie uważa się, że kobieta potrafi przekazać niektóre wiadomości samym spojrzeniem. Jeśli to prawda, to zobaczyłam to dzisiaj w jej oczach.

- Mama będzie miała dziecko?!

- Tak myślę. Ale to nie moja sprawa.

- Chciałabym...

Natalia wstała. Annie narzuciła szal na ramiona; była to jedyna rzecz, której nie zabrano jej do prania.

- Czytałam kiedyś taką rymowaną: "Gdyby wszystkie życzenia były do spełnienia..." Dalej nie pamiętam - uśmiechnęła się Rosjanka. - Chodź. Musicie już iść z ojcem do pani prezydent. - Ruszyła w stronę drzwi.

- Zaczekaj - szepnęła Annie. - Co zrobicie? To znaczy, jeśli mama jest w ciąży, tatuś mógłby...

- Nigdy nie mógłby - wiem o tym i zawsze wiedziałam. To było z góry skazane na niepowodzenie. Od samego początku. Kiedy skończy się to wszystko - uśmiech Natalii był smutny - to znaczy, kiedy ostatecznie pokonamy wojska Władymira, będzie mnóstwo do zrobienia. Jestem dobrym elektronikiem, znam się na komputerach. Zawsze znajdę sobie jakieś pożyteczne zajęcie.

- Ale...

Natalia opuściła głowę i zniżyła głos. Wiedziała, że Annie nie chce dopuścić do jej odejścia.

- Raz byłam zameżna - powiedziała. - I raz zakochałam się. Nie był to ten sam mężczyzna. Gdy człowiek, którego poślubiłam, umrze, a świat i wszyscy ludzie zwyciężą zło, które on niesie z sobą, opuszczę mężczyznę, którego kocham. To wszystko.

## ROZDZIAŁ XX

John wziął córkę za rękę. Kabury z pistoletami zupełnie nie pasowały do stroju Annie. Trzymając zaś broń w ręce, czułaby się niezręcznie. Dlatego Rourke powiedział jej:

- Jeśli będą jakieś kłopoty, wyciągnij mojego phytona i biegnij do najbliższego helikoptera. Nie martw się o mnie, będę tuż za tobą.

- Dobrze - uśmiechnęła się i, wspiąwszy się na palce, pocałowała go lekko w usta. Widział, jak całowała Paula: inaczej, mocno. Był świadom, że jeśli Annie i Paulowi nadarzy się odpowiednia okazja, on znajdzie się na najlepszej drodze do tego, by po raz drugi zostać dziadkiem.

Nie upierałby się przy ślubie kościelnym, nawet gdyby kościoły jeszcze istniały. Wierzył, że istotą małżeństwa jest to, co tkwi w sercu i myślach, a nie na papierze. W myślach i w sercu Paul i jego córka byli już poślubieni, tak jak Michael i delikatna, mała Madison.

Położył dłonie na ramionach Annie i Paula.

- No, dzieciaki, kocham was oboje. Paul uśmiechnął się i mocniej objął Annie.

Pomimo protestów Paula Annie poszła, mówiąc mu tylko, żeby się nie martwił. Szli teraz za trzema zielono odzianymi oficerami, uzbrojonymi w miecze.

- Czy miałeś na myśli to, co przypuszczam? - szepnęła Annie.

- To zależy, co przypuszczasz.

- To dotyczy tego zdania "No, kochani...". Czy sądzisz, że...

- Nie wiem. Ty i Paul...

- No, chcemy... czekaliśmy, aż komandor Dodd da na ślub.

- Już lepiej, żebyście przed nikim nie składali przysięgi małżeńskiej, niż gdybyście mieli to zrobić przed tym gnojkiem.

- W porządku. Widzisz, myślę, że Paul ze względu na to, że jestem twoją córką...

- Wiem. Powiedz mu, że pozostanie moim najlepszym przyjacielem nawet wtedy, kiedy będzie moim zięciem.

- To głupie.

- A co, konkretnie? Roześmiała się.

- Ile masz lat?

- Wystarczająco dużo - John uśmiechnął się.

Wysunęła dłoń z jego dłoni i objęła go ramionami. Uśmiechnął się znowu.

- Mam pięćset...

- Och, przestań! No, dobrze, jesteś po czterdziestce. Ja za parę tygodni skończę dwadzieścia osiem lat.

- Dokładnie za półtora tygodnia.

- A mama?

- Bliżej trzydziestki niż czterdziestki. Pamiętasz? Przybyło mi pięć lat, kiedy ona spała w kapsule narkotycznej, a ja bawiłem się z wami.

Annie chrząknęła. Rourke popatrzył na nią: wydawało mu się, że się zaczerwieniła. Eskortowani przez strażników szli teraz ogrodowymi alejkami.

- O co chcesz mnie zapytać?

- No wiesz. Natalia... no, mówiła mi, że... ona myślała, że może mama...

- ...jest w ciąży?

- Tak.

- Jako lekarz mogę ci powiedzieć, że za wcześnie jest jeszcze, żeby mieć pewność. Ale, o ile znam twoją matkę, myślę, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż jej przypuszczenie jest słuszne.

- O rany...

- Chcesz mieć siostrzyczkę czy braciszka?

- Och, tatusiu! Myślę, że to dla was obydwójga wspaniale.

- Dlaczego? Bo bardziej nas połączy? Tak czy inaczej zostalibyśmy razem.

- Tak, wiem, ale... - objęła go mocniej. - Co masz zamiar zrobić z Natalią?

Rourke nie patrzył na dziewczynę.

- Nie wiem. Nie mogę być nieuczciwy wobec twojej matki, przynajmniej jeśli chodzi o uczynki.

Nie wiem. Dałby Bóg, żebym umiał to rozwiązać. A teraz zmień temat albo siedź cicho.

Na chwilę puściła ojca, a potem ścisnęła go ze zdwojoną siłą.

Skoncentrował uwagę na strażnikach. Myślał też, jakie pytania zada kobiecie, która przedstawiła się jako prezydent Republiki Islandii. Rozwahał, czy rozsądne było pozostawienie M-16 w helikopterze. Myślał o wszystkim, tylko nie o pytaniu Annie.

To był ten budynek, spod którego Natalia zabrała go śmigłowcem. Okazały gmach, wyglądający na siedzibę jakiegoś urzędu.

Zaczęli wspinać się po schodach. Zegarek Johna wskazywał drugą nad ranem, ale tutaj czas miał inny wymiar. Liliowe światła sprawiały, że było jasno jak za dnia.

Rośliny wegetowały tu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, produkując tlen, pochłaniając dwutlenek węgla.

Stopnie były niskie, stanowiły jednocześnie drogę i dekorację. Na ich szczycie stała kobieta. "Czy to Sigrid Jokli? - zastanawiał się Rourke. - Pani prezydent?"

Jej strój był podobny do stroju Annie: chłopska bluzka, kraciasta spódnica do kostek, szal na ramionach. Z tej odległości John nie widział żadnej biżuterii. Pani Jokli była w nieokreślonym wieku. Miała co najmniej tyle lat co Rourke, a może trochę więcej. Jasne włosy, splecione w warkocze upięte wokół głowy, tworzyły jakby koronę. Przyszło mu nagle na myśl dawne powiedzenie, że włosy są ukoronowaniem kobiecej urody.

Miała miłą twarz, taką, dla jakiej mężczyzna chętnie wraca do domu. Uśmiechała się ciepło, z odrobiną rezerwy. John nie mógł jej tego mieć za złe, on i jego bliscy byli tu przecież intruzami. Rourke'owie zbliżyli się teraz do niej na tyle, że mógł zobaczyć jej oczy - ładne, zielone.

Zaczęła schodzić do nich, palcami lewej dłoni unosząc nieco spódnice i wyciągając na powitanie prawą. Rourke zatrzymał się w tym samym momencie co ona i ujął jej rękę.

- Jestem Sigrid Jokli.

- Doktor John Rourke.

- Doktor? Jakiej dziedziny?

- Medycyny, proszę pani.

- A ta dziewczyna to pańska córka? - Pani prezydent miała miękki, melodyjny sopran. - Ale

przecież pan jest na to za młody.

- To długa historia. Jeśli pani pozwoli, najpierw chciałbym usłyszeć coś o was. O ile dobrze zrozumiałem, jeden z waszych policjantów uratował życie mojej córce. Chciałbym mieć możliwość spotkania się z tym panem, żeby mu osobiście podziękować.

- Oczywiście. Zawołamy tu Bjorna.

- Nie trzeba go budzić - Rourke uśmiechnął się.

- Nasi strażnicy nie spali od chwili, gdy rozległ się alarm.

- Niech mi wolno będzie powiedzieć, jak bardzo mi przykro. Zdaję sobie przy tym sprawę, że takie przeprosiny są niewystarczające. Ostatnio przeszliśmy ciężkie chwile i byłem przekonany, że moją córkę może tu spotkać coś złego.

- Wszyscy przeszliśmy ciężkie chwile, doktorze Rourke. Godzina jest może trochę nietypowa, ale czy zechcielibyście się nieco odświeżyć?

- Dziękuję - odpowiedział. Sprawiała na nim miłe wrażenie - spojrzenie miała ciepłe, ale jednocześnie czujne. Nie miał jednak zamiaru wchodzić z nią w jakiegokolwiek układy, dopóki nie uzyska odpowiedzi na kilka pytań.

Budynek był odpowiednikiem Białego Domu, jak wyjaśniła im Sigrid Jokli. Zarówno pomieszczenia biurowe, jak i prywatne cechowała niemal spartańska prostota. Styl skandynawski zawsze jednak podobał mu się, więc rozglądał się wokół z zainteresowaniem.

Bardzo szerokie drzwi prowadziły do długiego holu. Jakaś kobieta, prawdopodobnie gospodyni, trzymała lewe skrzydło drzwi, gdy wchodzili do środka. Prawe skrzydło pozostało zamknięte. Za nimi kroczyło trzech policjantów. Sigrid Jokli powiedziała do nich coś po islandzku i natychmiast się ulotnili. Osobiście poprowadziła ich przez hol do następnych podwójnych drzwi, które rozsunęła na boki. Weszli za nią do pokoju wyglądającego jednocześnie na bibliotekę, salę konferencyjną i pomieszczenie mieszkalne. Był tam kominek z takiego samego kamienia, jakim wyłożone były chodniki. Nie płonął w nim ogień, a drewno ułożone na wypolerowanej mosiężnej kracie wyglądało raczej na ozdobę niż na opał. Wokół kominka stały krzesła z polerowanego, błyszczącego drewna. Oparcia wyłożono wygodnymi poduszkami. Przy każdym krześle umieszczony był podnózek w tym samym stylu.

Wzdłuż ścian na półkach stały książki, przy półkach - drabinki. Tam gdzie nie było półek, wyłożono ściany ciemną boazerią. To był typowo męski pokój. Pani Jokli wyglądała w nim jakby nie na miejscu, a jednocześnie widać było, że czuje się tu jak w domu.

Bardzo prosty stół konferencyjny z poustawianymi dookoła drewnianymi krzesłami dominował w przeciwległym kącie pokoju.

- Siadajcie, proszę. Młoda dama ma na imię Annie, prawda?

- Tak, proszę pani - odrzekła Annie, sadowiąc się na brzegu krzesła i kładąc ręce na kolanach.

Rourke odczekał, aż pani Jokli usiądzie; dopiero wtedy usiadł również, opierając się wygodnie.

Annie zdjęła szal, złożyła go i powiesiła na poręczu krzesła.

- Rozumiem powód, dla którego tu przybyliście - powiedziała Sigrid Jokli. - Poprosiłam was o rozmowę, ponieważ jesteście pierwszymi przybyszami z zewnętrznego świata od wybuchu wielkiego ognia pięćset lat temu. Sądziliśmy, że tam, na zewnątrz, życie nie istnieje. Jeśli są tam tacy ludzie, jak wy, chcielibyśmy o tym wiedzieć.

- Nie macie żadnej broni, oprócz mieczów? - odezwała się nagle Annie. - Przepraszam, byłam ciekawa.



- Dobrze pytanie - przytaknął Rourke.

Pani Jokli skinęła głową, a uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Nie widzieliśmy potrzeby posiadania broni. Miecze, noszone przez nasz personel ochrony prawa, stanowią oznakę pełnionej funkcji, tak samo jak zielone mundury.

Rourke błyskawicznie odwrócił się w stronę drzwi. Do pokoju wbiegł mały piesek - szczeniak.

- Macie tu...

- Psy - uśmiechnęła się. - A także koty. Szczurów pozbyliśmy się kilkaset lat temu. Mamy też kilka koni i trzymamy je w nadziei, że kiedyś klimat ociepli się na tyle, że będzie można rozwinać hodowlę. Mogłyby się przydać jako środek transportu - znowu uśmiech. - Poza tym uważam, że są takie pięknie. Mamy tu różne zwierzęta domowe. Stanowią one źródło mięsa, białka, mleka, wełny i skóry. Przepadamy też za serami. Jeśli sobie życzycie, zamówię tacę z różnymi gatunkami.

- Och, dziękuję, ale czy nie uważa pani, że jest nieco za wcześnie?

- Lubię ser - wtrąciła Annie.

W tym momencie gospodyni, ta sama, która otwierała poprzednio drzwi, weszła do pokoju. W ciemnoszarej sukni, długim, białym fartuchu, lekko przygarbiona, sprawiała wrażenie dobrego ducha tego ogromnego gmachu. Powiedziała coś po islandzku do pani Jokli. Rozmawiały przez chwilę, po czym kobieta dygnęła i opuściła pokój.

- Poprosiłam o kawę dla pana, doktorze Rourke. Wygląda pan na amatora tego napoju. Ja też się napiję, choć wolę herbatę. Pomyślałam jednak, że może nie chciałby pan pić czegoś innego niż ja. Zdaje się jednak, że w jakiejś szpiegowskiej powieści, którą czytałam jako mała dziewczynka, pisano, że same filiżanki czy kieliszki też mogą być pokryte warstwą trucizny. - Wzruszyła ramionami i z uśmiechem popatrzyła na Annie. - Dla ciebie zamówiłam sery i gorącą czekoladę. Mam nadzieję, że będzie ci smakowało.

Annie spojrzała na ojca, a potem na kobietę.

- Bardzo dziękuję, proszę pani.

- Czy mogę zadać pani pytanie, dotyczące znajomości języka angielskiego? - zagadnął Rourke.

- Oczywiście. Zanim zostałam prezydentem, pracowałam naukowo. Teraz obowiązki odciągnęły mnie od tego, co było moją pasją zawodową, ale nadal pracuję i używam tego języka. W środowisku naukowym angielski jest powszechnie znany, bo najwięcej literatury napisano w tym właśnie języku, a tłumaczenia często bywają mało wierne. Mamy taśmy magnetowidowe, których używamy do nauki języka. Muszę przyznać, że szczególnie zasmakowałam w westernach sprzed pięciuset lat, ale przerzuciłam się na kryminały, bo zbyt często używałam kowbojskiego żargonu, kiedy mówiłam po angielsku. Większość ludzi ze środowiska naukowego biegle zna oprócz islandzkiego dwa obce języki. Poza angielskim jest to niemiecki, rosyjski, francuski i japoński.

- Akiro ucieszyłby się.

- To Japończyk, Annie?

- Tak, proszę pani. Był porucznikiem japońskiej marynarki wojennej.

- Och, gdyby zechciał, mógłby nam pomóc. Dzieła Tokugawy...

- Tego fizyka?

- Tak, doktorze Rourke. Jest pan doskonale zorientowany w osiągnięciach naukowych sprzed pięciuset lat.

- Tylko w nieznacznym stopniu - uśmiechnął się Rourke. - Wyjaśniła pani swoją znajomość języka. A wasze istnienie? Wciąż nawiązuje pani do czasów sprzed pięciu wieków...

- Tak - zgodziła się. - To prawda. Jeśli orientuje się pan w działalności naukowców sprzed wojny, to musi pan wiedzieć, że Islandia przodowała w wykorzystaniu energii geotermicznej. Nawiasem mówiąc, Japonia też miała w tej dziedzinie wielkie osiągnięcia.

John skinął głową, marząc o cygarze. Nie był jednak na tyle niegrzeczny, aby zapalić.

- W każdym razie - kontynuowała pani Jokli, poprawiając spódnicę - kilku naukowców wpadło na pomysł, aby wykorzystać nieczynny wulkan jako ogromny ogród, gdzie kontrolowano by i ogrzewano atmosferę za pomocą energii geotermicznej. Na początku zbudowaliśmy zwykłe szklarnie ogrzewane gorącą wodą pompowaną ze studni. W wielu naszych domach wykorzystywano ten sposób ogrzewania. Należało jednak przeprowadzić eksperyment w odpowiednim wulkanie. Zajęło to kilka lat szczegółowych badań. Było wtedy w naszym kraju około dwustu wulkanów różnej wielkości. W końcu wybór padł na Hekłę, ze względu na jej rozmiary i stan uśpienia. Nie robiono specjalnej tajemnicy z tego projektu, ale stosowaliśmy pewne zastrzeżone rozwiązania, których nie chcieliśmy zbyt wcześnie ujawniać, aby ich nie skopiowano. Tak więc nie ogłaszaliśmy publicznie, że przeprowadzamy ten eksperyment. Po prostu zaczęliśmy go przy współpracy studentów uniwersytetu i kilku prywatnych sponsorów. Było to przedsięwzięcie z rodzaju "podaj dalej". Trwało ono wiele lat i prace w zasadzie dobiegły już końca, kiedy wybuchła wojna między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim. Kilku mądrych ludzi - uśmiechnęła się - postanowiło wprowadzić poprawki do pierwotnego planu. Przyniesiono lekarstwa, przyprowadzono bydło, a nawet psy i koty, których kolejne generacje żyją tutaj do dziś. Około dwustu ludzi zamieszkało we wnętrzu Hekli, aby pracować i przygotowywać się na wypadek katastrofy ekologicznej spowodowanej przez wojnę. Kiedy sytuacja na świecie stała się napięta, przybyło tutaj jeszcze więcej osób.

- Ale jak przeżyliście? - przerwała jej Annie. - Przecież niebo... Byłam małą dziewczynką, kiedy to się zdarzyło, ale widziałam na filmach, które miał tatuś...

Kobieta drgnęła.

- Byłaś małą... Rourke oblizal wargi.

- Mówiłem już, że to skomplikowana historia.

- Ale to przecież niemożliwe - łagodnie, ale z uporem powiedziała pani Jokli. - Istota ludzka nie może przecież żyć... to jest...

- To jest możliwe, a zarazem całkiem wytłumaczalne - uśmiechnął się Rourke. - Kapsuły narkotyczne skonstruowane przez naukowców NASA do lotów w odległe rejony kosmosu. Po obniżeniu temperatury ciała człowiek zasypia. Jednocześnie otrzymuje specjalną kriogeniczną surowicę, która zapobiega obumarciu tkanki mózgowej i pozwala mu się obudzić. Urodziłem się w połowie dwudziestego wieku, tak jak i reszta ludzi, którzy tu ze mną przybyli. Z jednym wyjątkiem: Madison, żony mojego syna. Być może, że jest ona ostatnim żyjącym członkiem tej społeczności, która przetrwała kataklizm i utrzymała się przy życiu pod powierzchnią ziemi przez pięćset lat.

- Te światła na niebie, na dużej wysokości...

- To się nazywało "Projekt Eden", proszę pani. Brało w nim udział sto dwadzieścia osób wszystkich ras, należących do wszystkich wolnych narodów. Przygotowania do dnia Sądu Ostatecznego. Nie jesteście jedyni na Ziemi.

- Ale sądziliśmy...

Drzwi się otworzyły. Rourke szybko spojrzał w tamtym kierunku. Weszła siwowłosa kobieta, popychając przed sobą tacę na kółkach. Zamknęła drzwi i ruszyła w stronę gości. Pani Jokli powiedziała coś do niej; kobieta dygnęła i wyszła z pokoju.

- Powiedziałam jej, że sama was obsłużę - wyjaśniła pani prezydent

- Och, czy pozwoli pani, żebym ja to zrobiła? - spytała Annie.

- Oczywiście, moja droga.

Pani Jokli uśmiechnęła się i wygodniej usadowiła na krześle. Annie nalewała kawę, a doktor nie wiedział, czy ona naprawdę bawi się w przyjęcie, czy też może chce być pewna, że podane produkty są w porządku.

Rourke wziął filiżankę z rąk córki. Na tacy stało coś, co wyglądało jak świeża śmietanka i cukier. Pani Jokli poprosiła o śmietankę, Annie usłużyła jej. "Zdaje się, że dziewczynie po prostu podoba się zabawa w podwieczorek" - pomyślał John. Na samym końcu naląła sobie gorącej czekolady o oszałamiającym zapachu. Podała wszystkim małe talerzyki; Rourke wziął jeden, bo nie chciał być nieuprzejmy. Annie siadła przy ojcu, obserwując jego twarz. Wzruszył ramionami i upił trochę kawy, nozdrzami wciągając jej aromat. Pachniała normalnie, jak kawa. Aby się upewnić, poprosił Annie, żeby naląła mu trochę śmietanki. Śmietanka też pachniała i smakowała tak jak powinna. Była zimna i świeża.

- Jak przetrwaliście tutaj? - zapytał ponownie.

Pani Jokli wypiła łyk kawy. Annie skubała kawałek sera.

- Ocaleliśmy dzięki woli przetrwania i opiece Opatrzności, która pozwoliła nam wszystko wcześniej zaplanować. Połączony wysiłek wszystkich ludzi pozwolił nam pokonać wiele przeszkód i nie tylko przeżyć, ale też rozwijać się. Nasi naukowcy odkryli, że niezwykle zmiany w magnetosferze, połączone z wyjątkowym oddziaływaniem między pasami van Allena a zorzą polarną, doprowadziły do stworzenia pewnej osłony. Cząsteczki, z których składał się ten parasol ochronny, zapobiegły mieszaniu się warstw atmosfery. To, co zniszczyło waszą ziemię, ocaliło naszą. Jestem biologiem, a nie fizykiem. Tutaj to jedna z najpopularniejszych dziedzin nauki. Jeśli chcecie dokładniejszych wyjaśnień, mogę zorganizować spotkanie z naszymi naukowcami, którzy lepiej ode mnie zinterpretują tamte zjawiska. Wystarczy powiedzieć, że widzieliśmy, jak płomienie pochłaniają niebo. Przez wiele dni byliśmy otoczeni pierścieniami ognia. Nie pozostało nam nic innego jak modlić się, spędzając ostatnie chwile z tymi, których kochaliśmy i oplakując tych, którzy pozostali poza granicami naszej ziemi.

- Całej Islandii?

- Tak. Islandia ocalała. Ale zmęczenie atmosfery i przesunięcie osi planety - sędzę, że wiecie o tym - nie pozostało bez wpływu na nasz kraj. Niespotykane mrozy skuły cały ten obszar. To był dla nas okres najcięższej próby. Zapanował głód. Nie mogliśmy stosować żadnych urządzeń napędzanych tradycyjnym paliwem. Przy produkcji etanolu nie wolno było zmarnować niczego, co miało wartości odżywcze. Ludzie starali się wyprodukować tyle żywności, ile można było zebrać z tej ziemi. W tamtej społeczności wyrósł i wychował się człowiek, znany jako Pjetur. Wszyscy go słuchali. - Oczywiście pani prezydent napelniły się łzami. - Głosił teorię "naukowego przetrwania". Mówił, że należy pozwolić żyć tylko tym, którzy najbardziej się do tego nadają. W stosunku do ludzi starych, upośledzonych psychicznie i fizycznie, należy stosować eutanazję. Nasz kościół potępił jego poglądy. Naukowcy też. Pjetur wywołał rewolucję. Wybuchła wojna domowa. Nasz dom stał się cytadelą, bezpieczną przystanią dla przeciwników filozofii Pjerura. Doszło do ostatecznej rozprawy. W tym czasie nasza populacja, która wynosiła około dwustu pięćdziesięciu tysięcy ludzi zmniejszyła się trzykrotnie.

Pjetur i jego zwolennicy przegrali walkę. Dwadzieścia lat później było nas kilkaset tysięcy.

Ludzie dobrowolnie ograniczali liczbę urodzin. W przeciągu pięćdziesięciu lat, w wyniku nędzy, głodu i kontroli urodzeń, populacja spadła do około pięćdziesięciu tysięcy. Stopa życiowa nieznacznie się podniosła, ale nadal brakowało żywności, którą dobrowolnie racjonowano. Nadal stosowano kontrolę urodzin. Po następnych pięćdziesięciu latach było nas już tylko dwadzieścia pięć tysięcy. Wciąż nie było środków, które umożliwiłyby wykorzystanie ziemi poza obrębem wulkanów. Zwołano tu, w Hekli, wielką konferencję przywódców politycznych, naukowych i religijnych. Ustalono, że należy opuścić tereny poza wulkanami. Nastąpiła tak zwana Emigracja Smutku. Nasi ludzie zeszli do wulkanów, Hekla została stolicą. Poza nią jest jeszcze pięć miast-  
stanów, wszystkie mniejsze od tego. W tym budynku cztery razy w roku zbiera się nasz parlament. Podróż między wulkanami jest bardzo uciążliwa. Dlatego też nasz parlament, czyli Rada Starszych, jak my go nazywamy, siłą rzeczy składa się z ludzi młodych. Być może, że nasze idee też są młode. Mam pięćdziesiąt trzy lata i jestem raczej stara, jak na członka rządu.

- Wygląda pani niezwykle młodo - przerwał jej Rourke, całkiem szczerze. - I jest pani bardzo piękna.

Sigrid Jokli uśmiechnęła się.

## ROZDZIAŁ XXI

Dwie grupy pracowników Hekli opuszczały regularnie rajskie ciepło dla zimnych lodowców i pól śnieżnych. Byli to funkcjonariusze ochrony prawa i górnicy. Górników nie było wielu, bo wydobywano jedynie surowiec dla hutnictwa, które też pozostawało słabo rozwinięte. Na potrzeby budownictwa używano granitowych bloków, a dzięki stosowaniu kontroli urodzin nie trzeba było wznosić zbyt wielu budynków. Chałupniczy przerób stali, którym się zajmowali sami górnicy, polegał na wytwarzaniu broni siecznej używanej do ceremonii, dekoracji i ozdoby. Te same osoby produkowały wyposażenie laboratoriów badawczych.

Nadeszła wiadomość, że wojska niemieckie pod dowództwem kapitana Hartmana przybędą za dwie godziny, około szóstej po południu. Rourke spał sześć godzin, na zmianę z resztą przyjaciół. Wszyscy się wykąпали, zjedli coś i odpoczęli. Annie znalazła wśród naukowców dwie młode kobiety mówiące po angielsku, które chciały skorzystać z okazji, aby podszlifować swój język. Natalia, ze względu na biegłą znajomość rosyjskiego, oraz z powodu rozległej wiedzy technicznej, znalazła się w centrum zainteresowania starszych naukowców, szczególnie mężczyzn. Dużą popularnością cieszył się też Akiro Kurinami, którego zaprzęgnięto do pomocy w wyjaśnieniu zawiłości dzieł fizyka Tokugawy. Wszyscy niecierpliwie oczekiwali przybycia Niemców, mając nadzieję na zapoczątkowanie wymiany danych technologicznych.

John nigdy nie uważał "Projektu Eden" za zbawienie dla przyszłej cywilizacji. Ale ci ludzie - i, co najdziwniejsze, Niemcy też - sądzili inaczej. Obie kultury przetrwały, choć obrały inne drogi. Obie znalazły ustrój gwarantujący wolność, chociaż Niemcy nie zaznali pokoju. Pułkownik Mann, pod naciskiem Dietera Berna, musiał kontynuować wojnę przeciwko Karamazowowi i wojskom rosyjskim, z nadzieją zakończenia jej raz na zawsze.

Co do tej nadziei Rourke żywił poważne obawy, że może się ona nie spełnić. Miał jednak zamiar zrobić wszystko, co tylko rozsądny człowiek może uczynić, aby tę wojnę doprowadzić do końca.

Paula Rubensteina otoczyli przywódcy popieranego przez rząd kościoła ewangelicko-augsburskiego. Judaizm był tu nieznany. Według Rourke'a najbardziej krzepiący był fakt, że panował tu powszechny głód wiedzy dla niej samej. Każdy chciał zrozumieć i dowiedzieć się jak najwięcej. Prowadzono na przykład badania aerodynamiczne, choć nie używano samolotów ani samochodów.

Także Sarah znalazła coś dla siebie. Malarstwo i rękodzielnictwo traktowano tu niemal z nabożeństwem. Sarah, jako artystka i ilustratorka, została przez środowisko uniwersyteckie zaproszona do współpracy. Przyczyniła się do tego Sigrid Jokli, która w czasie śniadania, powodowana raczej niewinną ciekawością niż wścibstwem, wypytała Sarah o jej zainteresowania.

Historycy skupili swoją uwagę na Madison i Michaelu. Intrygowała ich historia kultury, z której wywodziła się Madison. Michael natomiast pamiętał, co się wydarzyło podczas Nocy Wojny, mógł się też podzielić wrażeniami z chwil po przebudzeniu się ze snu narkotycznego. Niewątpliwie jednak większym zainteresowaniem obdarzano osobę Madison.

Dużym powodzeniem w środowisku naukowym cieszyła się też Elaine Halverson i to nie tylko ze

względu na swoją specjalność naukową, ale także z powodu czekoladowej karnacji. Nikt tu nigdy nie widział czarnoskórego człowieka, dlatego entuzjazm wzbudziła wiadomość, że wśród uczestników "Projektu Eden" ocalało więcej takich osób.

John spędził kilka godzin na rozmowach z panią Jokli i innymi członkami gabinetu. Opowiadał o wydarzeniach, które doprowadziły do Nocy Wojny. Miał też pretekst, aby samotnie pospacerować po terenie wulkanu: gorzkie wspomnienia, zmarli przyjaciele. Zauważył, że często myśli o bohaterskim generale Warakowie - żołnierzu i szczerym patriocie oddanym ojczyściej Rosji. Bardziej niż inni ludzie był obdarzony wyczuciem i intuicją. Ale, jak inni, nie żył.

Pani Jokli zaproponowała, aby Rourke odwiedził dom Jona. Nazwisko mu umknęło - było nie do wymówienia. Tutejsi ludzie mieli nie tylko podobne imiona, ale i zainteresowania. Zbliżając się do siedemdziesiątki, Jon przestał pracować jako naukowiec i cały swój czas poświęcił na wykonywanie różnego rodzaju białej broni. Traktował to jako hobby. Umiejętności przejął po ojcu, jednym z tych ludzi, którzy, rzucając wyzwanie mrozom, wyprawiali się do kopalni rudy, a potem kuli bogato zdobione miecze. Jon nigdy nie wychodził na śnieżną pustynię, robił to dla niego jego syn - biolog.

Nie było tu telefonów, bo nikt ich nie potrzebował. Mieszkańcy wulkanów komunikowali się za pośrednictwem radia. Poza tym pisali listy lub ustnie przekazywali wiadomości. Jon spodziewał się Rourke'a, a ten zgodził się tam pójść.

Szedł wolno ścieżkami wiodącymi poza ogród i rozkoszował się spacerem. Było tu miło i spokojnie. Mijał ładne dziewczęta, które się uśmiechały lub wręcz chichotały na jego widok. Starsi ludzie obserwowali Johna z ganków i balkonów, niektórzy machali do niego.

Ludność Hekli mieszka w domkach jednorodzinnych, albo w dużych blokach. Miejsce przypominało zwykle miasto dwudziestego wieku, ale pozbawione było wszystkich uciążliwości typowych dla tamtych czasów. Powietrze nie było skażone, a w sztucznie regulowanym klimacie kwitły ogrody. Rourke nie mógłby żyć w takim miejscu: dość szybko zauważył, że tutaj nic się nie zmienia.

Szedł, szukając domu Jona. Niektóre budynki nie miały numerów, wiele obrośniętych było dzikim winem lub innymi pnączami. Wszyscy się tu znali, wszyscy wiedzieli, gdzie kto mieszka. Zauważył też, że w drzwiach nie było zamków. Wreszcie te numery, które można było dojrzeć, doprowadziły go do dwupiętrowego domu o takim samym jak w innych budynkach stożkowatym dachu. Była to pamiątka architektoniczna z czasów, kiedy spadzisty dach zapobiegał gromadzeniu się dużych ilości ciężkiego śniegu.

Przed drzwiami znajdował się wąski ganek. Doktor wszedł po schodach i zapukał. Po chwili drzwi się otworzyły. Stał w nich wysoki, wysportowany mężczyzna, ubrany w szarą koszulę z długimi rękawami. Wyglądał o wiele młodziej, niż wskazywałaby na to bujna biała czupryna i siwa broda. Nosił ciemnoszare luźne spodnie, których nogawki były u dołu pogniecione. Prawdopodobnie, zgodnie z panującym tu zwyczajem, wsuwał je w cholewy butów. Teraz mężczyzna miał na nogach pantofle z miękkiej skóry.

- Jestem...

- Wiem, kim pan jest. Witam serdecznie!

Mężczyzna wyciągnął rękę w geście powitania. Rourke podał mu dłoń, a gospodarz uścisnął ją mocno.

- To dla mnie zaszczyt. Proszę do środka!

- Jest pan pewien, że nie będę przeszkadzać?

- Przeszkadzać? Co za pomysł! Bardzo proszę! - Islandczyk prawie siłą wciągnął Johna przez drzwi. Jego uścisk był uściskiem młodzieńca. Jasne, błękitne jak u wszystkich tutaj, oczy patrzyły z ciekawością.

Dom urządzono skromnie, ale wygodnie. Ściany pomalowane były na biało. Otwierane na zewnątrz okna wychodziły na alejkę ogrodową. Gospodarz klasnął z radością w dłonie, kiedy zobaczył broń, którą Rourke nosił przy sobie. Ten z kolei oglądał obrazy, szable, a także pierwszą spotkaną tutaj broń palną. Były to - bogato zdobiony rewolwer z kolbą z kości słoniowej oraz strzelba skałkówka w stylu Kentucky.

- Jestem tutaj jedynym posiadaczem broni palnej. Od wielu pokoleń nie używamy niczego takiego - roześmiał się gospodarz. - Nie ma też do czego strzelać. To, co mam, to pamiątki rodzinne. Proszę - zanim zrobię coś do picia - proszę bardzo... wykonał zachęcający gest w stronę swojego arsenału i malowidła, które przywodziło na myśl obrazy Van Gogha.

- Sprawiam panu tyle kłopotu...

- Co za nonsens! Słyszeliśmy, że pan przyjdzie. Mieliśmy nadzieję, że tak się stanie. Moja żona upiekła ciasteczka. To... - mężczyzna podrapał się w głowę, widać było, że się zastanawia. Nagle twarz mu się rozjaśniła. - ...pantoflowy telegraf!

- Poczta pantoflowa - uśmiechając się, poprawił go Amerykanin.

- Tak, oczywiście. - Jon opuścił pokój, znikając gdzieś na tyłach domu.

Rourke podszedł do ściany, na której wisiały rewolwer i strzelba. Rewolwer okazał się koltem w rodzaju tych, którymi posługiwali się bandyci z Dzikiego Zachodu. Sprawiał wrażenie bardziej autentycznego niż kolty na proch strzelniczy, które wypuszczono na rynek w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Rourke nie miał jednak pewności, bo nie brakowało oszustów, którzy zręcznie podrabiali stare rewolwery. Czasem falsyfikaty były tak dobre, że nawet doświadczeni kolekcjonerzy mieli ciężki orzech do zgryzienia, usiłując ustalić ich autentyczność. John nie zaliczał siebie do takich ekspertów. Niemniej jednak ten eksponat był piękny.

Natomiast strzelba...

- Pan jest doktorem, prawda?

Odwrócił się. Jon wrócił już, a za nim, niosąc tacę, szła pulchna, puciołowata, siwowłosa kobieta. W powietrzu unosił się przyjemny zapach.

- Tak, jestem doktorem medycyny. A pan, o ile się orientuję, jest biochemikiem?

- Tak, tak. - Jon machnął rękami, dając do zrozumienia, że nie chce o tym mówić.

Kobieta postawiła tacę, uśmiechnęła się, dygnęła i ruszyła w stronę drzwi.

- Moja żona nie mówi po angielsku i nie interesuje się bronią. Ale to wspinała kobieta. Proszę bardzo, niech pan siada.

- Dziękuję - uśmiechnął się Rourke, siadając na prostej, lecz wygodnej kanapie w stylu skandynawskim, ze skórzanymi kwadratowymi poduszkami.

- Czy to oryginały? - wskazał na ścianę.

- Tak. Należały do mojego przodka, który pierwszy się tu osiedlił. Utrzymanie ich w tak doskonałym stanie wymagało ciągłej opieki przez wiele lat. Panująca tu wilgoć nie sprzyja przechowywaniu broni palnej.

- Są wspaniałe. Doskonale rozumiem, czemu jest pan z nich taki dumny. A miecze?

Jon usiadł.

- Proszę - zrobił gest w stronę kawy i okrągłych, posypanych cukrem ciastek. - Zawiesiłem na

ścianie jeden, tak jak to zrobił mój ojciec, a przedtem jego ojciec. I tak dalej. Dobrze, że to mocna i wytrzymała ściana - dokończył z uśmiechem.

Kawa była znakomita. Ciasteczka słodsze niż te, do których Rourke przywykł, ale też mu smakowały. W każdym ciastku znalazł kawałki śliwek i jabłka.

Mówili o wyrabianiu mieczów i noży, a później o społeczności zamieszkującej Hekłę i inne wulkany tworzące dzisiejszą Islandię.

- Broń służy tylko jako dekoracja. Ludzie, z którymi pan walczył, i którzy walczyli z panem, nigdy przedtem nie podnieśli miecza przeciwko innemu człowiekowi. To jest nasza tradycja. Widzi pan, kiedy powstała ta społeczność, broń była ostatnią rzeczą, jakiej ktokolwiek tu pragnął. Wojna doprowadziła do całkowitego zniszczenia Ziemi, a wojna domowa tu, na Islandii, pochłonęła wiele ofiar. Nie ustanowiono żadnego prawa zabraniającego użycia broni. To nie było potrzebne - po prostu nikt jej nie chciał. Aby jednak utrzymać porządek, postanowiono utworzyć oddziały ochrony prawa, które mogłyby mieć jakieś uzbrojenie. Stąd te miecze. Na naszej wyspie ludzie zawsze chętnie wracali do tradycji i równie chętnie wspominali czasy wikingów, czując się ich dziedzicami. Na początku zdarzały się czasem przestępstwa. Teraz już nie. Wyeliminowaliśmy całkowicie prawdziwą lub wyimaginowaną potrzebę łamania prawa. Zrobiliśmy ogromny postęp w leczeniu chorób umysłowych. W sumie więc, przestępstwa są obecnie nieznanym zjawiskiem. Miecz zaś stał się symbolem pokoju i strzeże nas już od pięciu wieków. Od pierwszych dni naszego pobytu tutaj ani razu nie użyto go do przelewu krwi.

- Przykro mi, że razem z nami pojawiła się przemoc.

- Życie składa się z wielu elementów. Nasze życie podlega wielu ograniczeniom w tym sensie, że mamy ograniczoną wiedzę o świecie. Sprowadza się ona tylko do naszego własnego mikro-świata. Młodzi mężczyźni, wstępując do oddziału ochrony prawa, ćwiczą fechtunek, choć nie spodziewają się, że kiedykolwiek użyją swojej broni. Może to pan i pańscy towarzysze sprawiliście, że nasi strażnicy potraktują te ćwiczenia poważniej - zaśmiał się Jon. - Czy mógłbym zobaczyć pańskie pistolety?

- Oczywiście - zgodził się Rourke. Miał przy sobie tylko dwa bliźniacze pistolety Detonic Combat Master, kaliber 45. Python, wraz z resztą broni, został w helikopterze. Wyciągnął jeden z detoników, popchnął uchwyt zwalniający magazynek, odciągnął zamek i podstawił lewą dłoń pod otwór wylotowy, aby złapać wypadający nabój. Obejrzał jeszcze otwartą komorę, zabezpieczył pistolet i wręczył go gospodarzowi. Gdyby był to człowiek żyjący w dwudziestym wieku, John mógłby mu wręczyć odbezpieczoną broń. Wątpił jednak, czy Islandczyk zrozumie, na czym polega jej działanie.

- Co to jest?

- Detonic Combat Master, kaliber 45, ACP.

- Co oznacza skrót "ACP"?

- Pierwotnie określenie to dotyczyło tylko kolta. Jest to skrót od Automatic Colt Pistol.

- Aha! A ten metal? Zdaje się, że jest bardzo wysokiej jakości.

- To mieszanina stali nierdzewnych. Pierwsze półautomatyczne pistolety ze stali nierdzewnej sprawiły trudności przy smarowaniu i łatwo się zacierały. W detonikach wyeliminowano te mankamenty. Ten model skonstruowany jest na tej samej zasadzie, co kolt i browning. Jak pan widzi, przeznaczony jest do prowadzenia ognia pojedynczego, podobnie jak ten, który wisi u pana na ścianie. Ale, oczywiście, gaz, rozprężając się w czasie wystrzału, odsuwa zamek do tyłu, a to z kolei



powoduje wyrzucenie pustej łuski, podczas gdy nowy nabój przechodzi z magazynka do komory. - Rourke uniósł magazynek na sześć naboń, który przedtem wyjął. - I tak się dzieje, dopóki są naboje.

- Czy pan z niego żyje? I z tego drugiego, który ma pan w pokrowcu?

- W kaburze - sprostował Rourke. - Nie, to nie jest tak. Używam ich do pomocy. Żyję z tego i dla tego, co uważam za słuszne. To są tylko narzędzia, podobne do narzędzi, którymi pan się posługiwał jako naukowiec.

- Dlaczego lekarz używa broni?

Rourke wyjął cygaro. Gospodarz palił fajkę.

- Można?

- Tak, oczywiście.

Zapalił cygaro od żółto-błękitnego ognia swojej starej, pogiętej zapalniczki.

- Pytam jeszcze raz, dlaczego?

John wypuścił w górę cienką smużkę szarego dymu, który na chwilę zawisł pod sufitem, a potem wypłynął do ogrodu przez otwarte okno.

- Zawsze się interesowałem bronią palną. Strzelanie było moim hobby i dobrze mi to wychodziło. Zawsze chciałem być lekarzem i pomagać ludziom. Jeśli brzmi to jak banał - trudno.

- Nie, wcale nie - zaprotestował Jon.

- Doszedłem do wniosku, że ludzie zdają się być opętani ideą niszczenia lub wyrządzania zła na wszelkie sposoby. Pracując jako lekarz, walczyłem jedynie ze skutkami tego zła, a nie robiłem nic, aby mu zapobiegać. Wstąpiłem do służby bezpieczeństwa w moim kraju i pracowałem tam wiele lat. Starałem się powstrzymać napór komunizmu i międzynarodowego terroryzmu. Nie wiem, na ile mi się to powiodło. W końcu przerzuciłem się na to, co, według mnie, mogło być naprawdę pożyteczne, a nawet w pewnym sensie zbawienne: uczenie ludzi, jak pozostać przy życiu. Życie zawsze przedstawiało dla mnie wartość najwyższą. Sądzę, że każda jednostka jest kimś jedynym i niepowtarzalnym. Zacząłem się dzielić z innymi wiedzą i doświadczeniem w zakresie posługiwania się bronią, sposobów przetrwania, medycyny polowej. Pisałem wiele na te tematy, prowadziłem seminaria i ćwiczenia. Szybko się jednak dowiedziałem, że zawsze znajdzie się ktoś, kto zechce odebrać życie bliźniemu. Nie wiem dlaczego, może dlatego, że jest takie cenne. Dlatego używam broni, tak jak posiadanej wiedzy, do ochrony życia ludzi, którzy nie chcą, albo nie potrafią dokonać tego sami. Być pacyfistą, ślubować, że nigdy się nie podniesie ręki na drugiego człowieka - to bardzo szlachetna postawa. Ale nie należy marnować życia. Ja nie chcę zmarnować swojego. Ryzykowałem je i będę to robić nadal. Zaniechać obrony czyjegoś życia, jeśli ma się choć cień możliwości, by je uratować - jest morderstwem. A morderstwo, to - w większości wypadków - całkowite zaprzeczenie logiki i rozsądku. Tak więc ochrona życia jest jedynym logicznym sposobem postępowania. Przynajmniej dla mnie. Broń pomaga mi w tym. To wszystko.

- Jest pan skomplikowanym człowiekiem. Myślę, że jest pan również bohaterem. Mogliśmy być doskonale uzbrojeni, ale nie myśląc o tym przybył pan tutaj, żeby ratować córkę.

- Paul Rubenstein zrobił to samo. Nie uważam, żeby to było coś niezwykłego.

- Może tak, a może nie. Dlaczego nie zabił pan strażników ani tych ludzi, których spotkał pan w parku przy rezydencji pani Jokli?

- Nie widziałem żadnego powodu, by to zrobić.

- Ale, mając pistolety, miał pan przewagę nad ludźmi z mieczami.

- Niech mi pan wierzy, że gdybym miał powód, aby zabić, zrobiłbym to.

Jon pokiwał głową w zamyśleniu i oddał Rourke'owi pistolet. Ten włożył z powrotem magazynek i schował broń.

- Niech pan pójdzie ze mną, pokażę panu mój warsztat. Wstali obaj i, przemierzywszy pokój oraz wąski korytarz, dotarli do drzwi wyjściowych. Warsztat mieścił się w przybudówce i był prymitywny, jeśli brać pod uwagę standard obowiązujący w dwudziestym wieku. Nie było tam żadnych maszyn. Zamknięte okna wychodziły na odlewnię, która znajdowała się tuż za domem. Wzdłuż jednej ze ścian wbite drewniane kołki, pomiędzy którymi rozpięte zostały skórzane rzemienie. Wisiały na nich rzędem różnego typu i wielkości miecze, noże myśliwskie, bagnety, noże do oprawiania zwierzyny i sztylety.

- Ponieważ jesteśmy społeczeństwem nie stosującym przemocy, a broń służy nam jedynie do dekoracji, istniała pokusa, aby nie stosować do jej wyrobu szczególnie trwałych i wytrzymałych materiałów. Nasz cech odrzucił jednak ten pomysł prawie jednogłośnie. Każdy miecz i każdy nóż mają najwyższą możliwą do osiągnięcia wytrzymałość. Nasza stal ma bardzo wysokie parametry.

- Czy mogę zadać pytanie? - Rourke oglądał nie ukończony jeszcze miecz. Rękojeść nie była gotowa, ale zrobiono już ostrze i trzpień. - Kiedy szedłem tropem mojej córki, widziałem w śniegu odcisnięte ślady czegoś, jakby laski.

Jon roześmiał się.

- To był Bjorn. Szedł pan śladem Bjorna. Bjorn Rolvaag to człowiek, który odnalazł pańską córkę.

- Chciałbym się z nim spotkać i podziękować mu.

- Tak - pokiwał głową Islandczyk. - Bjorn jest kimś, kto jak to pan określił, interesuje się sposobami przeżycia. Spędza wiele czasu wśród śniegów i lubi forsowny tryb życia. To ja zrobiłem mu tę laskę. Na pewno się nie pogniewa, że pokażę ją panu: zrobiłem dwa egzemplarze, jeden z nich zachowałem dla siebie.

To mówiąc, przeszedł przez pomieszczenie do małych drzwi. Otworzył je: była tam nieduża pracownia. Pośrodku stały stalowe sztaby, a wzdłuż ściany - półki ze szpargałami. Jon zamknął drzwi i obrócił się do gościa. W rękach trzymał prawie dwumetrową tyczkę z nierdzewnej stali. Kiedy Rourke podszedł bliżej, mógł dojrzeć cienkie jak włos spoiny, rozmieszczone co trzydzieści centymetrów. Laska była zakończona u dołu ostrym kolcem, u góry miała zaś masywną gałkę, też z nierdzewnej stali. Jon podszedł do jednego ze stołów, położył na nim laskę i zaczął ją rozkręcać.

- Jest zrobiona z rurek stalowych o średnicy półtora cala. Rurki wytoczono i wydrążono z litych sztabek. Jak pan widzi, składa się z sześciu części. - Rozkręcał teraz powoli laskę na samym środku. Nagwintowałem każdą część na długość siedmiu i pół centymetra. To wystarczy, aby laska się nie złamała. Bjorn pomagał mi ją zaprojektować. Wziął ją kiedyś na próbę i podważył nią głaz, ważący prawie trzysta kilo. Głaz poruszył się, a laska nawet się nie zgięła. Jest w środku pusta, ale, jak pan widzi, można w niej przenosić wiele potrzebnych przedmiotów. To znakomity przyrząd dla kogoś, kto chce przetrwać w trudnych warunkach. Jednocześnie laska ta może być naprawdę groźną bronią.

- Ma pan rację. Jest pan po prostu mistrzem w tym, co pan robi.

- Dziękuję, doktorze Rourke. Robię, co w mojej mocy.

- W grocie, gdzie Bjorn i Annie zatrzymali się na odpoczynek, znalazłem palenisko. Zamiast drewna leżało tam paliwo w kształcie cegiełek.

Jon uśmiechnął się.

- Tak. To wynalazek sprzed ponad stu lat i do tej pory nie wymaga ulepszeń. Jest to kombinacja

związków chemicznych bezpieczna w przechowywaniu, a jednocześnie łatwopalna. Stwierdzono, że pewnego dnia może nastąpić koniec tego naszego pięknego świata. Pewnego dnia studnie geotermiczne, które umożliwiają nam życie, mogą się wyczerpać. Wiele prac przeprowadzono, aby się przygotować na ten dzień. Na szczęście, nie nadszedł on jeszcze. Ale to paliwo w cegiełkach, a także odzież, którą musiał mieć na sobie Bjorn, jak również i ta, którą noszą górnicy i członkowie Rady Starszych udający się na zebrania, zaprojektowano na ekstremalnie niskie temperatury. To wszystko jest najwyższej jakości.

- Słyszał pan chyba, że mają tu przybyć Niemcy?

- Tak. Czekam na nich, jak wszyscy. Na pewno wymienimy wiele doświadczeń i spostrzeżeń.

- Też tak sędzę - potwierdził Rourke.

Starszy pan z widoczną dumą pokazywał każde ostrze, każde narzędzie, którego używał przy ręcznej obróbce metalu. Obejrzał z uznaniem mały sztylecik gościa. Jon nigdy przedtem nie widział noża seryjnej produkcji. Rourke powiedział mu, że jedna z kobiet, Natalia, ma unikatowy składany nóż sprężynowy. Obiecał też, że poprosi ją, by przyszła tu, aby pokazać go Jonowi.

Po kilku godzinach pożegnali się i doktor powędrował z powrotem ogrodowymi ścieżkami. Nad jego głową kłębiła się para, która na tle ciemnego błękitu nieba wyglądała jak chmury.

To był raj. Można tu było żyć, jeśli się należało do ludzi, którzy lubią raj. Ale John Rourke do nich nie należał.

## ROZDZIAŁ XXII

Michael wyszedł z gmachu uniwersytetu. Ścigały go spojrzenia kobiet i mężczyzn. Wiedział, że przyglądają się nie tyle jemu, co dwóm rewolwerom Magnum Smith, kaliber 44, które nosił przy sobie.

Tutejsi ludzie byli bardzo serdeczni, inteligentni, żądni wiedzy. Michael szybko ich polubił. Nie miał już trudności z chodzeniem. Cudowny aerozol niemiecki, cokolwiek wchodziło w jego skład, przyspieszył proces gojenia do tego stopnia, że po operacji nie było prawie śladu.

Syn Johna nie był jeszcze w pełnej formie, ale z dnia na dzień odzyskiwał pełną sprawność.

Szedł teraz jedną z alejek ogrodowych, po lewej stronie mając sad. Jedne drzewa kwitły, na innych dojrzałe owoce były gotowe do zbioru.

- Hej, Michael!

Obejrzał się i stanął. Paul Rubenstein machał do niego ręką.

- Przeegzaminowali cię z twojej wiedzy na temat judaizmu? - zaśmiał się.

- Tak. Widzę, że Madison nadal jest w ich rękach, co?

- A Annie?

- Też - roześmiał się Paul.

- Idę na spacer. Pójdiesz ze mną?

- Jasne! - Paul dołączył do niego.

Szli, rozmawiając o ludziach, których tu spotkali. Odprowadzały ich spojrzenia Islandczyków, zaintrygowanych nie tylko smith-wessonem Michaela, ale i kaburą Paula, z której wystawał sfatygowany browning.

- Widzę, że rozstałeś się z lugerem.

- Bo nie nadaje się do ostrej strzelaniny - Michael wyszczerzył zęby.

- Trochę dziwne, co?

- To miejsce? Tak.

Gałęzie drzew trwały w bezruchu. Tutaj nigdy nie wiał wiatr. Wszystko tu było absolutnie doskonałe. Ciekawe, czy kiedykolwiek padał tu deszcz. Mógłby to być śnieg, który by topniał, przelatując przez kłęby pary.

- Nie, nie to miałem na myśli - Paul potrząsnął głową. - Mówiłem o tym wszystkim, co się dzieje. O tym, że spacerujemy uzbrojeni. O tym, że walczymy, aby żyć. Widzisz, ty nie dostrzegłeś w tym nic dziwnego. Jakie jest twoje pierwsze wspomnienie?

Michael roześmiał się.

- Czarodziejka w gabinecie dentystycznym podarowała mi nóż, a mama zrobiła tacie piekielną awanturę.

Paul wybuchnął śmiechem.

- No dobrze, ale słyszałem też historię o tym, jak uratowałeś życie Sarah, kiedy byłeś małym chłopcem. Wiesz, jak zadźgałeś tamtego faceta...

- Tego typu w stodole - przytaknął Michael. - Nie wiedziałem, czy dam radę to zrobić. Przypomniałem sobie po prostu, że mama włożyła ten nóż do płóciennej torby. Facet miał zamiar skrzywdzić mamę. Doszedłem do wniosku, że ten bandzior może zabić Annie i mnie też. Naprawdę nie miałem czasu się zastanawiać. Nigdy nie zapomnę wyrazu jej twarzy. Wiesz? Nie, myślę, że nie wiesz. Ale sądzę, że nagle dotarło do niej, że to ojciec miał rację, a ona się myliła. Straszne.

Paul pokiwał głową i spojrzał na Michaela.

- Co masz zamiar zrobić, kiedy to wszystko się skończy?

- Czy masz na myśli czas, kiedy dorwiemy Karamazowa i na jakiś czas zapanuje pokój?

- Jesteś za młody, żeby być tak cynicznym.

- Jestem starszy od ciebie - odparł Michael, śmiejąc się.

- No dobrze, ale jednak. Dorwiemy tego drania, John go złapie. Tym razem uda mu się. Twój ojciec mówił mi, że czuje się winny, że wtedy, na ulicy w Atenach, w Georgii, nie wpakował kulki w głowę Karamazowa. Wygląda też na to, że załatwiono wiele spraw z Niemcami w Complexie. Jeśli Dieter Bern będzie trzymał wszystko w swoich rękach, zapanuje tam demokracja. Wtedy będą mieli inne zajęcia niż wojowanie. Nie sądzę też, żebyśmy musieli martwić się o tych ludzi. - Paul wskazał gestem dłoni kilku Islandczyków, których mijali. - To spokojny naród. Zdaje się, że tacy faceci jak ty i ja niedługo wypadną z interesu.

- Tatuś mówił mi, że zamierza zbudować klinikę. Może, zgodnie z tradycją rodzinną, będę studiować medycynę. O ile ktoś mnie tego nauczy.

- Doktor Munchen powinien znać jakąś dobrą uczelnię medyczną. Może pojedziesz do Argentyny i tam będziesz się uczyć? Madison byłaby zachwycona.

- Może - wzruszył ramionami Michael. - A co z tobą? Co macie zamiar zrobić, ty i Annie?

Paul roześmiał się.

- No, nie przewiduję, że rynek wydawniczy rozwinie się w szybkim tempie. Gdy byłem dzieckiem, czytałem wiele o takich ludziach, jak Johnson, Pike czy Carson. To ludzie gór. Annie ma żylkę do przygód. Myślę, że moglibyśmy się gdzieś osiedlić na krótko, aby podchować dzieci. Kiedy będą dostatecznie duże, możemy wyruszyć na podbój "wielkich samotników". Z pewnością jest tam wiele do odkrycia. Może więcej enklaw takich, jak ta. Może pamiątki z przeszłości. Nie wiem - dokończył Paul cichym głosem.

- Nie wyobrażam sobie ojca, który urządza się w klinice na dłużej niż na chwilę.

- Tak - śmiejąc się potwierdził Paul. - Mam nadzieję, że tego nie robi. Czy nie byłoby wspaniale, gdybyśmy wszyscy mogli zostać razem? Ty i Madison, Annie i ja, John i Sarah, Natalia...

- Natalia... Tak - szepnął Michael. - Jeden z westernów, który oglądaliśmy w Schronie miał tytuł "Siedmiu wspaniałych". Ale w siedmioro nie zawsze bywa wspaniale. A we troje jest jeszcze gorzej.

- Wiesz, może nie powinienem tego mówić... a może właśnie powinienem. Twój ojciec nigdy...

- Wiem o tym. I to nie mój interes, gdyby nawet to zrobił. Zdaję sobie sprawę, że to nie potoczy się tak gładko...

Nad ich głowami rozległ się warkot helikoptera. Usłyszeli nawykły do wydawania rozkazów głos z wyraźnym niemieckim akcentem.

- Szybko się zjawili - powiedział Paul. - Śmieszne, ale spodziewałem się, że będą punktualni.

## ROZDZIAŁ XXIII

Ladas Kutrow z dwoma wybranymi przez siebie ludźmi przemierzał szybko zbocze góry. Przez plecy mieli przewieszane karabiny, w dłoniach ściskali pistolety. Powiedziano im, że źródło ciepła wykryte przez towarzysza majora Iwana Krakowskiego nie wygląda naturalnie. Poszukiwano ochotników. Kutrow był pierwszym, który wystąpił z szeregu. Ochotnicy bywali zauważani. A jeśli po wykonaniu zadania ochotnik pozostał wśród żywych, takie zwrócenie na siebie uwagi mogło skończyć się awansem. Kutrow już wystarczająco długo był kapitanem.

Zbliżali się do kłębow pary, rozglądając się na wszystkie strony. Kaprale szli po obu bokach Kutrowa, niespokojnie obserwując okolicę zza swoich gogli. Szare, ciężkie, ponure niebo zdawało się wisieć nisko nad ich głowami. Burza śnieżna. Jeśli dopadnie ich tutaj, na otwartej przestrzeni, nie będą mieli żadnej szansy, by przeżyć.

Im bardziej się zbliżał do krawędzi krateru, tym szybciej szedł. Parę metrów od celu zaczął biec. Upadł twarzą w śnieg, uniósł się i ostatni metr pokonał na łokciach i kolanach.

Przed odlotem dwie godziny spędził z kapralami, szczegółowo omawiając z nimi przebieg całej misji. Spojrzał na prawo. Kapral Wilnek pomagał kapralowi Kironi zdjąć z pleców pakunek zawierający wykrywacz podczerwieni.

Kutrow przechylił się przez krawędź krateru i spojrzał w dół.

Purpurowe światła, zasłaniane i odsłaniane przez falujące warstwy pary.

Przełknął ślinę. Tam było życie. A nie powinno być tutaj ani śladu życia.

- Towarzyszu kapitanie, wszystko gotowe - rozległ się szept kaprala Wilnka, starszego niż Kironi.

Kutrow obrócił się na plecy i rękawiczką otrzepał śnieg z pistoletu. Włożył go do kabury i raz jeszcze nachylił się nad brzegiem krateru. Prostokątne pudło, pomalowane farbą maskującą, miało około metra kwadratowej powierzchni i mniej więcej pół metra wysokości. Światłowody i różne inne czujniki były już wyjęte z chroniących je skrzynek. Żołnierze przymocowali je do zewnętrznej pokrywy pudła. Kapitan pomógł im ukryć instrument w śniegu. Wilnek wyprowadził przewody poza krawędź krateru. Na plecach Wilnek dźwigał drugi, taki sam wykrywacz. Mieli go umieścić na przeciwległym krańcu krateru, o ile zdołają tam dotrzeć. Oficer znów spojrzał na niebo. Burza śnieżna zbliżała się nieuchronnie. Nie zabrali osłon, bo nieśli wykrywacze, które się nie nadawały do transportowania na piechotę. Taki ciężar uniemożliwiał im zabranie czegokolwiek innego. Kapitan niósł ponadto zwykły plecak, zawierający prowiant, apteczkę i inne niezbędne rzeczy. Poza tymi drobiazgami nie mieli nic, co mogłoby im pomóc odeprzeć atak burzy przy silnym mrozie. Pierwszym sygnałem, że coś zaczyna się dziać, był nieznaczny wzrost temperatury. Potem chmury pociemniały i zdawało się, że koncentrują się tuż nad ich głowami.

- Przewody czujników są rozmieszczone, towarzyszu kapitanie. Kutrow skinął głową Wilnekowi.

- Zdajecie sobie sprawę, kapralu, obaj zdajecie sobie sprawę... - spojrzał w jasnoblękitne oczy Wilnka i w niespokojne, ciemne oczy Kironiego - że nie zejdziemy na dół żywi.

- Tak, towarzyszu kapitanie. - Twarz Wilnka pozbawiona była wyrazu. - Wiemy, że nadciąga

burza.

Kutrów pokiwał głową.

Trzeba umieścić na kraterze jeszcze drugi wykrywacz, a potem, jeśli będą w stanie, spróbują zejść z powrotem. Nie uda im się - wiedział o tym. Ale lepiej umrzeć, próbując osiągnąć cel, niż zrezygnować zawczasu.

”A mój awans na majora?” - pomyślał.

- Chodźmy, towarzysze - powiedział cicho i ruszył pierwszy.

Gdyby nie zdołali dotrzeć na drugi kraniec krateru, musieli pokonać przynajmniej połowę drogi. Dwa zdalne wykrywacze, umieszczone względem siebie pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, mogły spełnić swoją funkcję.

- Chodźcie, towarzysze - powtórzył ze smutkiem w głosie. Usłyszał jeszcze, jak Wilnek przekazuje przez nadajnik meldunek o ułożeniu pierwszego wykrywacza.

## ROZDZIAŁ XXIV

Siedzieli wokół stołu konferencyjnego; pani Sigrid Jokli na honorowym miejscu.

Madison Rourke - tak nazywała siebie w myślach - była bardzo przejęta. Ręce spłotła na ślicznej sukience, którą dostała w podarku. Postanowiła, że nie uroni ani jednego słowa. Uważała się za intruza na tym ważnym zebraniu.

Obserwowała kobiety roznoszące kawę i rozdające notesy. Czułaby się znacznie lepiej, gdyby robiła to, co one, a potem mogła szybko stąd wyjść. Ale Michael przyprowadził ją tu, mówiąc, że wszyscy zostali zaproszeni.

- Ale ja na pewno nie, Michael - zaprotestowała.

- Ty też, Madison.

- Ale...

- Włóż nową sukienkę i chodźmy, bo się spóźnimy.

Posłuchała go więc i poszli razem. Poprawiając szal na ramionach, obserwowała swoje stopy pod stołem. Oprócz długiej do kostek sukni dostała niezwykle piękne i delikatne pantofelki. Spojrzała przed siebie. Annie, ubrana w podobny strój, uśmiechała się do niej. Madison odwzajemniła uśmiech. Modliła się do Boga o szczęśliwy powrót Annie i tak się stało. Potem znów się modliła, dziękując Bogu za ten cud i za determinację, z jaką ojciec i Paul szukali dziewczyny.

Pani Jokli chrząknęła. Madison odwróciła wzrok od Annie i spojrzała na przeciwległy koniec stołu.

Wysoki przystojny mężczyzna o włosach niemal dorównujących długością włosom Madison, siedział, skubiąc brodę. Miał na imię Haakon i był kimś ważnym na uniwersytecie, gdzie Madison spędziła większość dnia. Naprzeciw niego, po lewej stronie pani prezydent, usadowił się ojciec. Był ogolony i po raz pierwszy od ich przybycia na Islandię wyglądał na odprężonego. Obok niego siedziała matka.

Między Sarah i Annie usadowił się Paul Rubenstein. Wyraz twarzy miał nieodgadniony, a ciemne, pełne ciepła oczy były zamyślane. Nagle ich spojrzenia się spotkały i Paul mrugnął do Madison. Znów spuściła wzrok, a potem popatrzyła na Michaela. Musnął ręką jej lewe udo, po czym zamknął dłonie dziewczyny w swoich. Uśmiechnęła się do niego. Między Michaeliem a Haakonem siedział kapitan Hartman.

- Odpręż się, Madison.

Spojrzała w prawo. Elaine Halverson machinalnie rysowała coś w notesie. Madison dawno już stwierdziła, że jest to zajęcie, wskazujące na pewne zdolności techniczne. Sarah i Paul też to robili od czasu do czasu. Linie, z pozoru całkiem przypadkowe, w pewnym momencie zaczynały się układać w obraz. Oczywiście nie były to dzieła sztuki, jak te na ścianach wielkiej sali konferencyjnej w miejscu, gdzie się wychowała, ale przyjemnie było patrzeć, jak powstają.

Naprzeciw Elaine nieruchomo siedział Akio Kurinami. Oczy miał zwrócone na panią prezydent Madison też spojrzała w tamtą stronę.



W tym momencie pani Jokli zaczęła mówić.

- Przybycie naszych nowych przyjaciół, Niemców, daje nam okazję do zdobycia nowej wiedzy i doświadczeń. Jesteśmy im za to wdzięczni. Kapitan Hartman rozmawiał przez radio ze swoim dowódcą, pułkownikiem Mannem. Ten z kolei przeprowadził rozmowę ze swym prezydentem, doktorem Bernem, który wyraził zgodę na wymianę naukową i kulturalną. Cieszy nas to tak, jak cieszy możliwość wymiany informacji z naszymi przyjaciółmi pod dowództwem doktora Rourke'a. Mamy też nadzieję, że wkrótce podpiszemy porozumienie w sprawie "Projektu Eden". Wiedza z dziedziny biologii oraz umiejętności nabyte tu przez stulecia pozwolą nam pomóc ludziom, którzy, opuściwszy Ziemię pięćset lat temu, przetrwali w kosmosie i wrócili. Przy naszej współpracy zamienią oni kontynent północnoamerykański w kwitnący ogród, ogród pokoju. Ale właśnie problem pokoju kazał się nam zgromadzić tutaj. My, ludzie z wyspy Lydveldid, jesteśmy szczęśliwi, że nie zostaliśmy sami na tej wielkiej planecie. Ale jednocześnie zasmuciła nas wiadomość, że szaleństwo wojny jeszcze się nie zakończyło.

Drzwi sali konferencyjnej otworzyły się. Jedna, z usługujących kobiet przytrzymała je. Weszła Natalia. Madison była oszołomiona.

- Proszę mi wybaczyć, pani prezydent. Zostałam zatrzymana.

- Oczywiście, pani major. Proszę, niech pani siada - odrzekła pani Jokli.

Madison nie mogła oderwać wzroku od Natalii. Tak jak Sarah,

Annie i ona sama, Natalia dostała tutejszy strój, ale Madison do tej pory jej nie widziała. Wprawdzie Sarah i Annie prezentowały się bardzo dobrze w islandzkich ubiorach, lecz Natalia wyglądała jeszcze piękniej, jak anioł, jak baśniowa księżniczka. Włosy miała luźno ułożone i upięte wysoko na czubku głowy. Długa suknia z wysoką talią sprawiła, że Natalia zdawała się niewiarygodnie cienka w pasie. Wysoki kołnierzyk, zakończony koronką, podkreślał kształt jej kości policzkowych. Na tle różowego materiału skóra Natalii jaśniała delikatną bielą, a oczy lśniły błękitem. Suknia szeleściła, gdy Rosjanka zbliżała się do stołu. Zwinięty szal niosła w rękach. Podeszła do Akiro, który wstał i usłużnie podsunął jej krzesło. Madison nagle zauważyła, że wszyscy mężczyźni wstali.

Znów zerknęła na Natalię, która uśmiechała się do niej i położyła swój szal na kolanach. Zastanawiała się, gdzie Natalia ukryła swój nóż i co najmniej jeden pistolet. Znała ją na tyle dobrze, że była pewna, iż nie przyszłaby bez broni.

Pani Jokli znów zaczęła mówić.

- Cieszymy się, że major Tiemierowna mogła do nas dołączyć, bo tematem spotkania jest pożałowania godny stan wojny między pozostałością maszyny wojennej Związku Radzieckiego, a naszymi nowymi przyjaciółmi. Dano nam do zrozumienia, że kiedy pojazdy kosmiczne "Projektu Eden" zaczęły wracać na Ziemię, helikoptery radzieckie próbowały je zniszczyć. Odległości, która dzieli nas od Związku Radzieckiego, zawdzięczamy brak jakichkolwiek kontaktów z panującą tam dyktaturą wojskową. Doktor Haakon Lands i ja chcielibyśmy spytać panią o to otwarcie, wobec wszystkich.

Natalia wstała, trzymając szal w rękach.

- Sądzę, że mogę rzucić nieco światła na tę sprawę. - Odłożyła szal na oparcie krzesła. - Jak państwo wiecie, przed rozpoczęciem Nocy Wojny byłam oficerem KGB. Opuściłam tę instytucję na krótko przed wydarzeniem, które ma różne nazwy: Wielka Pożoga, Płomienie Które Pochłonęły Niebo, Noc Wojny. Człowiek, o którym mówimy tutaj, dowódca sił zbrojnych Związku

Radzieckiego, to mój mąż.

Pani Jokli poruszyła się na swoim krześle. Ręce doktora Haakona Landsa spoczywały na stole. Madison przyglądała im się: były duże, grubokościste. Podniosła oczy na Natalię. W Schronie Rourke'a była książka ze zdjęciem lalki o takiej samej delikatnej, ślicznej buzi, wielkich oczach i lekko zarumienionych policzkach. "To było zdjęcie Natalii" - pomyślała Madison.

- Mój mąż to wcielenie zła. Zasadniczym pytaniem jest, czy walczymy przeciwko pozostałym przy życiu Rosjanom, czy tylko przeciwko wojskowemu Karamazowa. Wydaje się oczywiste, że jest on ściśle związany z Komitetem Centralnym. Jestem tego pewna. Prawdopodobnie obiecał swym zwolennikom panowanie nad światem. Według niego sprowadza się to do zniszczenia bezbronnej floty "Projektu Eden" po jej powrocie z lotu po eliptycznej orbicie do zewnętrznego krańca układu słonecznego. Mój mąż nie jest dowódcą wojskowym, choć działa jako dowódca sił zbrojnych. Powiedziałabym, że Władymirowi udało się opanować Podziemne Miasto, zbudowane dla uratowania naszych ludzi. Zamienił je w swój prywatny folwark, w swoją główną kwaterę dowodzenia. Mówię tylko we własnym imieniu, ale uważam, że grozi wam tu wielkie niebezpieczeństwo. Jeśli Władymirowi Karamazowowi uda się zwyciężyć, przybędzie tu i zniszczy was. Zawsze niszczył to, co dobre, i przynosił wojny tam, gdzie panował pokój.

Sięgnęła ręką na oparcie krzesła, odchylając się lekko do tyłu. Wzięła szal i usiadła.

Teraz rozległ się wysoki głos kapitana Hartmana, może nieco wyższy niż bywa to zwykle u mężczyzn. Ale nie przeszkadzało to kapitanowi być dobrym człowiekiem i kompetentnym dowódcą. Madison nauczyła się jeszcze jednej rzeczy, od kiedy znalazła się w rodzinie Rourke'a: człowieka należy oceniać na podstawie jego uczynków, a nie etykiety, którą mu przyklejono.

- Pani prezydent. Major Tiemierowna przedstawiła sytuację bardzo jasno. Moim zdaniem należy bezwzględnie powstrzymać wojska radzieckie pod dowództwem tego Karamazowa, jeśli wasz naród chce nadal żyć. W moim kraju uważa się to za konieczność dziejową. Zostałem upoważniony przez swój rząd do tego, aby zaproponować wam współpracę z Niemcami i uczestnikami "Projektu Eden", o ile ich dowództwo też wyrazi na to zgodę. Musimy się razem pozbyć pułkownika Karamazowa i jego armii, raz na zawsze. Jestem pewien, że doktor Rourke zgodzi się ze mną.

Madison spojrzała na Johna. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

Kapitan Hartman kontynuował.

- A na razie upoważniono mnie do przedstawienia następującej propozycji: rząd wyspy Lydveldid i rząd Nowych Niemiec, na zasadzie porozumienia, założą w tym miejscu czasową bazę wojskową. Będzie ona służyć za bazę wypadową przeciwko wojskom pułkownika Karamazowa. W zamian, niezależnie od zawartych już porozumień w sprawie wymiany naukowej i kulturalnej, Nowe Niemcy zobowiążą się do obrony wyspy Lydveldid przed siłami agresora.

Kapitan Harman usiadł.

Zapadła cisza. Madison skubała materiał sukienki, przesuwając kolejno wzrok z Michaela na Paula, Natalię, Sarah i Johna. Ten zabrał głos ostatni:

- Przychodzą mi na myśl różne powiedzenia. Może najstosowniejsze byłoby: "Czasy się zmieniają, a ludzie pozostają tacy sami". A może lepiej byłoby powiedzieć: "Ci, których historia niczego nie nauczyła, powinni przeżyć wszystko jeszcze raz".

Rourke siedział nadal. Oczy miał zamknięte, twarz uniósł ku górze.

- Pięćset lat temu Islandia ocalała. Może to fizyczna anomalia, o której mówią naukowcy, może cud, a może jedno i drugie. Poza mną, moją rodziną i przyjaciółmi, żadna z osób znajdujących się w

tym pokoju nie może pamiętać starego świata. A wspomnienia Annie i Michaela są w najlepszym razie całkiem powierzchowne. Paul mieszkał w Nowym Jorku - mieście niezrównanej piękności i jednocześnie niezrównanej brzydoty. W niektórych jego częściach panowało prawo dżungli, a silne i brutalne jednostki żerowały na słabszych. Natalia żyła w wielu dużych miastach Związku Radzieckiego. Jej praca, tak jak i moja, wymagała podróżowania po całym świecie. Sarah, dzieci i ja mieliśmy dom z dala od wielkiego miasta. Najbliżej leżała Atlanta. Ale dla każdego z nas powszednim widokiem byli ludzie, wszędzie wokół nas. Nie wiem, ile tysięcy może dzisiaj mieszkać na Ziemi. Wtedy były to miliardy. Przez dziesięciolecia żyliśmy z perspektywą przeludnienia, które mogłoby nas zniszczyć. Może to i prawda. Zbyt wielu ludzi. Zbyt wiele narodów. Nie starczyłoby nam całego życia, aby dociec przyczyn wybuchu trzeciej wojny światowej. Ale wydaje się, że wojny, przestępstwa i wszystko to, czym ludzie się brzydzą, a jednocześnie nie robią nic, aby temu zapobiec, wynikają z jednej podstawowej ludzkiej ułomności: z apatii.

Madison przeniosła wzrok na Sarah, która siedziała w białej bluzce, z włosami związanymi na karku szeroką błękitną wstążką, i wpatrywała się w męża. Ujrzała w jej oczach to, co czuła w swoim sercu, gdy patrzyła na Michaela - miłość i uwielbienie. Doktor mówił dalej:

- Łatwo powiedzieć, że zło jest sprawą innych ludzi. Bardzo łatwo, ale i bardzo głupio. Zło jest sprawą nas wszystkich. Jeśli jesteś poza jego zasięgiem, nie znaczy to, że nie masz obowiązku go piętnować. Fakty są następujące, proszę pani - John spojrział na panią Jokli. - Zniszczymy Władymira Karamazowa, bo on musi zostać zniszczony. Kiedyś, pięćset lat temu, strzeliłem do niego. Tak jak i my, nasza rodzina, jest on chodzącym reliktem przeszłości.

Madison spojrzała na Natalię. Jej oczy były pełne łez. Siedziała sztywno, zaciskając pięści.

- Strzeliłem do niego i myślałem, że go zabiłem. Każda śmierć, którą on zadaje, wynika z mojej nieudolności.

- Nie! - Natalia zerwała się na równe nogi. Szal spadł z jej kolan na stół, a potem ześliznął się na podłogę. Jej dłonie były mocno zaciśnięte, przyciskała je do piersi, jakby chciała powstrzymać coś, co miało w niej wybuchnąć.

- On jest diabłem. Jest taki, bo jest diabłem. Głęboko w jego wnętrzu zawsze tkwiło zło. Był na usługach zła, tak jak jego mocodawcy z KGB. Jest diabłem, a chciał stać się waszym Bogiem!

Rourke spojrział na nią. Natalia drżała. Madison obserwowała ją, gdy John odezwał się cichym głosem:

- Może to jest nasze pytanie na dzisiaj: czy spróbujemy stworzyć coś na kształt rajy, czy też będziemy czekać w ukryciu. I wtedy pozwolimy Karamazowowi rządzić nami w jego piekle.

Rozległ się głos, którego Madison nie znała. To był Haakon Lands, który wstał, mówiąc:

- Wydaje się, że nadeszła okazja, aby stwierdzić, czy nasze ideały sprzed pięćuset lat są coś warte. Albo stwierdzić, że nie mamy żadnych ideałów, lecz jedynie filozofię harmonii, do której uciekliśmy się ze strachu. Pani Prezydent! Wnoszę o zwołanie Rady Starszych, na której zaproponujemy, by wyspa Lydveldid przystąpiła do koalicji przeciw złu. Tylko w ten sposób możemy pozostać wierni temu, w co wierzymy.

Kapitan Hartman wstał, trzaskając obcasami i kurtuazyjnie skłonił głowę w stronę Islandczyka.

## ROZDZIAŁ XXV

Drugi wykrywacz zaczął wysyłać sygnały na kilka godzin przed świtem. Natychmiast obudzono Krakowskiego.

Major siedział teraz w baraku zbudowanym z prefabrykatów. W piecyku żarzyło się syntetyczne paliwo, ale nadal było zimno. Widoczność na zewnątrz była bliska zera. Dotarł tu, posługując się silną latarką i kurczowo trzymając lin łączących baraki, walcząc z wiatrem i śniegiem. Nadal wstrząsały nim dreszcze. Helikoptery odleciały dawno temu.

- Czy to Kutrow?

- To on, towarzyszu majorze. Sygnał jest bardzo słaby. To meldunek, że drugi zdalny wykrywacz działa i że zamieć się wzmaga. Towarzysz kapitan i obaj kaprale mają zamiar zejść na dół. To było dziesięć minut temu - odpowiedział technik.

Krakowski skinął głową, obserwując, jak telegrafista znów próbuje wychwycić sygnał z wykrywacza. Czujniki pierwszego urządzenia niedostatecznie spenetrowały opary wypełniające krater Hekli. Przez prześwity w parze przebłyskiwały zwodnicze liliowe światła, w chwilę potem znikając. Cywilizacja w tym miejscu? To było niewiarygodne.

Krakowski polecił, aby drugi wykrywacz umieścić wewnątrz krateru, na głębokości kilkudziesięciu metrów, tak, aby przewody sięgały jak najdalej w dół. A teraz, gdy technik regulował odbiornik, przetworzony przez komputer obraz ze światłowodu był zupełnie wyraźny.

Budynki. Alejki. Niemieckie helikoptery.

Wcześniej zlokalizowali rosyjski śmigłowiec, który był źródłem tajemniczych sygnałów. Były tam ślady osiedli ludzkich. Zastanawiał się, czy to znów ten człowiek, którego śmierci obsesyjnie wręcz żądał towarzysz marszałek. Czy to Rourke?

Z przeciwnego końca baraku dobiegł głos radiooperatora, przerywając jego rozmyślenia.

- Towarzyszu majorze! Meldunek od kapitana Kutrowa!

- Odbierzcie - odezwał się, wciąż obserwując obraz na monitorze.

- Tu mówi Kutrow. Kutrow do bazy. Odbiór. Krakowski usłyszał, jak radiooperator odpowiada.

- Tu baza. Słyszemy was, ale słabo. Odbiór.

- Tu Kutrow. Dwaj ludzie unieruchomieni. Jeden odmroził stopy. Nie może iść. Drugi zraniony przy upadku. Złamana noga i przypuszczalnie obrażenia wewnętrzne. Czy sytuacja uległa zmianie? Możecie nas zabrać? Odbiór.

Operator nie odpowiedział.

Major odwrócił się do niego, mówiąc:

- Przekażcie mu wyrazy mojego ubolewania i żalu. Ale gdybyśmy tam wysłali nasz helikopter, mogłoby to zaalarmować Niemców. Powiedzcie kapitanowi, że zarówno on, jak i jego dzielni towarzysze pozostaną na zawsze w naszej pamięci. Ich bohaterstwo nie pójdzie na marne.

Technik patrzył ze zgrozą.

- Ale, towarzyszu majorze, czy grupa ratowników nie mogłaby...

- To rozkaz! - Krakowski znów się odwrócił do ekranu, na którym było widać na dnie krateru niemieckie śmigłowce w niemal sielskiej scenerii.

- Jak odbieracie inne sygnały z czujników? - spytał operatora, którego jasne włosy jeżyły się jak szczecina na podgolonym karku.

Technik obrócił się do niego.

- Towarzyszu majorze! Pan morduje tych ludzi!

Krakowski wstał. Zastrzeliliby tego smarkacza, gdyby nie możliwość uszkodzenia przez kulę jakiegoś urządzenia. Chwycił technika, uniósł go ze stołka i kilka razy uderzył na odlew w twarz. Z ust chłopaka popłynęła krew, a Krakowski pchnął go na podłogę. Technik został tam tak, jak upadł. Oficer spojrział na niego.

- Możecie uważać się za szczęściarza, że jeszcze żyjecie. A teraz do roboty. Żądam profilu geologicznego, odczytów technicznych, wyników analizy dźwięków. I to szybko.

Należało zaplanować atak...

Annie siedziała po turecku przed wyłączonym telewizorem. Złociste włosy opadały jej na ramiona, policzki były mokre od łez.

John Rourke zobaczył ją tam, w sali rekreacyjnej, i podszedł do niej. Ukląkł przy córce, a potem też usiadł, krzyżując nogi. Milczał przez chwilę. Annie uśmiechnęła się do niego.

- Co się stało?

- Nic.

- O co chodzi, dziecinko?

- O nic, mówiłam ci - odpowiedziała rozdrażnionym tonem, pociągając nosem.

- Siedzisz tu przed wyłączonym telewizorem, a przed chwilą płakałaś.

- Nie płakałam.

- Naprawdę? A to co? - przejechał wskazującym palcem wzdłuż jej policzka, tam gdzie łzy zostawiły ślad.

- Nic.

- Proszę cię, powiedz, o co chodzi.

Spojrzała na niego i znów zaczęła płakać. Rourke przytulił ją do siebie. Dał jej chusteczkę, a ona bardzo głośno wytarła nos. Zabrzmiało to śmiesznie, więc John roześmiał się, a wtedy i ona zaczęła się śmiać przez łzy. Jeszcze raz wytarła nos, objęła go za szyję i powiedziała:

- Kocham cię.

John Rourke otworzył oczy.

Usiadł w ciemności. Sarah spała obok niego.

Popatrzył na zegarek, zestawiając czas wschodnioamerykański z islandzkim. Była czwarta rano.

Potrząsnął głową, opuścił nogi i stanął przy łóżku. Przeszedł nago przez pokój do łazienki. Jego oczy już przywykły do ciemności, nie potrzebował więc światła. Spuścił wodę i wyszedł z łazienki. Zatrzymał się w połowie drogi do łóżka, zrobił zwrot w lewo i zbliżył się do okna.

Rozsunął ciężkie zasłony i wyjrzał na zewnątrz. Purpurowe światła lamp łukowych sprawiały, że wszystkie ogrody, ścieżki i budynki, które widział z trzeciego piętra domu sypialnego, wydawały się nierealne. I nadal były dla niego nierealne.

Przez rozsuwane drzwi wyszedł na mały balkonik, nie obawiając się, że o tej porze zobaczy go ktoś. Stał daleko od balustrady, tuż przy drzwiach, wpatrując się w noc tak jasną, jak dzień. Widział stąd helikoptery i niemieckich żołnierzy, którzy ich pilnowali. Na warcie stało tylko dwóch ludzi -

jedynie dla zasady.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, że śnił.

Nie miał snów, od kiedy zbudził się z kriogenicznego uśpienia. Może jego ciało i umysł wracały do normalnego stanu? Bo to było normalne i zdrowe - śnić. Był bardzo zmęczony. Konferencja przeniosła się z biblioteki pani Jokli w gmachu rządu na uniwersytet, gdzie zebrali się reprezentanci Hekli do Rady Starszych. Do północy dyskutowano nad tym, jakie działania należy podjąć przeciwko Rosjanom. I znów przeważała opinia, zgodna z jego zdaniem, że zachowanie neutralności byłoby najgorszym wyjściem. Ktoś zapukał do drzwi. Sarah poruszyła się w łóżku.

- John?

- Jestem tutaj. Ktoś jest za drzwiami. Śpij - powiedział jej, wchodząc z powrotem do pokoju i zaciągając zasłony. Znów pukanie.

- Chwileczkę - krzyknął, nie wiedząc nawet, czy ten ktoś rozumie po angielsku. Namacał dzinsy i wskoczył w nie, zasuwając zamek błyskawiczny. Ze stolika wziął jeden z bliźniaczych detoników i odbezpieczył go. Trzymając broń w prawej dłoni, za plecami, otworzył drzwi.

Był to jeden z niemieckich podoficerów, jego twarz nie była doktorowi obca. Młody człowiek odezwał się po niemiecku.

- Doktorze, kapitan Hartman polecił mi poinformować pana, że przechwycono sygnały radiowe wskazujące na obecność Rosjan. Prawdopodobnie Sowietci są całkiem niedaleko. Kapitan Hartman prosi, aby przybył pan natychmiast.

- Dokąd?

- Do posiadłości prezydenckiej.

- Za minutę tam będę - rzucił Rourke, zamykając drzwi. Oparł się o nie w ciemności i zabezpieczył pistolet. Włożył go do kieszeni i bosy podszedł do łóżka, siadając na jego brzegu.

Dotknął Sarah. Jego oczy znów powoli przyzwyczajały się do ciemności.

- Sarah?

- Mówiliście po niemiecku, prawda?

- Tak. Przechwycili rozmowę. Rosjanie. Prawdopodobnie tu, na Islandii.

- O, Boże - szepnęła. Usiadła i przytuliła się do niego. Poczł zapach jej włosów. Delikatnie dotknął ich palcami.

- Chcesz pójść ze mną?

- Tylko się ubiorę.

- Przytul mnie najpierw - szepnął.

## ROZDZIAŁ XXVI

W bibliotece zebrało się tylu ludzi, że nikt nie mógł usiąść. Pani Jokli, okryta wielkim szalem, nadal była w koszuli nocnej.

- Okazuje się, że nasze poprzednie rozważania były bezcelowe. O ile informacje kapitana Hartmana są dokładne, to decyzja rozpoczęcia działań przeciwko wojskom radzieckim już zapadła, i to bez naszego udziału.

- Moje informacje są dokładnie, pani prezydent - potwierdził Hartman, lekko skłoniwszy się w jej kierunku.

- A więc? Słucham propozycji. Rourke stał obok niemieckiego oficera.

- Na krótko przed pani przybyciem rozmawiałem z kapitanem Hartmanem. Sądzę, że powinien przedstawić pani najnowsze dane.

- Bardzo proszę - skinęła głową pani Jokli, zmuszając się do uśmiechu.

- Kiedy przechwyciliśmy sygnał radiowy - Hartman podwinął mankiet mundurowej kurtki i spojrzał na zegarek - prawie godzinę temu, wysłałem jednego z moich oficerów wraz z trzema ludźmi w stronę źródła sygnałów. Poprosiliśmy, aby Herr Rolvaag i policjanci zechcieli nas poprowadzić. Podczas transmisji nastąpiła dość długa przerwa. Dało to czas kapralowi robiącemu nasłuch na wysłanie innego człowieka, który zrobił nasłuch z helikoptera. Dzięki temu mogliśmy wykonać dość dokładny namiar. Otrzymałem właśnie zakodowany sygnał na wysokiej częstotliwości w paśmie, którego Rosjanie - jak się zdaje - nie używają. Kod polegał na zakłócaniu sygnałów o danej częstotliwości według ustalonego systemu. Gdyby nawet Rosjanie przechwycili meldunek, nie mogliby go zrozumieć. Znaleźliśmy radzieckich żołnierzy. To mały patrol. Moi ludzie już wracają. W ciągu godziny powinniśmy się dowiedzieć więcej. Podśłuchana rozmowa nie była zaszyfrowana, w każdym razie na to wygląda. Było to wołanie o pomoc nadane przez kapitana... - Hartman zaczął szybko przerzucać kartki małego notesu - ...kapitana Kutrowa. Meldował, że jeden z jego towarzyszy ma odmrożone stopy.

- Mój Boże... - szepnęła pani Jokli.

- Tak jest, proszę pani. Drugi z ludzi ma złamaną nogę i być może obrażenia wewnętrzne. Podejrzewamy, że to jakaś grupa zwiadowcza. Możliwe, że zastosowali wobec nas inwigilację elektroniczną. Kiedy znajdowaliśmy po potyczkach z Rosjanami porzucony przez nich sprzęt, widzieliśmy zdalnie sterowane automatyczne urządzenia szpiegowskie. Możliwe, że są one dostatecznie dobre, aby przekazać do jakiejś niezbyt odległej bazy wiadomość o naszej tu obecności. Dlatego podjąłem środki ostrożności i pod pozorem rutynowych działań kazałem utrzymywać helikoptery w gotowości bojowej.

- Czy jest stąd jakieś inne wyjście?

Rourke obrócił się w stronę, skąd dobiegał głos. To była Natalia. Tak jak pani Jokli, stała w koszuli nocnej, owinięta szalem.

- Są tunele, które powstały wskutek erupcji wulkanu kilkaset lat temu - odpowiedział doktor

Haakon Land - Od czasu do czasu korzystamy z nich i są one zaznaczone na mapach.

Sarah, jedyna kobieta nie będąca w nocnej koszuli, wystąpiła do przodu, wsuwając ręce do kieszeni dżinsów. Rourke pomyślał, że jego żona wygląda teraz jak Piotruś Pan. Włosy miała związane w koński ogon, a koszulę wypuszczoną na wierzch spodni.

- Myślę, że wiem, do czego zmierza Natalia, to jest major Tiemerowna. Chodzi co najmniej o rekonesans, a przy sprzyjających warunkach nawet o atak z zaskoczenia. - Sarah spojrzała na Natalię, a oczy Rourke'a podążyły za jej wzrokiem.

- Tak jest, dokładnie. Pani prezydent! Gdyby kilku waszych ludzi zechciało nas poprowadzić, to mały oddział mógłby zdobyć cenne informacje bez narażania się na wykrycie przez wroga. Jeśli zaś sytuacja na to pozwoli, można by przeprowadzić jakiś sabotaż czy nawet uderzenie wstępne, skoordynowane z atakiem żołnierzy kapitana Hartmana.

- Doktorze Rourke?

Pani Jokli obserwowała go, gdy odwrócił się w jej stronę.

- Tak, proszę pani?

- Pańska opinia?

- Taki mały oddział można sformować, zanim wrócą ludzie kapitana Hartmana. O ile ich informacje nie wykluczą wysłania tak niewielkiej grupy, będzie to według mnie najbardziej logiczny sposób działania. Mam tylko jedną prośbę. Jeśli pan Rolvaag się zgodzi, chciałbym, aby został naszym przewodnikiem. Byłaby to dla mnie okazja, aby go spotkać i podziękować za uratowanie życia mojej córce. Poza tym jest on chyba wyjątkowo kompetentny w tej dziedzinie.

- Zgadzam się. Czy pan obejmie dowództwo nad tą wyprawą, doktorze?

- Tak jest, proszę pani - odpowiedział John.



## ROZDZIAŁ XXVII

Rourke wziął prysznic, przebrał się i poszedł porozmawiać z Hartmanem. Jego ludzie jeszcze nie wrócili, ale spodziewano się ich niebawem. Kiedy szedł z nim w stronę siedziby prezydenckiej, spotkali Paula. Doktor spodziewał się, że go tu zastanie. Rubenstein był uzbrojony po zęby. W kaburze na piersi miał browninga, a spod prawej pachy sterczał półautomatyczny MP-40 produkcji niemieckiej. W plecaku, który leżał na chodniku, miał ciasno zwiniętą ocieplaną odzież. Ale Paul nie był sam. Natalia nie miała na sobie tym razem wiktoriańskiej sukni. Ubrana była w "strój roboczy": czarny, przylegający do ciała jak druga skóra, kombinezon, czarne wysokie buty, czarny pas. Ręce oparła na biodrach: przy pasie widniały dwa rewolwery. Pod lewą pachą tkwił walther z nierdzewnej stali. U jej stóp też leżał plecak, a jego boczna kieszeń kryła wielki nóż Randall Bowie. Obok Natalii, spoglądając na męża, stała Sarah. Na koszulę wciągnęła sweter, a włosy przewiązała niebiesko-białą apaszką. Spod swetra wystawał jej mały traper scorpion i kabura, kryjąca zniszczonego, ale wciąż jeszcze sprawnego kolta.

A na schodach siedziała Annie. Spod ciężkiej ciemnej spódnicy wystawały wojskowe buty. Ubrana była w sweter z golfem, a kiedy wstała, Rourke zobaczył, że ma u pasa dwa pistolety. Widocznie zwrócono jej broń. Jeden z nich był to jej własny scoremaster, a drugi, beretta 92-F, pochodzący ze skrytki odkopanej przez Blackburna. Przy Annie siedziała Madison, a przy niej, na schodach, leżał plecak i płaszcz, na płaszczu zaś - karabin. U boku Paula, uśmiechając się do ojca, stał Michael. Na obu jego biodrach spoczywały rewolwery Magnum, kaliber czterdzieści cztery.

- Chyba nie sądziłeś, że pozwolimy, abyście poszli sami z Paulem, co? - spytał Michael.

Rourke spojrzał na niego.

- Nie jesteś...

- ...dostatecznie zdrów, żeby iść tak daleko? Chcesz się założyć, tato? Czyim synem jestem, według ciebie?

- A czyją córką - córkami - jesteśmy? - spytała ze śmiechem Annie, obejmując Madison.

- To był nasz pomysł - dodała Sarah, patrząc na Natalię, a potem znów na męża.

Doktor tylko pokiwał głową.

W ambulatorium szpitala na dnie krateru lekarze opatrywali odmrożenia i rany trzech Rosjan: dwóch kaprali i jednego kapitana. Obserwując badanie mężczyzny z odmrożonymi stopami, Rourke powiedział do Hartmana:

- Za moich czasów oznaczałoby to amputację.

- Tak, doktorze, zgoda, ale dziś, jak sadzę, może się obejść bez tego. Zarówno nasi, jak i islandzcy lekarze dokonali, zdaje się, znacznego postępu w metodach leczenia.

John skinął głową i przeszedł od kaprala z odmrożonymi stopami do stołu, gdzie badano radzieckiego kapitana. We wzroku mężczyzny było oszołomienie i niedowierzanie. Rourke przemówił do niego po rosyjsku.

- Kapitanie, ani panu, ani pańskim ludziom nic nie grozi. Po co tu przyszliście?

Powieki niespokojnie zatrzepotały, oczy na chwilę napotkały wzrok Amerykanina i uciekły gdzieś w bok. Jedyne, co nie uległo zmianie w ciągu pięciuset lat, to wszechobecny, mdławy zapach szpitalny, unoszący się między parawanami. Doktor miał nadzieję, że pewnego dnia zostanie wynaleziony preparat do sterylizacji pomieszczeń, którego woń nie będzie przyprawiać o mdłości. Jak dotąd w tej dziedzinie medycyna nie posunęła się naprzód.

- Niech pan nie myśli o ucieczce. Jest pan zbyt słaby. I nie wygląda pan na człowieka, który opuściłby swoich ludzi, ratując własne życie.

Kapitan zaczął się śmiać. Nie była to histeria, raczej śmiech pełen goryczy.

- Inni nie mają skrupułów - odpowiedział po angielsku.

- Co pan ma na myśli? Czy porzucono was tam, na stoku?

- Gdyby przysłano po nas helikoptery, zdradziłyby to naszą obecność.

- Tak, ten powód można zrozumieć, choć trudno go zaakceptować. Ale czemu nie pieszy patrol?

Nawet przy takiej pogodzie...

- Tak - uśmiechnął się kapitan, ale w oczach miał gniew. - Nie wiem.

- Czy uzyskamy od pana informacje?

- Mówił pan o honorze, a prosi pan o informacje? Może mnie pan torturować, jeśli pan chce. Moi ludzie nic nie wiedzą. To ja jestem za wszystko odpowiedzialny.

- Nikt nie ma zamiaru pana torturować - odpowiedział doktor. - Sądzę, że pańscy ludzie wyleczą się ze swoich obrażeń. Załatwię panu kogoś, kto będzie pana informował o stanie zdrowia pana podwładnych. Myślę, że pan też się z tego wygrzebie.

Mężczyzna odchrząknął, oczy mu się zwęziły.

- Nie rozumiem...

- Zatrzymamy pana tutaj przez pewien czas. Ale będzie pan traktowany humanitarnie. Proszę się nie obawiać o swoich ludzi.

- Dziękuję. Bardzo dziękuję.

Rourke uśmiechnął się i odszukał wzrokiem Hartmana, który patrzył, jak lekarze składają nogę trzeciego Rosjanina. Podeszedł tam i, położywszy kapitanowi rękę na ramieniu, poprowadził go do bocznego wyjścia.

- Proszę znaleźć kogoś, kto mówi po angielsku - powiedział - żeby informował rosyjskiego kapitana o stanie zdrowia jego ludzi. Obiecałem mu, że będą dobrze traktowani.

- Na pewno będą, Herr Doktor. Pod rządami wodza i SS byłoby inaczej.

- Rozumiem - odrzekł Rourke, klepiąc Hartmana po ramieniu. Wyszli z ambulatorium i Hartman, pewny, że Rosjanie go nie usłyszą, podniósł głos.

- Niedaleko od miejsca, gdzie ich znaleźiono, odkryto też pojemnik, który udało się zidentyfikować mojemu oficerowi. Był to jeden z radzieckich czujników o dalekim zasięgu. Ze stanu urządzenia wynika, że obecność naszej grupy prawdopodobnie nie została zauważona. Ale naukowcy w Nowych Niemczech skonstruowali podobne urządzenia, które już przetestowano. Opierając się na wynikach badań, możemy przypuszczać, że taki aparat jest w stanie wykryć wszelkie działania militarne. Ponieważ jednak zamiast soczewek i mikrofonów są tu światłowody i tego typu inne czujniki, nieznaczne zmiany mogą pozostać nie wykryte. Taką przynajmniej mamy nadzieję - zakończył z uśmiechem.

- W porządku. Proszę wyposażyć nas w takie radia, jakich używali pańscy ludzie podczas tej wyprawy. Damy wam znać, co zrobiliśmy. Jeśli nadarzy się okazja, aby uderzyć, będziemy gotowi.

Co ma pan zamiar zrobić z wulkanem?

- Funkcjonariusze ochrony prawa to komandosi... to chyba odpowiednie słowo po angielsku...

- Tak, tak myślę.

- Przy współpracy z tymi ludźmi, doktorze, możemy wysłać małe grupki, wyposażone w źródła światła, na górę, w stronę krawędzi. Będą się one kierować na pierwszy wykrywacz, bo nie wiemy, gdzie ewentualnie ustawiono inne takie aparaty. Zajmą pozycje, które pozwolą im strzec wulkanu przed atakiem piechoty i czołgów. To będzie powolna operacja. Jakikolwiek próby znalezienia innych wykrywaczy mogą zdradzić, że wiemy o ich istnieniu.

- Ja też tak uważam - skinął głową Rourke.

Przeszli przez korytarz ambulatorium i znaleźli się na zewnątrz, w liliowym świetle lamp. Byli tam Akiro Kurinami i Elaine Halverson, a także kilku niemieckich żołnierzy, w tym oficer, który przyprowadził półżywych Rosjan. Był też z nimi jeden z zielono odzianych oficerów ochrony prawa i doktor Haakon Lands.

- Doktorze Rourke, chciał pan się spotkać z Bjornem Rolvaagiem, człowiekiem, który uratował pańską córkę.

John zbliżył się do mężczyzny. Był to niemal olbrzym. Wysoki, masywnie zbudowany, o błękitnych oczach, błyszczących spod strzechy jasnych włosów, nad równie jasną brodą. Wyglądał, jakby się śmiał sam do siebie z jakiegoś dowcipu.

Doktor wyciągnął dłoń do Rolvaaga, który przełożył długą stalową łaskę do lewej ręki i mocno uściśnił wyciągniętą prawicę. Siła fizyczna wręcz emanowała z tego człowieka.

- Doktorze Lands - odezwał się Rourke, patrząc na Rolvaaga - proszę powiedzieć panu Rolvaagowi, że mam względem niego dożgonny dług wdzięczności. Nie znajduję właściwych słów, aby podziękować mu za uratowanie życia mojej córce tam, wśród śniegu i lodu.

- Oczywiście, zaraz to przetłumaczę - odrzekł Lands i zaczął mówić coś po islandzku. Kiedy skończył, odezwał się Bjorn Rolvaag. Głos miał donośny, a jednocześnie łagodny. Rourke rozumiał zaledwie niektóre słowa, brzmiące nieco podobnie do angielskich, ale ze spojrzenia Islandczyka i uścisku jego dłoni, domyślał się, co ten mówi.

- Cieszę się, że mogłem pomóc tej pięknej młodej damie. Jest pan szczęściarzem, doktorze Rourke, mając córkę tak piękną, a jednocześnie tak dzielną i zaradną.

Nie trzeba było więcej słów i John skinął mężczyźnie głową.

- Chciałem, żebyś tutaj przyszedł - powiedział, odwróciwszy się do Akiro - bo dobrze władasz białą bronią. Tutejsi policjanci też nieźle sobie z tym radzą, ale nie mają zaprawy bojowej. Chciałbym, żebyś przeprowadził z nimi nieco ćwiczeń. Jeśli doktor Lands pomoże ci trochę jako tłumacz - tu John spojrzał na Landsa - będziesz mógł zwolnić znaczną liczbę żołnierzy Hartmana od pełnienia straży.

- Dobrze, zrobię to, John.

- W porządku - skinął głową Rourke i zwrócił się do Elaine Halverson:

- Chciałbym, żebyś współpracowała z panią Jokli. Jeśli radzieckie oddziały przedostaną się do krateru, musimy być gotowi do ewakuacji wszystkich, którzy nie walczą. Przeniesiemy ich gdzieś na obszar centralny, gdzie można zorganizować silną obronę. Jeżeli Akiro odpowiednio zsynchronizuje akcję policji i obsady karabinów maszynowych kapitana Hartmana, to będziemy mogli zmontować całkiem skuteczną obronę, o ile zajdzie taka potrzeba.

- Postaram się, John. A co z tobą, Sarah i...

- Idziemy z tym panem, taką mam nadzieję - wykonał gest w stronę Rolvaaga.

Doktor Lands skinął głową, mówiąc:

- Wszystko zostało zorganizowane. Jeśli pan chce, mogę dać panu tłumacza.

- Myślę, że wystarczy nam ręczna sygnalizacja - po krótkim namyśle odpowiedział Rourke. - Spróbujemy uderzyć na Rosjan, zanim oni to zrobią. - Popatrzył w ciemne oczy Elaine. - Czy rozmawiałaś z ludźmi Hartmana o pogodzie na zewnątrz?

- Porucznik Baum - zerknęła na młodego oficera - powiedział mi, że wiatr jest umiarkowany, a śnieg pada niemal pionowo. Nie mając innych danych, opierani się na jego informacjach o sile i kierunku wiatru oraz o wielkości płatków śniegu. Myślę, że zadymka może trwać długo, ale to tylko przypuszczenie.

- Mam nadzieję, że Sowieci nie wystartują w powietrze, zanim burza nie zacznie się uspokajać. A więc dobrze, bierzcie się z Akiro i doktorem Landsem do roboty. Powodzenia.

Rourke znów zwrócił się do Hartmana:

- Czy może pan przysłać żołnierzy i karabiny maszynowe?

- Tak, oczywiście, doktorze.

John spojrzał jeszcze raz na Bjorna Rolvaaga i uniósł kciuk w górę. Islandczyk roześmiał się, pokiwał głową i też uniósł kciuk.

## ROZDZIAŁ XXVIII

”To jest tak, jakbyśmy szli po wodzie, i jakby czas na chwilę się zatrzymał” - myślał Rourke. Stąpali w tunelu po falach, lecz były to fale zastygłej magmy. Powierzchnia była nierówna: na przemian szorstka, to znów gładka jak lód.

Bjorn Rolvaag szedł na przedzie, w prawej ręce niosąc laskę, a w lewej unosząc wysoko pochodnię. ”Czemu nie latarnię?” - zastanawiał się Rourke. Obok dreptał wielki pies, Hrothgar. Ciężka ocieplana odzież, zwinięta w rulon, była przywiązana do plecaka Islandczyka, tak samo jak i rakiety śnieżne. Doktor pomyślał, że muszą one być o niebo lepsze od tych, które zrobił z pomocą Paula tam, na górze, kiedy szukali Annie.

Szedł wraz z Paulem tuż za przewodnikiem, a za nimi, ramię w ramię, Michael i Madison. Dalej - Sarah, Annie i Natalia.

Nikt nie rozmawiał. Nie było takiej potrzeby. Poza tym chyba wszyscy zdawali sobie sprawę, że z powodu bariery językowej Rolvaag nie mógłby brać udziału w rozmowie. John wyobrażał sobie, że tunele w mrowisku wyglądają dokładnie tak jak ten, którym szli. Był on cylindryczny i miejscami zadziwiająco regularnie ukształtowany. Gdzieś tam, ni stąd, ni zowąd, zakręcał w najmniej spodziewanym kierunku. Otaczająca ich skała była ciemnoszara. Pochodnia dymiła nad ich głowami. Rourke, jak i reszta grupy, miał niemiecką latarkę na baterie.

Był uzbrojony, jak zawsze, praktycznie. Miał przy sobie dwa detoniki, dwa scoremastery, pythona, nóż Gerber i mały sztylecik. Na plecach niósł dwa karabiny M-16. Chlebaki wypełnił zapasowymi magazynkami do karabinów, a kieszenie dzinsów - nabojami do pythona.

Bjorn Rolvaag, mimo propozycji Jona, odmówił nauki posługiwania się bronią palną. Jak zwykle, miał przy sobie miecz i nóż. Rourke nie nalegał: czasem słabo wyćwiczony w strzelaniu człowiek z karabinem jest jeszcze mniej przydatny na polu walki, niż ktoś całkiem bezbronny. A czasem stanowi wręcz zagrożenie dla najbliższego otoczenia. Ale doktor miał wrażenie, że Rolvaag mógłby być dobrym strzelcem. Znajdzie się potem trochę czasu, żeby go namówić.

W końcu Rourke przerwał ciszę.

- Kiedy wydestaniemy się stąd - zwrócił się do Paula - chciałbym, żebyś wyświadczył mi uprzejmość. Miej na oku Michaela, Annie i Madison. Sarah całkiem nieźle radzi sobie w walce, prawie równie dobrze, jak ty, Natalia czy ja. Ale tamta trójka nie jest zbyt dobrze otraskana w tym interesie.

- Zrobi się. Mamy jakiś plan, czy tak naprawdę to będzie wielka improwizacja?

- Jeśli wymyślimy coś naprawdę sprytnego, możemy wysłać z wiadomością naszego zielonego przyjaciela - skinął w stronę Rolvaaga - z powrotem do krateru. Jeśli nie - pozostaje infiltracja obozu i element zaskoczenia. Może uda się zdobyć jeden z ich helikopterów. Wtedy wezwiemy ludzi Hartmana. Według niego, jeśli baza Rosjan jest gdziekolwiek w promieniu ośmiu kilometrów od wulkanu, pomoc powinna przybyć w ciągu pięciu minut. Bez względu na to, jak dobry jest ten rosyjski wykrywacz, nie mogą mieć konkretnych danych. Nie mogą wiedzieć, że mieszkańcy Hekli mają na

swoją obronę tylko miecze. Gdyby to wiedzieli, już dawno uderzyliby, bez względu na burzę.

- Myślisz, że to Karamazow? - spytał Paul, pocierając palcem grzbiet nosa. Pozostał mu ten nawyk, mimo że przestał nosić okulary i nie musiał już ich poprawiać.

- Raczej nie - odparł cicho doktor. - Sądzę, że to ktoś z jego starszych oficerów. Może nawet nie z obozu Karamazowa, ale z tego ich miasta na Uralu.

- Jakim cudem dowiedzieli się, że tu jesteśmy?

- Przypuszczam, że helikopter, którym leciał Blackburn, miał nadajnik. Albo Blackburn zdołał do niego dotrzeć, kiedy Annie go zraniła, albo to Annie go włączyła, próbując uruchomić radio. Ten sygnał mógł mieć dużą moc. Kto wie, gdzie go przechwycono? Założę się, że z tego właśnie powodu mamy tutaj towarzystwo. Niemcy mogą nie dysponować odpowiednią siłą, żeby długo z nimi walczyć, a posiłki są za daleko. Są jednak szansę, że to mała grupa w helikopterach o dalekim zasięgu, mająca ograniczoną siłę bojową. Mam taką nadzieję.

Iwan Krakowski stał przy monitorach, mówiąc do zebranych w baraku oficerów i starszych podoficerów.

- Widzieliście taśmę z obrazem przetworzonym przez komputer. Towarzysze! Hekla jest wewnątrz zryta tunelami. Użyliśmy czujników reagujących na światło, temperaturę i dźwięk. Porównując uzyskane dane z danymi modelowymi z komputera, możemy być pewni, że niektóre z tuneli są dostatecznie duże, aby pomieścić mały oddział, który mógłby spenetrować miasto.

Na podłodze zrobiły się małe kałuże ze stopionego śniegu. Mundurowe płaszcze pociemniały od wilgoci.

- Wyślę do miasta mały oddział. Jego zadaniem będzie zlokalizowanie siedziby władz i przejęcie kontroli nad głównym ośrodkiem dyspozycyjnym tego osiedla. Wtedy, na wezwanie, natychmiast przybędą nasze śmigłowce, które będą czekać tutaj w pogotowiu. Zaskoczenie, towarzysze! Zdobędziemy Hekłę i stamtąd będziemy robić systematyczne wypadki na całą wyspę. Będziemy lokalizować i zajmować wszystkie inne bazy wroga dopóty, dopóki Islandia nie znajdzie się pod naszą wyłączną kontrolą. Dla tego, kto myśli kategoriami taktyki i strategii, cel tego planu jest oczywisty: Islandia stanie się wysuniętą najdalej na północ bazą wypadową przeciwko Stanom Zjednoczonym. Widać wyraźnie, że tutejsi ludzie znakomicie opanowali kontrolę nad klimatem. Ich zdobycze naukowe można będzie wykorzystać przy ponownym zaludnieniu Ziemi. Nasi robotnicy i naukowcy mogliby pracować nawet w najsurowszym klimacie, pozyskując cenne surowce i minerały. Cała nasza operacja może przynieść ogromne korzyści. Potrzebuję dwóch oficerów i dwóch podoficerów. Są ochotnicy?

Wszyscy, jak jeden mąż, wystąpili do przodu. Iwan Krakowski, wzięwszy się pod boki, pozwolił sobie na uśmiech.

- Znakomicie! Znakomicie! Lojalność wobec ludu radzieckiego, którą, towarzysze, zademonstrowaliście, będzie należycie doceniona przez towarzysza marszałka. Kapitan Salomonow - wskazał lewą dłońią - i kapitan Uliani. Proszę dobrać sobie podoficerów. Reszta towarzyszy jest wolna.

Krakowski odwrócił się w stronę monitora, na którym widniało wnętrze krateru. Wszystko od pierwszej chwili wydawało się w zasięgu ręki. Nikt niczego nie podejrzewał. W końcu poświęcenie Kutrowa i jego dwóch kaprali było najprostszym rozwiązaniem. Trudna decyzja, ale trudne decyzje zwykle bywają najtrafniejsze.

Jednym uchem słuchał, jak kapitanowie dobierają podoficerów. Reszta ludzi wyszła na zewnątrz, w objęcia burzy.

Będą dwie grupy zwiadowcze, podwójna szansa, że akcja się powiedzie.

- Towarzysze - rzekł, odwracając się nagle. - Stworzycie dwa patrole, które pójdą dwoma tunelami. Każda z drużyn będzie działać niezależnie od drugiej. Jeśli jedną coś zatrzyma, jeśli zawali się tunel, druga będzie kontynuować zadanie, zidentyfikuje i zajmie obiekt. Jeżeli obie drużyny dotrą do miasta, nadal mają działać niezależnie. W przypadku, gdyby obie drużyny jednocześnie wyszły z tuneli, kapitan Salomonów przejmie dowództwo nad całością.

- Tak jest, towarzyszu majorze!

- Każdy z was zabierze dwudziestu ochotników. Możecie wyposażyć ich dowolnie, korzystając z naszych magazynów. Weźcie zapasowe radia. Nic przypadkowego nie ma prawa się zdarzyć. Zajmując obiekt, starajcie się pozostawić przy życiu głowę państwa. Musimy się dowiedzieć, jakimi siłami dysponuje ten kraj. Kiedy wkroczycie do obiektu, zacznijcie gromadzić wszystkie dane, jakie mogą nam się przydać. Macie wyodrębnić te, które wykorzystamy natychmiast, w czasie akcji. Przekażcie je przez radio wraz z sygnałem do ataku. Helikoptery przetransportują was w stronę tuneli, na odległość około półtora kilometra od wejścia. Potem będziecie już zdani tylko na siebie. Odległość, którą macie pokonać, wynosi siedem kilometrów w jednym i sześć, przecinek trzy kilometra w drugim tunelu. Umownie nazwiemy je "tunel jeden" i "tunel dwa". Kapitanie Salomonów, pójdziecie tunelem numer jeden. Kapitanie Uliani - wy poprowadzicie swoją drużynę tunelem numer dwa. Powodzenia, towarzysze. Macie dwadzieścia minut do odlotu.

Znów odwrócił się w stronę swoich monitorów. Operację zaplanował z polotem. W myślach układał już odpowiednie zdania, których użyje w raporcie, aby dyskretnie zwrócić uwagę na błyskotliwość swoich posunięć. Musi też podkreślić swój nieustający udział w walce o panowanie nad planetą.

Zastanawiał się czasem, czy jego wciąż rozwijający się talent wojskowy może kiedyś przyćmić jego talent literacki.

Ale był, jak sam często siebie oceniał, człowiekiem naprawdę wszechstronnym, może ostatnim z tego ginącego gatunku.

## ROZDZIAŁ XXIX

Zrobili przerwę na odpoczynek. Im bardziej oddalali się od krateru, tym powietrze stawało się chłodniejsze. Rourke zdjął plecak i zaczął odwiązywać od niego zwinięte w rulon spodnie i kurtkę.

- Tatusiu, czy wszyscy mamy się przebrać?

- Tak, Annie - odpowiedział. - Będzie coraz zimniej. Jakby na potwierdzenie tych słów z jego ust wydobył się obłoczek pary.

- Możemy się przebrać za tamtym zakrętem - dodała Natalia, wstając i podnosząc plecak. Annie i Sarah zrobiły to samo. Wszystkie trzy, świecąc latarkami, odeszły w stronę, z której przybyły przed chwilą.

Rourke włożył ocieplane spodnie i zerknął na Rolvaaga. Islandczyk wciągał właśnie na zieloną koszulę długą skórzaną kamizelkę. Kiedy się z tym uporał, zdjął buty i założył drugie, prawie identyczne. Wykończone były jakimś futerkiem, niekoniecznie syntetycznym.

Doktor pozapinał zamki błyskawiczne wzdłuż nogawek i też zmienił buty. Miał specjalne ocieplane obuwie, przystosowane do silnych mrozów. Takie same buty odpowiednich rozmiarów przygotował dla swoich przyjaciół. Tylko odzież Natalii pochodziła z radzieckich magazynów. Przed wojną ceniono sowiecki ekwipunek polarny z powodu jego znakomitej jakości. Rosjanie przeprowadzali wiele operacji w zimnym klimacie, jakość ich wyposażenia wynikała więc z potrzeb.

Paul miał ubranie "kombinowane" w częściowo zniszczonym i całkowicie opuszczonym mieście, przez które przechodzili między Nocą Wojny a Wielką Pożogą. Dzięki starannej konserwacji skóry i gumy oraz hermetycznemu zamknięciu ubranie przetrwało w doskonałym stanie pięćsetletni sen właściciela. Wszystkie przedmioty nie nadające się do przechowania w podobny sposób napromieniowano przed Nocą Wojny, aby zniszczyć bakterie. Pozwoliło to zmniejszyć ryzyko, że rzeczy zgniją i będą nieprzydatne. Paul wiedział, że jego sprzęt nie jest zbyt trwały. Wolfgang Mann złożył więc zapotrzebowanie na amunicję i inne niezbędne wyposażenie, które miało dla niego nadejść z Argentyny, czy też - jak wolał mówić Mann i jego współtowarzysze - z Nowych Niemiec. Rourke był bardzo zainteresowany zrobieniem kopii specjalnych, dwunastogramowych, powlekanych pocisków z wydrążonym czubkiem, których szczególnie chętnie używał do swoich pistoletów. Przed wojną zawsze polecał je swoim uczniom w szkole przetrwania. Mann, śmiejąc się, obiecał wykonać duplikaty. Być może, zamówione wyposażenie czekało już na nich gdzieś na południu, w kwaterze niemieckiego dowódcy.

Rourke naciągnął buty. Rolvaag przywiązywał do plecaka swoją pelerynę. Chyba był bardziej odporny na mróz niż przybysze spoza Islandii. Doktor wstał, nałożył kurtkę, ale nie zapiął jej ani nie włożył kaptura. W kieszeni miał gogle, szal i grube rękawice.

Zabrał się do pakowania plecaka; wkrótce trzeba będzie ruszać dalej.

Rolvaag odwrócił się do niego, mówiąc coś i gestykulując. John sądził, że Bjorn chce pójść na rekonesans w głąb tunelu. Podzielił się z Paulem swoimi domysłami i dodał:

- Jeśli pan Rolvaag pójdzie, ty masz mu deptać po piętach. On nie jest odpowiednio uzbrojony na



spotkanie naszych rosyjskich przyjaciół.

- W porządku.

Paul spojrział na czarno odzianego, kudłatego Islandczyka i klepnął go po ramieniu.

- Ja idę z tobą - powiedział dobitnie, pokazując palcem siebie, Rolvagga i tunel.

Islandczyk uśmiechnął się. Jego zęby były tak białe, że wyglądało to niemal śmiesznie. Skinął głową i podniósł z ziemi laskę. Plecak zostawił tam, gdzie leżał. Paul też zdjął swój plecak, zabrał schmeissera i M-16, a potem podążył w ślad za Rolvaagiem. W tym miejscu tunel skręcał i po chwili Rourke stracił ich z oczu. Było mu za gorąco w tej kurtce, ale bez niej marzył. Rozchylił ją szeroko, odkrywając szyję i ramiona.

- Dokąd oni idą? Na zwiady? - Michael podszedł do ojca.

- Tak.

- Zdaje się, że ten Rolvaag to niezły gość.

- Tak. Jak się czujesz?

- Dobrze.

- Brzuch w porządku?

- Świetnie. A jak to draśnięcie na żebrach, które mama ci bandażowała?

- W porządku. Wygląda na to, że dotyk ręki twojej matki ma uzdrowicielską moc.

- Ten niemiecki preparat jest niezły. Jak myślisz, co to jest?

- Myślę, że to udoskonalona wersja jakiegoś specyfiku do regeneracji tkanek, nad którymi pracowano przed Nocą Wojny. Doktor Munchen tłumaczył mi to, ale nie znał na tyle dobrze angielskiego, żeby wyjaśnić szczegóły. A ja nie znam wystarczająco dobrze niemieckiego.

- Zastanawiałem się...

- To ma być pytanie, czy stwierdzenie?

- Stwierdzenie.

- Na jaki temat?

- Potem, po tym wszystkim...

- Co będziesz robić?

- Tak.

- No i...?

- Może zostanę lekarzem, jak ty.

- Chciałbym, żeby tak się stało. Masz do tego głowę. Ręce też: albo do chirurgii, albo do fortepianu. Chirurgię możesz zacząć studiować, mając trzydzieści lat. Co do fortepianu, jesteś już za stary, żeby mogło to być dla ciebie czymś więcej, niż rozrywką.

- Umiesz grać, prawda?

- Nie robiłem tego od pięciuset lat. A i wcześniej niezbyt często miałem czas.

- Uczyłeś się teorii muzyki?

- Nie wyszedłem poza swoje własne kompozycje. To było zbyt czasochłonne.

- Nauczysz mnie?

- Gry na fortepianie? Wyszedłem z wprawy.

- Medycyny.

- Sam się do tego zabierz. Niemcy mają szkołę na wysokim poziomie. I tobie, i Madison będzie się podobać w Argentynie.

- A ty? - szepnął Michael.

- Ja? Jeśli zapanuje pokój, to klinika. Jeśli nie - twoje pytanie jest retoryczne.

- Wiem - gorzko przytaknął Michael. - Chciałbym mieć twoje doświadczenie, idąc na spotkanie tego tam... - Michael skinął w głąb tunelu.

- Lepiej, że go nie masz - odparł całkiem szczerze Rourke.

Paul Rubenstein oceniał w myślach Bjorna Rolvaaga. Był on zdecydowanie wyższy od Johna, potężnie zbudowany. Pies, idący przy jego nodze, wyglądał jak czworonożna wersja swojego pana: wielki, kudłaty, cichy i pewny siebie.

Rolvaag zgasił pochodnię na skale. Zapanował mrok. Paul namacał kolbę schmeissera. Rubenstein poczuł w ciemności, że Islandczyk zatrzymuje go dłonią. Jednocześnie usłyszał syknienie oznaczające, że ma być cicho.

Paul stanął i wstrzymał oddech. Otaczała ich kompletna ciemność, cisza aż kłuła w uszy. Co takiego usłyszał Rolvaag?

Paul słyszał dyszenie psa i swój własny oddech.

I nagle usłyszał coś jeszcze. Może ten właśnie dźwięk dotarł przedtem do uszu Rolvaaga. Był to brzęk metalu. Rosjanie, w przeciwieństwie do Niemców, nadal mieli metalowe klamry u pasów. To brzmiało właśnie jak brzęk sprzączki. Paul czuł, że Bjorn delikatnie popycha go do tyłu, cofnął się więc i przywarł plecami do ściany tunelu. Skala była bardzo szorstka.

Rolvaag cofnął dłoń; oddech psa zmienił rytm. Islandczyk znów dotknął Paula, chwycił go za rękę i naprowadził ją na przytroczony do pasa nóż. Paul wziął z kolei dłoń Rolvaaga i przyłożył ją do swojej głowy, potakując energicznie, aby pokazać, że rozumie. Mieli użyć broni siecznej. Ciekawe tylko, czy Rolvaag potrafił w pełni docenić broń palną? Musiał jednak całkowicie zaufać Islandczykowi. W tym absolutnie ciemnym tunelu nie miał innego wyjścia. Tak cicho jak tylko mógł, odpiął pasek, przytrzymujący gerbera w pochwie. Zatrząsk odskoczył. W ciszy zabrzmiało to jak uderzenie w cymbały. Rubenstein miał nadzieję, że nadchodzący Rosjanie nie zwrócą na to uwagi. Wstrzymał oddech. Usłyszał kasznięcie i szept. Znów brzęk klamry.

Wolno wysunął nóż z pochwy i czekał z ostrzem przyciśniętym do uda.

Znów dźwięk, tym razem całkiem blisko. Paul przeraził się, że wróg podszedł do nich, a oni tego nie zauważyli. Ale to Rolvaag wyciągnął miecz.

Światło. Paul widział coraz intensywniejszy i coraz bardziej zwarty żółty stożek światła, zbliżający się powoli.

Oblizwał wargi i wziął głęboki oddech.

Jeśli Rosjanie mają na powierzchni czujniki, mogą usłyszeć strzały. Paul musiał więc posłużyć się nożem. John uczył go kiedyś czegoś, co Rubenstein nazwał "podstawami stylu". To mogło się teraz przydać.

Czekał.

Zastanawiał się. Jeżeli w tunelu jest sowiecki oddział, to ich celem może być tylko zwiad i dywersja. A to znaczy, że Rosjanie będą strzelać równie niechętnie jak on.

Czekał.

Teraz stożek światła był całkiem blisko.

Brzęk metalu, odgłosy kroków. Czuli się bezpieczni. Gdyby chcieli, mogliby iść ciszej.

Paul Rubenstein czekał.

I nagle Bjorn Rolvaag wydał okrzyk. Może był to okrzyk bojowy, a może przekleństwo. Olbrzymi miecz przeciął stożek światła. Głowa mężczyzny niosącego latarkę oderwała się od szyi i upadła na

ziemię. Ułamek sekundy później latarka wypadła z martwej dłoni. Paul cofnął się gwałtownie poza obręb światła i wbił nóż w ciało Rosjanina. Karabin upadł na ziemię. W świetle leżącej latarki widać było stopy Rolvagga. Znowu rozległ się wrzask. Paul uskoczył, kiedy ciężki, masywny kształt runął na niego. Odepchnął ciało. Lewa dłoń trafiła na coś śliskiego i mokrego. Nagle uzmysłowił sobie, że to ludzka szyja. Odskoczył do tyłu. Obok niego coś się poruszyło. Nie mógł to być Bjorn, bo nadal widział jego buty oświetlone latarką. Pchnął więc nożem w ciemność. Usłyszał jęk i rzucił się w stronę światła, aby Rolvaag mógł go zobaczyć. Uczeplił się olbrzymiego Islandczyka, próbując go odciągnąć z zasięgu latarki i krzycząc:

- Rolvaag!

Bjorn odpowiedział coś, Paul nie mógł pojąć, co, ale wtedy Islandczyk zawołał:

- Paul!

Paul szarpnął mężczyznę jeszcze raz. Bjorn ruszył się wreszcie. Rubenstein zaczął biec. Ręce miał wyciągnięte przed siebie. Ostrze noża zgrzytało o skały. Lewą dłonią namacał w kieszeni latarkę. Włączył ją i zobaczył, że... biegnie wprost na Rosjan. Ujrzał czyjaś twarz, ktoś zamierzył się na niego kolbą karabinu.

Prawą ręką zamachnął się w kierunku gardła Rosjanina. Cofnął dłoń. W chwili gdy wyrwał nóż, trysnęła krew. Zawrócił i znów biegnąc, krzyczał:

- Rolvaag!

Za plecami usłyszał krzyki i przekleństwa.

- John! Uważaj! - zawołał.

Przy zakręcie zobaczył w świetle latarki Bjorna. Oczy świeciły mu jak u zjawy. Uniesiony w prawej dłoni miecz lśnił od krwi. W lewej dłoni miał nóż. Laska tkwiła przypięta na plecach. Z tyłu, w ślad za wikingiem, biegli Rosjanie.

Paul potknął się, złapał równowagę i zderzył się z kimś. Sięgnął po nóż. To był Michael.

- Uważaj! Rosjanie!

Tuż za Michaeliem ujrzał niewyraźną sylwetkę Johna. Migocące światło pochodni odbijało się w stalowym ostrzu noża.

Natalia. Paul raczej wyczuł ją, niż zobaczył. Roztaczała jakiś nieokreślony, ciepły, kobiecy zapach. Usłyszał też, jak jej sprężynowy nóż, z którym nigdy się nie rozstawała pobrzękuje o skórzany pas.

Uniósł wyżej latarkę. Rourke zmagął się z radzieckim oficerem. Rosjanin uniósł bagnet, szykując się do uderzenia. Doktor lewą dłonią odepchnął karabin, prawą zadał błyskawiczny cios nożem.

Głos Madison. Tak, to ona krzyczała. W mroku, niemal poza zasięgiem światła. Dojrzał żołnierza z olbrzymim nożem, wyglądającym jak krótki miecz. Paul rzucił się na Rosjanina i chwycił go mocno, przyciskając do ziemi. Ktoś na nich upadł. Latarka potoczyła się pod ścianę tunelu. Paul złapał przeciwnika za włosy. Przeciągnął na oślep ostrzem noża; miał nadzieję, że trafił na gardło. Rozległ się jęk, westchnienie. Na rękach poczuł lepka wilgoć krwi. Ciało żołnierza zwiotczało.

Rubenstein odwrócił się i zobaczył Annie. W jednej ręce trzymała latarkę, w drugiej miała ociekający krwią nóż. Zrozumiał, że jednocześnie uderzyli tego samego człowieka.

- Madison!

- Jestem tutaj! Wszystko w porządku!

- Zostań tam, gdzie jesteś! - krzyknął Paul.

Dał nura w mrok, wprost na ciało przesiąknięte zapachem potu. Chwycił je i nagle poczuł ręce na

swoim gardle. Wbił nóż, nie wiedząc nawet, gdzie. Uścisk na gardle rozluźnił się. Światło latarki. To Annie.

- Puszczaj go, ty skurwysynu!

Biegła w jego stronę oświetlając sobie drogę. Nagle ciało wyciskające z niego życie szarpnęło się, upadło. Zobaczył Michaela z nożem w jednej ręce i rewolwerem w drugiej. Ostrze noża tkwiło w brzuchu rosyjskiego żołnierza. Kolba rewolweru roztrzaskała mu twarz.

Ciemność. Krzyk Annie.

Paul zerwał się z ziemi. Zgubił nóż. Ręce natrafiły na czyjeś ciało. Rosjanin - poznał to po ubraniu.

- Annie!

- Nic mi nie jest!

Pociągnął przeciwnika na siebie i obaj upadli.

Pobrzękiwanie metalu. To Natalia. Lewy prosty Paula wylądował na szczęce leżącego na nim Rosjanina. Usłyszał stłumione przekleństwo.

Znowu pobrzękiwanie. Głos Natalii. Krzyczała coś po rosyjsku, brzmiało to jak stek wyzwisk. Wrzask. Wrzask mężczyzny, dziki, pełen strachu.

Paul podniósł się. Coś miękkiego otarło się o niego. Włosy, które dotknęły jego policzka, nie należały do Annie. Pobrzękiwanie oddalało się.

- Madison.

- Uważaj, Paul!

Rozległ się jęk, ktoś się z kimś zderzył, przekleństwo, głuchy odgłos padającego ciała. Paul zrobił mały krok do przodu. Rosjanin leżał na ziemi, a Madison tłukła go czymś po głowie. Paul znalazł twarz mężczyzny, namacał jego nozdrza i wbił się w nie palcami, rozdierając je. Głowa opadła w tył. Znowu stek przekleństw. Lewą ręką znalazł sterczące jabłko Adama, za nim krtań. Z całej siły zacisnął palce i zmiażdżył ją.

- Wszyscy w porządku? - usłyszał głos Rourke'a. Światło. Oczy Rosjanina błyszczały, źrenice były martwe. Paul rozluźnił uścisk.

Obok niego klęczała Madison. W dłoni trzymała walthera P-38, należącego do Natalii. Po kolbie ściekały krople krwi.

Światło przesunęło się w lewo. Natalia wciąż trzymała w prawej ręce otwarty nóż sprężynowy. W lewej ścisnęła randalla-bowie z długim ostrzem, połyskującym teraz czerwienią krwi.

Miecz i nóż Rolvagga sterczały z piersi dwóch Rosjan, których Islandczyk dopadł pod ścianą tunelu. Annie trzymała swój nóż w ręce. Apaszka Sarah była zaciśnięta wokół szyi rosyjskiego żołnierza. Jego twarz była sina. Michael stał spokojnie: Paul nie widział jego broni.

John Rourke mówił cichym szeptem:

- Nie przypuszczam, żeby to był przypadek. Tych patroli musi tu być więcej, w jakichś innych tunelach. Natalia, wypróbuj swój rosyjski i wszystkie języki, jakie znasz. Może zdołasz się dowiedzieć, co myśli o tym pan Rolvaag. Musimy się rozdzielić. Sarah, Annie i Madison - wróćcie z Rolvaagiem i powiadomcie o wszystkim policję i ludzi kapitana Hartmana. Rosjanie robią dokładnie to samo, co my. Natalia, Paul i Michael - nasza czwórka będzie kontynuować plan. Natalia, spróbuj wydusić coś z Rolvaaga. Sarah, ty z Annie i Paulem przeszukacie ze mną ciała. Jeśli ktoś będzie żył, powiedzcie mi, a ja zrobię, co będę mógł. Michael, weź latarkę i idź naprzód, ale ostrożnie. Nie oddalaj się bardziej niż na sto metrów. Jeżeli kogoś zobaczysz, zagwiżdż trzy razy.

Zgaś latarkę. Ja zagwiżdżę trzy razy, kiedy ruszymy za tobą. Pospiesz się. Madison - odwrócił latarkę w stronę dziewczyny.

- Pozbieraj broń. Noże, pistolety, amunicję. Możecie zanieść to do miasta, wszystko się teraz przyda. Ruszajcie się!

Paul Rubenstein pochylił się i pocałował Madison w czoło.

- Jesteś dzielna, Madison. Już wszystko w porządku.

- Dziękuję, Paul.

Paul jęknął, próbując odetchnąć głębiej. Wstał. Nie było sensu sprawdzać, czy któryś z Rosjan żyje. Ich oddział okazał się sprawny niczym doskonale zaprojektowana maszyna do zabijania.

## ROZDZIAŁ XXX

Michael oparł się ciężko o skałę. Drżał z zimna. Tak przynajmniej twierdził. Natalia dogoniła go i uklękła obok. Płaskie skalne wzniesienie było zbyt wąskie, aby skryć ich oboje.

- Jest ich całe mnóstwo, Michael - szepnęła.

- Tak. - Michael patrzył przez gęsty śnieg na obozowisko Rosjan. Po wyjściu z tunelu przeszli jeszcze pięć kilometrów. Od obozu wroga dzieliło ich jakieś osiemset metrów. Michael zdrętwiał z zimna i wyczerpania. Zastanawiał się, jak radzi sobie jego ojciec.

- Przypominasz mi swojego ojca, Michael.

- Chciałbym mieć jego temperament - roześmiał się cicho.

- Po raz pierwszy spotkałam go wiele lat temu, na długo przed Nocą Wojny - nagle zaśmiała się również, Michael spojrzał na nią. Ledwie mógł dojrzeć jej oczy spod zwojów chust, szalika i kaptura, ale i tak była niewiarygodnie piękna. Nagle pomyślał, że jego ojciec jest ulepiony z bardzo twardej gliny.

- Był wtedy bardzo młody, chyba miał tyle lat co ty.

- Jestem starszy od ciebie - odpowiedział Michael. Czekali. Ojciec i Paul nie wyjdą przed upływem - spojrzał na zegarek - następnym czterech minut Jeszcze cztery minuty w bezruchu.

- Jesteś piękną kobietą. Myślałem o tym, jak silną wolę musi mieć mój ojciec.

- Tak, ma silną wolę - przytaknęła, siadając pod skałą. Na udach położyła skrzyżowane karabiny, chroniąc lufy przed śniegiem.

Michael popatrzył na nią.

- Jesteście do siebie podobni.

- Chodzi ci o skłonność do przemocy?

- Nie. Czasem wykazujecie nadludzkie zdolności.

- Bardzo wiele zawdzięczam treningowi. Poza tym to tkwi w niektórych ludziach, na przykład w twoim ojcu. Myślę, że w tobie też, musisz się tylko o tym przekonać. I przekonasz się - uśmiechała się do niego oczami.

- Czy to upór? Natalia roześmiała się.

- Częściowo tak, choć może lepszym określeniem byłaby wytrwałość. Ale nie tylko to. Także wrodzone zdolności. W każdym razie, sam uwierzysz, kiedy zauważysz to u siebie, tak jak widzisz u ojca.

Spojrzeni na zegarki. Jeszcze dwie minuty. Byli pewni, że w obozie działa system elektronicznego ostrzegania, jakiegokolwiek próby potajemnego wejścia na teren obozowiska nie miały więc sensu. Dokładnie za dwie minuty Paul wezwie przez radio oddział kapitana Hartmana. Michael widział przed sobą osiem helikopterów dalekiego zasięgu. Eskorta Hartmana składała się z czterech maszyn, plus dwie, którymi przylecieli oni. Nie można było określić, ilu ludzi znajduje się w radzieckim obozie. Z powodu złej pogody większość przebywała w barakach stojących wokół śmigłowców.

Plan ojca był prosty. W momencie ataku, czyli jak to się mówi, o godzinie zero, ruszą na bazę z

dwóch przeciwnych kierunków. Będą zabijać każdego, kto się znajdzie w zasięgu wzroku i przedzierać się do środka obozu, do helikopterów. Michael ma osłaniać jedną z maszyn, kiedy Natalia będzie startować. Motory śmigłowców pracowały, łatwo to było stwierdzić. Co prawda śmigła się nie obracały, ale silniki chodziły na jałowym biegu, a gazy spalinowe tworzyły chmury w mroźnym powietrzu. Albo robiono to, aby silniki nie zamarły - chociaż Michael w to wątpił - albo maszyny były gotowe do startu. Za drugą ewentualnością przemawiał fakt spotkania w tunelu grupy zwiadowczej.

Będzie musiał zrobić wszystko, aby Natalia spokojnie wystartowała. Paul miał umożliwić start jego ojcu. Kiedy obie maszyny będą w powietrzu, ojciec i Natalia zniszczą pozostałe helikoptery i dadzą Hartmanowi sygnał do ataku.

Jeśli to się uda, pokonają Rosjan przez zaskoczenie. Jeśli nie - Michael wolał nie myśleć o tym, co wtedy będzie. Madison. Dziecko, które nosiła. Ich dziecko.

- Już prawie czas - powiedziała Natalia.

- Wiem - uśmiechnął się. - Nie martw się, będę cię osłaniać dostatecznie długo, żebyś mogła wystartować. Cała sztuka polega na tym, żeby dotrzeć do śmigłowca.

- Ze względu na ciężki sprzęt, który dźwigamy, dojście do obszaru kontrolowanego przez system elektroniczny zajmie nam około ośmiu minut szybkiego marszu w rakietach śnieżnych.

- Ruszamy! - Michael spojrzał na zegarek.

Wstała, odbezpieczyła karabiny i ruszyła przed siebie. Przez pierwsze pięćset metrów mogli się kryć za skałami i powstałymi przy nich zaspami. "Wszystko zacznie się potem, na otwartej przestrzeni" - pomyślał, odbezpieczając M-16 i idąc po siadach Natalii.

John siedł w rakietach śnieżnych. Obok niego maszerował Paul. Hartman i jego żołnierze zostali już wezwani. Dłonie doktora w cienkich rękawiczkach mocno ścisnęły uchwyty karabinów. Zsunął kaptur z głowy, żeby nie opadał mu na oczy. Bacznie obserwował przez gogle obozowisko Rosjan. Mrużył oczy, ale nie z powodu światła - tego było tu raczej niewiele. Chciał się dokładnie przyjrzeć wszystkim szczegółom.

Paul siedł po jego lewej stronie, niosąc swojego schmeissera. Rubenstein tak nazywał tę broń i Rourke nieraz przyłapał się na tym, że sam również używa tej nazwy. Mieli przed sobą jeszcze około stu metrów osłoniętej przestrzeni, a potem jakieś czterysta metrów na otwartym terenie. Wtedy zauważą ich strażnicy albo wykryją elektroniczne czujniki.

Rourke szedł naprzód. Nie widział Natalii ani Michaela i chciałby, aby równie niewidoczni byli dla Rosjan. W obozie nic się nie działo, tylko z helikopterów unosiły się szare obłoki gazów spalinowych. W taki poranek jak dziś, ludzie na pewno byli w barakach. Kiedy John ostatni raz patrzył na zegarek, dochodziła ósma. Szaro-czarne niebo nie rozjaśniło się ani trochę od czasu, kiedy wyszli z tunelu u stóp góry. Sądził, że pozostanie ciemne, dopóki będzie padać śnieg.

Na pewno natkną się na system elektronicznego ostrzegania, ale nie przypuszczał, aby czujniki rozlokowano dalej niż sto metrów od obozu. Wątpił też, aby prowadzono stałą obserwację. Tylko paranoik mógłby się spodziewać ataku w tym miejscu.

Szedł dalej...

Annie biegła w zwartej grupie ze swoją matką, Madison i Bjornem Rolvaagiem. Cieszyła się, że posłuchała Sarah, która radziła zatrzymać się na moment, żeby zdjąć ciężką, ocieplaną odzież. Kiedy biegli przez tunel, nie odważyli się użyć radia. Po dotarciu do krateru postanowili nadal zachować ciszę, bo Rosjanie mogli przechwycić każdy meldunek.

Biegli teraz do celu najkrótszą drogą. Przed rozdzieleniem się Natalia, posługując się mieszaniną rosyjskiego, angielskiego i norweskiego, próbowała rozmawiać z Bjornem Rolvaagiem. Konwersacja ograniczała się jednak raczej do monologu. Kiedy Islandczyk zaczął mówić, okazywało się, że Natalia nie jest w stanie go zrozumieć.

On natomiast rozumiał ją na tyle dobrze, że poprowadził je najkrótszą drogą. Pojął, że miastu grozi inwazja wojsk radzieckich i że trzeba natychmiast powiadomić kapitana Hartmana i panią Jokli.

Annie czuła, jak karabin podskakuje i uderza ją po plecach. Wymachiwała prawą ręką, jakby to miało przyspieszyć jej bieg. Lewą dłonią unosiła brzeg spódnicy. Buty wojskowe, które miała na nogach, były wygodne i przyzwyczała się do nich, ale jednak czuła ich ciężar.

Popatrzyła na Sarah, która trzymała się blisko córki. Madison została nieco w tyle. Rolvaag z łatwością wyprzedzał kobiety, a przy jego nodze bez najmniejszego wysiłku biegł Hrothgar.

Biegła. Dopiero za dziesięć minut mogą spotkać kogoś z żołnierzy Hartmana lub policjanta pani Jokli. Czuła, jak jej serce łomocze coraz ciężiej, coraz gwałtowniej. Biegła.

Rolvaag gwałtownie pochylił się w prawo, wywijając laską. Uzbrojeni żołnierze radzieccy! Trzech zbliżało się do niego z bagnietami na karabinach. Inni wyłaniali się z wysokich zarośli po obu stronach drogi. Pies rzucił się do gardła jednemu z nich.

Laska Bjorna zatrzepotała w powietrzu, uderzając jednocześnie dwóch żołnierzy: jednego w głowę, a drugiego w szyję. Obaj upadli na ziemię. Teraz Islandczyk podbił karabin z bagnietem, który trzymał trzeci żołnierz.

- Bjorn!

Annie wrzeszczała, ale to nie była pora na subtelne zachowanie. M-16 znalazł się w jej drobnej dłoni. Szybko odciągała zamek karabinu.

Madison krzyczała, walcząc z dwoma napastnikami. Annie zaczęła celować w stronę dziewczyny i dwóch żołnierzy, którzy się z nią szarpali.

Z zarośli wychodziło coraz więcej Rosjan



## ROZDZIAŁ XXXI

Byli już sto metrów od obozowiska, kiedy rozległ się alarm. John zaczął biec, szurając raketami po świeżym, dziewiczym śniegu, olśniewająco białym w porównaniu z niskimi, stalowymi chmurami.

Z baraków zaczęli wybiegać ludzie. Niektórzy bez płaszczy i kurtek. Przez otwarte drzwi padały szerokie smugi żółtego światła. Płatki śniegu wydawały się na ich tle nienaturalnie wielkie, tworząc jakby opadającą na ziemię kurtynę. W rękach mężczyzn połyskiwały lufy karabinów.

Najbliższy barak był oddalony o siedemdziesiąt pięć metrów. Doktor nie strzelał. Każda sekunda, która upłynie, zanim Sowieci dokładnie ich namierzą, oznacza kilka metrów do przodu. Kilka metrów bliżej do helikopterów pośrodku obozu.

Pociski karabinowe wzbily pod jego stopami fontanny śniegu. Rourke padł, zarzucając na ramię jeden M-16. Paul leżał obok niego. Doktor skierował drugi karabin w stronę, skąd padły strzały, a potem ogniem ciągłym ostrzelał żółte światło w otwartych drzwiach. W rękach Paula pojawił się MP-40. Krótka seria rozorała śnieg, gdy Rubenstein wstrzeliwał się w cel. Druga, dłuższa, rzuciła biegnących na ziemię.

Magazynek M-16 był pusty. Rourke przewiesił karabin przez ramię i sięgnął do chlebaka. Miał tam coś specjalnego, co wydebił od kapitana Hartmana. Wyciągnął zawleczkę granatu zaczepnego, odliczył do pięciu i cisnął nim w stronę baraku.

- Naprzód, Paul! - krzyknął, zrywając się na nogi. Granat eksplodował. John potknął się, ale nie upadł. Zmieniając w biegu magazynek karabinu, zerknął na barak. Była tam tylko ściana żółto-pomarańczowych płomieni.

- Niezłe są te granaty - mruknął pod nosem. Paul biegł obok niego, zmieniając magazynek schmeissera. Zanim opuścili Nowe Niemcy w Argentynie, Rourke zdobył dla niego sześć dodatkowych magazynków. Tam były one tylko zabytkami muzealnymi - tutaj okazały się przydatne.

Wciąż biegli.

Strzelanina nasiliła się, ale raczej po drugiej stronie obozu. To musiała być robota Michaela i Natalii.

Grzechot M-16 i niższy dźwięk radzieckich karabinów. Eksplozja. Natalia też miała kilka granatów.

Rourke zbliżył się do helikopterów o następne sto metrów. Obóz roił się teraz od mężczyzn z karabinami. Rozlegały się krzyki, przemieszane z przenikliwym skrzeczeniem alarmu.

W baraku po prawej stronie uchyliły się drzwi, ktoś otworzył ogień. Poczł uderzenie, ale nie zabloowało go to. Padł na śnieg. Domyślił się, że pociski utkwily w plecaku.

Zdjął z pleców M-16, wycelował w drzwi i nacisnął spust. Potem ukląkł i ostrzelał barak z obu karabinów naraz. Paul przysiadł za nim, również strzelając.

Znów poderwał się do biegu, nie zdejmując palca ze spustu. Kiedy wyczerpał magazynki, wypuścił z rąk karabiny, pozwalając im zwisać luźno.

John szarpnął zapięcie z przodu kurtki, rozsuwając częściowo zamek błyskawiczny. Wyjął oba

scoremastery, odbezpieczył je i wypalił. Dwóch mężczyzn zachwiało się i upadło. Schmeisser Paula czekał obok. Znowu pokonali sto metrów.

Z tamtej strony obozu znów wybuchł granat. Rourke wsunął pusty pistolet za pas. Opróżnił drugiego scoremastery i schował go tam, gdzie pierwszego. Chwycił M-16, wydobył zapasowy magazynek, a pusty wyrzucił w śnieg. Dalsze pięćdziesiąt metrów miał za sobą.

Załadował karabin i znów otworzył ogień, kierując lufę z lewa na prawo i z powrotem. Przebiegł kolejne pięćdziesiąt metrów. Magazynek był pusty. Z baraku po lewej stronie wyskoczyła grupa żołnierzy. Schmeisser Paula nagle ucichł.

Rourke obejrzał się. Rubenstein zmieniał w biegu magazynek. Rosjanie z lewej strony szybko się zbliżali. Sięgnął do chlebaka, złapał granat, wyrwał zawleczkę, odliczył do pięciu i rzucił w sam środek grupy. Granat zniknął między mężczyznami.

Eksplozja. Na chwilę płomienie rozświetliły szare niebo. Krzyki. Ktoś biegł. Żywa pochodnia.

Załadował do obu M-16 nowe magazynki. Jeszcze dwieście metrów do przebycia.

Na drugim krańcu obozu znów strzelanina i wybuchy. Głuche odgłosy rewolweru Magnum, należącego do Michaela. Rourke biegł, z tyłu Paul strzelał ze schmeissera.

Sześciu ludzi po prawej. Trzech stoi, trzech klęczy. Broń wycelowana prosto w niego. John skoczył w lewo, ślizgając się na lewym kolanie, z prawą nogą wysuniętą do przodu.

- Paul! Padnij!

Kątem oka widział, jak Rubenstein rzuca się w śnieg.

Otworzył ogień z obu M-16 jednocześnie. Dwóch mężczyzn upadło. Trzeci. Teraz czwarty. Puste magazynki. Półautomat Paula czeka bez przerwy. Piąty żołnierz padł, gdy Rourke zarzucił oba puste karabiny z powrotem na plecy. Sięgnął do pasa opinającego kurtkę i wyciągnął pythona. Oddał dwa razy po dwa strzały. Szósty żołnierz nie żył.

Podnieśli się, by kontynuować bieg. Z baraku po lewej stronie wyskoczył mężczyzna z karabinem. Pociski wzbijały w górę małe śnieżne gejzery. Python znów puknął dwa razy. Mężczyzna dostał chyba w brzuch, tak przynajmniej wyglądało, gdy padając zwinął się i skręcił. Jego karabin wypalił jeszcze, gdy ciało osuwało się na śnieg.

Rourke opróżnił magazynek pythona, strzelając do następnego żołnierza, nadbiegającego z lewej strony. Bezwładne ciało jeszcze przez moment było unoszone w ich kierunku. Rosjanin upadł wprost pod nogi doktora, który przeskoczył go, o mało nie przewracając się w swoich śnieżnych rakietach.

Wsunął rewolwer z powrotem do kabury, wyjął granat, wyciągnął zawleczkę i rozejrzał się za celem. Ośmiu czy dziesięciu ludzi - nie było czasu na liczenie - strzelając, biegło od dużego baraku. John cisnął granatem w ich stronę. Mężczyźni rozbiegli się na boki. Włożył nowe magazynki do M-16 i ostrzelał biegnących żołnierzy. Granat eksplodował.

Jeszcze sto metrów dzieliło go od najbliższego helikoptera. Spoza śmigłowców wyłaniali się kolejni ludzie.

- Naprzód, Paul, nie zatrzymuj się! - krzyknął. - Jeśli staniemy, to po nas!

- Jestem z tobą! I niech Bóg nam pomoże!

Rourke zaczął strzelać, strzelać jak oszalały. Pociski biły w śnieg wokół nich. Padł i potoczył się, odwiązując jednocześnie rakiety. W tym momencie seria z karabinu odłupała czubek jednej z nich. Szarpnął zapinaczkę drugiej rakiety, uniósł się na klęczki i otworzył ogień z obu M-16. Paul biegł do niego, człapiąc i szurając raketami po śniegu.

Doktor wstał, puszczając oba karabiny. Pobiegł znowu, rozpędzając się coraz bardziej. Czuł się o

wiele kilogramów lżejszy i o wiele lat młodszy, gdy nie miał tych pokracznych rakiet na nogach. Nie było czasu na wymianę magazynków. Sięgnął pod lewą i pod prawą pachę, wydobywając oba detoniki. Odbezpieczył je i strzelił. Jeden Rosjanin padł, a zaraz potem drugi. Najbliższy helikopter był teraz pięćdziesiąt metrów od niego.

Paul opróżnił magazynek schmeissera i biegł, trzymając w obu rękach M-16.

Dwadzieścia pięć metrów. Jakiś żołnierz podbiegł do Rourke'a. John strzelił mu prosto w twarz, odpychając na bok padające ciało. Następny Rosjanin wycelował w niego z karabinu. Rourke opróżnił oba magazynki. Ciało, wstrząsane kolejnymi uderzeniami pocisków, osunęło się na śnieg.

Skręcił w lewo. Rosyjski żołnierz składał się do strzału. John rzucił się na niego, ciężarem swojego ciała podbijając mu broń. Obie pięści wpakował mu w twarz, mając wciąż w rękach kolby pistoletów. Twarz mężczyzny zalala się krwią. Oczy zrobiły się szkliste, ciało upadło.

Kłęcząc doktor wpychał puste i zakrwawione pistolety do kieszeni kurtki. Chwycił karabin martwego żołnierza i skierował go w stronę najbliższych znajdujących się Rosjan. Nie zdejmował palca ze spustu, dopóki broń nie zamilkła. Rozejrzał się. Paul mocował się z rosyjskim żołnierzem. Nie było czasu do stracenia. Nożem przeciął linę, obszedł helikopter i przeciął trzy następne. Podbiegł do śmigłowca, wyciągając do przodu ręce. Chwycił klamkę, nacisnął. Drzwi otworzyły się. Wpadł do środka.

Spojrzał w górę, w lewo, w głąb kadłuba. Na wprost twarzy miał ostrze bagnetu.

Skulił się i przetoczył w prawo, sięgając po swój wielki nóż. Bagnet był znów tuż przy nim, przypierając go do ścianki kadłuba. Nóż Gerber wyfrunął z dłoni Johna. Lewa stopa doktora wykonała błyskawiczny ruch w górę i do przodu, prosto w krocze żołnierza. Jednocześnie prawą dłonią sięgnął pod kurtkę, wyciągając swój mały sztylecik. Rosjanin uderzył bagnetem. John dał nura pod ostrze, wyrzucając prawą dłoń w stronę piersi mężczyzny. Sztylet przebił materiał i dosięgnął ciała. Rourke rzucił się w dół, chcąc dosięgnąć noża, który leżał na prawo od niego.

Rosjanin runął, przygniatając ciałem sztylet tkwiący w jego piersi.

Rourke rzucił się na fotel pilota i zaczął przyciskać wyłączniki, nie spuszczać oczu z tablicy kontrolnej. Silnik był już rozgrzany, temperatura oleju i ciśnienie rosły. Za parę sekund śmigła zaczęły się obracać.

Strzelanina przy drzwiach. Obejrzał się. Jeśli to nie Paul, byłby teraz bezradny. To był Paul. Stał w drzwiach, strzelając ze schmeissera. W lewej ręce ścisnął rosyjski karabin.

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak się bawiłem! - krzyknął. John wyszczerzył zęby. Jego oczy znów powędrowały w stronę pulpitu. Zdjął gogle, które we wnętrzu śmigłowca pokrywały się mgiełką.

Nacisnął kontrolkę głównego śmigłowca. Usłyszał znajomy jęk wirnika, który zaczął się powoli obracać. Maszyna drżała.

Znalazł swoje małe pistolety Detonic i załadował nowe magazynki, wyjęte z chlebaka. Włożył broń z powrotem do kieszeni i wymienił z kolei magazynki scoremasterów.

Uruchomił śmigło na ogonie. Za nim słychać było coraz gęstsza strzelaninę.

- Startuj, John!

- Co z Natalią i Michaelem?

- W porządku. Zdaje się, że widzę Natalię przy tablicy kontrolnej jednej z maszyn. Michaela nie widzę, ale ludzie próbujący obciążyć helikopter odpadają jeden po drugim. To musi być jego robota.

- Trzymaj się, startujemy!

Śmigłowiec drgnął i powoli zaczął się unosić. Rourke skierował go w prawo, nad lądowisko, gdzie stała reszta maszyn. Przetawił karabiny maszynowe na ręczną obsługę, włączył monitor celownika. Półautomat Paula znów się odezwał.

Z lewej strony drugi helikopter uniósł się w powietrze.

- To Natalia i Michael!

- Tak, to muszą być oni. Cholera! Cała kupa ludzi wali w lewą stronę.

- Trzymaj się!

Rourke obrócił rosyjski śmigłowiec o sto osiemdziesiąt stopni w lewo. Ekran celownika przez chwilę ukazywał rozmazaną plamę, potem znów się pokazał obraz tarczy. Teraz maszyna znalazła się nad grupą około piętnastu ludzi biegnących do helikopterów. Otworzył ogień. Pociski orały śnieg coraz bliżej żołnierzy, aż wreszcie dosięgły ich. Ludzie chwiali się, zataczali i padali.

Rozległ się głos Paula.

- Tu Rubenstein, tu Rubenstein do Hartmana. Atakujcie! Atakujcie! Potwierdzić. Odbiór!

Chwila ciszy, a potem odpowiedź Hartmana.

- Tu Hartman. Zrozumiałem. Wykonuję. Bez odbioru. Śmigłowiec Natalii uniósł się już wysoko.

Z prawej, a potem z lewej burty wystrzeliły pociski. Jeden z rosyjskich helikopterów zaczął płonąć, jeden barak zniknął za ścianą ognia.

Kolejne maszyny zaczęły odrywać się od ziemi. Dwie, trzy, cztery. Rourke przestał je liczyć i skupił się na tych, które jeszcze nie wystartowały. Za pomocą przycisku na tablicy kontrolnej odpalił pocisk. Helikopter lekko się zachwiał, kiedy pocisk oderwał się od lewej burty i poleciał w dół, zostawiając za sobą białą smugę. Jeden ze śmigłowców stojących na ziemi zmienił się w mgnieniu oka w kulę ognia i dymu.

Doktor popatrzył przez okno. Rosyjski helikopter wystartował i szybko się do nich zbliżał. Niedobrze.

Ostry skręt w prawo i nieprzyjaciel zniknął z pola widzenia, ale dwie inne maszyny były coraz bliżej. Ostrzeliwano ich z ziemi, pociski bębniły o podwozie.

Z pokładu jednego ze śmigłowców odezwał się karabin. W odpowiedzi Paul posłał serię z M-16.

John wyszedł z zakrętu w prawo i natychmiast ostro skręcił w lewo. Żołądek mu się przewracał, kiedy ustawiał celownik.

Nacisnął przycisk na konsolce, jedna z maszyn rozprysnęła się. Deszcz płonących szczątków opadł na ziemię. Rourke znów skręcił w prawo. Zauważył, że mają osmoloną kabinę.

- Cholera jasna, blisko to było!

- Najwyżej parę metrów od nas. Zostań tam, gdzie jesteś, może znowu zrobimy taki numer. Nigdy nic nie wiadomo.

Grad pocisków przebił spód lewej burty bardzo blisko miejsca, w którym siedzieli Paul i John. Rourke wykonał gwałtowny unik.

Tuż za nimi, z prawej strony, pojawiła się spiralna biała smuga. Pocisk eksplodował w powietrzu. Ogień z karabinów maszynowych. John sięgnął do broni pokładowej. W tym momencie seria z karabinu trafiła w ogon ich helikoptera. Rourke stracił kontrolę nad tylnym śmigłem.

- Cholera - warknął, zmieniając skok śmigła i nurkując wprost na maszynę, która go postrzeliła.

Nastawił celownik karabinu maszynowego. Nieprzyjacielski śmigłowiec zrobił unik.

Rourke odpalił pocisk, najpierw z lewej burty, a potem z prawej, osaczając wroga z obu stron. Nacisnął przycisk na konsolce. Karabiny maszynowe bluznęły ogniem, przeszywając i rozbijając

kabinę rosyjskiej maszyny.

Przestawił celownik, robiąc lekki skręt w prawo. Przelatując nad nieprzyjacielem, strzelał w jego główne śmigło. Eksplozja rozerwała znajdującą się pod nim maszynę na kawałki.

Zobaczył helikopter Natalii. Wiedział, że to ona, bo zapamiętał numer na kadłubie. Ostrzeliwała baraki pod nimi.

W dali majaczył stożek Hekli, a na jego tle sylwetki niemieckich helikopterów, jak czarne osy. Usłyszał w radio głos Hartmana.

- Mamy kontakt wzrokowy. Zbliżamy się. Podajcie numery swoich maszyn.

- Psiakrew - syknął Rourke. - Paul, odczytaj numery Natalii, szybko!

Słyszał, jak Paul odpowiada Hartmanowi.

- Numery doktora Rourke'a? - pytał kapitan.

- Jaki jest nasz numer, John?

- Nie wiem. Powiedz mu, żeby policzył do pięciu, a wtedy wystrzelę pocisk w kierunku południowym.

Paul powtarzał odpowiedź, podczas gdy John uniósł się, aby nadusić odpowiedni przycisk. Uszkodzone śmigło na ogonie utrudniało sterowanie maszyną. Słyszał, jak Hartman odlicza.

- Jeden. Dwa. Trzy. Cztery. Pięć.

- Paul! Powiedz mu, że będą dwa pociski, na wypadek, gdybyśmy byli na podsłuchu. Teraz!

Rourke odpalił pociski z obu burt. Śmigłowiec zadrżał.

- To będą dwa pociski, kapitanie.

- Widzimy was, Herr Rubenstein. Niemieckie helikoptery zbliżały się.

Rourke obrócił swoją maszynę o sto osiemdziesiąt stopni i otworzył ogień z karabinów maszynowych. Jeden z rosyjskich śmigłowców zaczął uciekać. Doktor zmienił kierunek i ruszył za nim w pościg.

- Hej, John! Czuję zapach dymu! Kurwa mać!

Śmigło na ogonie. Widział to na tablicy kontrolnej. Palili się.

- Trzymaj się! Schodzimy w dół!

Raz jeszcze spojrzął w ślad za uciekającym helikopterem. Czuł wyraźnie: to nie był Karamazow. Jeszcze nie nadeszła ta chwila.

## ROZDZIAŁ XXXII

Porównując helikoptery niemieckie z rosyjskimi, można było dojść do wniosku, że te ostatnie są słabiej uzbrojone. Ich elektronika też pozostawiała wiele do życzenia. Wyglądało na to, że Rosjanie zaprojektowali swoje maszyny, zakładając ich ogólną jednolitość. Niemcy pozostawili spory margines dla indywidualnych możliwości pilota.

Paul Rubenstein i John Rourke szli przez opuszczone obozowisko. Kilkaset metrów za nimi płonął śmigłowiec. Zanim go opuścili, doktor zdążył zabrać swoje noże. Wszystko tu było całkowicie zniszczone. Wątpili, czy zdołają znaleźć jeszcze coś, co zainteresowałoby Niemców. Dwa niemieckie helikoptery ruszyły w pościg za uciekającym Rosjaninem, ale Rourke nie wierzył, że go złapią. Kiedy uczestnicy "Projektu Eden" wrócili na Ziemię, John dowiedział się paru rzeczy o taktyce dowództwa radzieckiego. Jej założeniem była ochrona za wszelką cenę życia dowódców. Kryli się oni za parawanem akcji bojowych, które niepotrzebnie kosztowały wiele istnień ludzkich. Tak było i w tym przypadku.

Jeden z niemieckich helikopterów szykował się do startu. Hartman biegł przez śnieg w ich kierunku, ślizgając się i wymachując rękami.

Rourke spojrzał na Rubensteina.

- Chodźmy. Chyba coś się dzieje.

Obaj ruszyli biegiem w kierunku Hartmana.

- Herr Doktor! - krzyczał kapitan. - Herr Doktor! Spotkali się pośrodku zniszczonego obozu.

- Grupa radzieckich komandosów wtargnęła do posiadłości prezydenckiej. Wzięli zakładników.

- Zakładników...

- Pańską córkę, pańską żonę, pańską synową! Jednego z policjantów, Rolvaaga...

Doktor puścił się biegiem do najbliższego śmigłowca. W górze widział radziecki helikopter, którym lecieli Natalia z Michaelem. Kierowali się w stronę wulkanu...

Annie Rourke siedziała spokojnie, trzymając dłonie na kolanach i obserwując jak radziecki oficer przechadza się tam i z powrotem. Jego ludzie byli rozstawieni w każdym z okien biblioteki, zajmując tym samym pół kondygnacji pałacu prezydenckiego. Rozumiała sytuację i wiedziała, że w otwartej walce Rosjanie nie mieliby żadnych szans. Mieli tylko zakładników. W bibliotece ojca było wiele danych dotyczących procedury stosowanej podczas operacji przez brytyjski SAS i inne podobne jednostki. Gdyby nie było zakładników, to, chcąc uniknąć długiej strzelaniny, można by przedrzeć się tutaj przez sufit z wyższego piętra, atakując jednocześnie przez drzwi. Można by użyć gazu, albo granatów z substancją paraliżującą, o ile coś takiego jeszcze istniało.

Ale zakładnicy stanowili problem. Na swój sposób była nawet zadowolona, że to ona jest zakładniczką. Wolała to chyba, niż być na zewnątrz, próbując znaleźć sposób na ich uwolnienie. Bo wyglądało na to, że nie ma takiego sposobu. Brała pod uwagę fakt, że tym razem może zginąć. Bolała ją głowa. Pamiętała, że uderzono ją w szyję kolbą karabinu. W gruncie rzeczy - ma szczęście, że

nadal żyje.

Oficer radziecki mówił płynnie po angielsku, choć z obcym akcentem. Był dość grzeczny. Powiedział im, że nie ma powodu, aby narażać na niewygodę cztery kobiety. Pani Jokli kazała mu opuścić ten dom. Prosił o wybaczenie kłopotu, który sprawił.

Posadzono je na czterech krzesłach i kazano tam pozostać. Zabroniono im rozmawiać. Obiecano, że jeśli się zastosują do poleceń, nic im się nie stanie.

Matka siedziała na lewo od niej, Madison na prawo, pani Jokli z tyłu. Annie patrzyła na drzwi biblioteki. Miała już dość ich widoku. Zaczęła liczyć ćwieki w bogato rzeźbionych oparciach krzesel stojących wzdłuż ściany, po obu stronach drzwi.

Tylko biedny Bjorn Rolvaag był związany. Odwracając głowę w lewą stronę, mogła dojrzeć Islandczyka leżącego w kącie. Nogi i ręce miał tak związane, że kostki niemal dotykały nadgarstków. Pętla wokół szyi uniemożliwiała mu zerwanie liny, krępującej jego kończyny. Gdyby się poruszył, złamałby sobie kark.

Kiedy napastnicy wchodzili do budynku, nastąpiła wymiana ognia. Od tej pory nie było słyhać żadnych strzałów. Radziecki kapitan nazywał się chyba Salomonow. Trzech jego ludzi leżało martwych na zewnątrz. Wraz z nim i starszym podoficerem pozostało jeszcze dziewiętnastu. Dwóch żołnierzy było rannych, ale po założeniu bandaży wydawali się zdolni do dalszej walki. Jedna z tych ran była dziełem Hrothgara. Nagle usłyszała głos ojca.

- Tu doktor John Rourke. Przetrzymujecie moich przyjaciół wbrew ich woli.

Przyjaciół? Oczywiście! Przecież Salomonow nie mógł wiedzieć, że są rodziną. Taka informacja z pewnością podniosłaby ich cenę. Głos ojca nadal dochodził przez wzmacniacze.

- Wchodzę, aby omówić sposób rozwiązania tej sytuacji. Będę uzbrojony, bo nie mam zamiaru stać się następnym zakładnikiem. Na wypadek gdybyście nie zrozumieli, to, co mówię, będzie powtórzone w języku rosyjskim. Gdy tłumaczka skończy, wchodzę.

Zapanowało poruszenie. Obróciła głowę do okien, starając się dojrzeć alejkę. Szorstko brzmiący głos krzyknął jej nad uchem po rosyjsku:

- Niet!

Znów zaczęła więc patrzeć przed siebie. Inny głos rozpoczął tłumaczenie. Poznała Natalię. Jej ojciec miał zamiar tu wejść. Znów usłyszała jego głos.

- Wchodzę do środka za sześćdziesiąt sekund. Nie trzeba strzelać. Chcę rozmawiać.

Natalia powtórzyła to samo po rosyjsku. Salomonów i podoficer podbiegli do drzwi biblioteki, gdzie stało już trzech żołnierzy. Pozostali też podeszli do nich. Salomonów odwrócił się do kobiet.

- Będziecie siedzieć w absolutnej ciszy. Słyszałem o tym doktorze Rourke'u, którego śmierci pragnie nasz towarzysz marszałek. Kiedy któraś piśnie słowo - umrze. Kiedy go złapię, nie będziecie mi już potrzebne. Pamiętajcie: absolutna cisza. Patrzeć prosto przed siebie!

Odwrócił się. Annie miała w dłoniach materiał spódnicy.

Czy ojciec się spodziewał, że któraś z nich może mu pomóc? Trzymając nieruchomo głowę, zaczęła wodzić przed sobą wzrokiem. Najbliższy żołnierz stał około trzech metrów od niej. Nie wyglądał na siłacza. Może dałaby mu radę, gdyby udało jej się go zaskoczyć.

Ojciec odwróci ich uwagę. Czy atak nastąpi przez sufit? Przez okno?

Zdawała sobie sprawę, że nawet jeśli ojciec da im jakiś zakamuflowany znak, wszystko będzie zależało od jej własnej interpretacji tego sygnału.

Postanowiła dać spokój rozmyślaniom i skupiła całą uwagę na drzwiach. Chciała obserwować

twarz ojca, jego oczy, ruchy ciała, intonację głosu. Na pewno będzie chciał, aby ona lub matka odebrały jego sygnał i zareagowały na niego.

Pukanie do drzwi.

Salomonów cofnął się, reszta żołnierzy też, tylko podoficer otwierał zamki. Potem i on się cofnął.

Drzwi się otworzyły. Ojciec stanął w progu, głową niemal sięgając framugi.

Pod obiema pachami miał detoniki, u pasa zwisały scoremastery. Zauważyła, że iglice są podniesione. Nigdy nie nosił broni w ten sposób. Mówił jej kiedyś, że nie wolno tego robić, chyba że w obliczu bezpośredniego i nieuchronnego niebezpieczeństwa. Zwilżyła wargi.

Ojciec przemówił.

- Dziękuję. Czy ktoś mówi po angielsku?

- Proszę odłożyć broń, doktorze Rourke. Wezwany nie poruszył się. Zniżył głos.

- Nie. Przyszedłem rozmawiać i najpierw to zrobimy. Salomonów roześmiał się.

- Bardzo dobrze, doktorze. Niech pan mówi, skoro pan musi. Ale nie wyjdzie pan stąd.

Ojciec wzruszył ramionami. Annie zeszywniała. Obserwowała jego ręce. Luźno zwisały wzdłuż boków, ale łokcie odrobinę odstawały na zewnątrz. Palce miał lekko zgięte.

- Wasza baza została całkowicie zniszczona. Tylko jeden helikopter zdołał uciec. Sądzę, że na jego pokładzie był wasz dowódca. Jesteście odcięci. Wasi towarzysze są tysiące kilometrów stąd. Jeśli teraz uwolnicie zakładników, postaram się, żeby was dobrze potraktowano. Względnie wygodnie doczekacie końca wojny, a potem wrócicie do swoich rodzin. Jeżeli nie zwolnicie ich, nie uwzględnimy żadnego z waszych żądań. Wszyscy zginiecie. Gwarantuję wam to. Decyzja należy do pana i pańskich ludzi, kapitanie. Skończyłem.

Nawet nie mrugnął okiem. Ręce zwisały mu nieruchomo.

- Oczywiście, że ich nie zwolnimy, doktorze Rourke. Wkrótce usłyszycie pan nasze żądania. Radzę panu jednak poddać się, bo tych niewinnych zakładników może spotkać krzywda. Wezmę pańskie pistolety.

Jej krzesło stało pod takim kątem, że mogła obserwować ojca stojącego za Salomonowem.

Wiedziała, co się teraz stanie. Czowała, że matka również wie. Napięła mięśnie ramion, poruszając jednocześnie palcami nóg, aby pobudzić krążenie krwi. Była gotowa.

Ręce ojca powoli unosiły się do pasa. Wolno zaczął wyciągać scoremastery. Ujął ją w obie dłonie i wyciągnął w stronę Salomonowa, kolbami do przodu. Jego głos był łagodny i cichy, kiedy powiedział.

- Robi pan błąd. Salomonów zaśmiał się.

Annie wiedziała, że muszą się zgrać idealnie. Usłyszała ciche stuknięcie bezpieczników. Jednocześnie zobaczyła niewyraźny ruch ręki ojca.

- Mamo! Pani Jokli! Na ziemię!

Podwójny wystrzał z czterdziestek piętek zadzwonił jej w uszach, kiedy rzuciła się w prawo. Złapała Madison i ściągnęła ją z krzesła na podłogę. Przycisnęła jej głowę, ale sama nie mogła oderwać wzroku od rąk ojca. Salomonów upadł. Czubek głowy starszego podoficera zmienił się w postrzępioną krwawą masę. Teraz lewa ręka. Żołnierz stojący przy niej przewrócił się. Ze zgruchotanego nosa płynęły strumienie krwi, rozpryskując się dookoła.

Rourke strzelał bez przerwy z obu rewolwerów, zabijając z przerażającą systematycznością tych, którzy stali blisko niego. Trafiał Rosjanina stojącego przy oknie. Ciało, padając, wybiło szybę i wyleciało na zewnątrz. W tym czasie pękła szyba w drugim oknie i skulony Paul wskoczył do środka,



strzelając ze schmeissera.

Pistolety ojca grzmiały nadal. Jeszcze jeden żołnierz padł. Skierowany w stronę Annie i Madison karabin wypalił, robiąc dziurę w podłodze. Annie zacisnęła powieki. I znów czterdziestka piątka ojca. I znów. Otworzyła oczy.

Przez okno wskakiwała Natalia. W obu rękach trzymała ziejące ogniem pistolety.

Ojciec szedł długimi krokami przez pokój. Nie miał już w rękach scoremasterów. Ich miejsce zajęły detoniki. Strzelał z nich bez przerwy.

Michael wpadł przez drzwi, strzelając z dwóch rewolwerów. Hałas rozsadzał jej bębni w uszach.

Krzyki, strzały, serie z karabinów. Wciąż nie mogła oderwać oczu od ojca.

Strzelanina nagle ucichła.

Ojciec, z pistoletami w obu rękach, szedł do niej przez pokój. Uniosła się na kolana, wstała. Pomogła Madison podnieść się. Matka pomagała dźwignąć się pani Jokli, która patrzyła przed siebie szklanym wzrokiem. Michael przebiegł przez pokój i chwycił Madison w ramiona.

Annie odwróciła się, szukając wzrokiem Paula, a ten podszedł do niej szybkim krokiem, objął ją i pocałował.

Trzymał ją mocno w ramionach, ale Annie nadal patrzyła na ojca. Wciąż trzymając pistolety, ujął dłoń matki. Czujnie rozglądał się po pokoju, nie wierzył, że zagrożenie już minęło.

Jej ojciec.

Annie Rourke wiedziała, że nikt nie może mu dorównać.

---

[1] Adres Sherlocka Holmesa.

[2] Beowulf - staroangielski poemat epicki, opisujący dzieje Wikinga Beowulfa - przyp. tłum.